

Grzegorz Wierchołowski
**2020: O SMOLEŃSKU WIEMY PRAWIE
WSZYSTKO. FAKTY DO DYSKUSJI
Z „NIEWIERZĄCYMI” W ZAMACH**

Piotr Lisiewicz
**NAJSKUTECZNIEJSZY
DYWERSANT
II WOJNY ŚWIATOWEJ**

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

RUSSKIJ WŁADY MIR

WŁADIMIR PUTIN
WIDZI, ŻE BYĆ MOŻE
- DLA RATOWANIA SYPIĄCEGO
SIĘ „RUSKIEGO MIRA” - TRZEBA
BĘDZIE PÓJŚĆ NA WOJNE. WSZYSTKIE
ĆWICZENIA WOJSKOWE W ROSJI SŁUŻĄ
JEDNEMU CELOWI: PRZYGOTOWANIU SIĘ DO
WOJNY Z NATO I KRAJAMI UWAŻANYMI ZA „PSY
ŁAŃCUCHOWE” SOJUSZU, TAKIMI JAK UKRAINA CZY GRUZJA.



Wieczny putinizm i śmiertelny Putin / 4

Spis treści

TEMAT NUMERU

- Piotr Grochmalski
Wieczny putinizm i śmiertelny Putin / 4
 Ryszard Czarnecki
Białoruś – gra słabnącej Rosji / 11
 Antoni Rybczyński
Putin gotów walczyć o ruski mir / 12
 oprac. Antoni Rybczyński
Niemcy na rozdrożu w relacjach z Rosją / 16

SMOLEŃSK 20-24

- Grzegorz Wierzbicki
2020: o Smoleńsku wiemy prawie wszystko. Fakty do dyskusji z „niewierzącymi” w zamach / 20

IDEE

- Jakub Augustyn Maciejewski
Co po kapitalizmie?
Ostrzeżenie Jamesa Burnhama / 26
 Ewa Polak-Palkiewicz
My, ludzie ze wsi / 32
 Małgorzata Matuszak
Krucjata przeciw życiu / 38

HISTORIA

- Piotr Lisiewicz
Najskuteczniejszy dywersant II wojny światowej / 42
 Dariusz Jarosiński
Przeszłość nie ma końca / 48
 Agnieszka Kowalczyk
Skrzydłaci rycerze Polski międzywojennej / 54
 Józef Palkiewicz
Uratować honor Francji: Wanda 1793 / 60
 Zygmunt Krasiński
Memoriał dla Napoleona III / 66

KULTURA

- Stefan Czerniecki
Słowaccy nosicze – tatrzańscy twardziele / 68
 Hubert Kowalski
Rock przeciwko Łukaszenko.
Białoruskie zakazane piosenki / 74
 Krzysztof Karnkowski
W pętli „Dark” / 76

ŚWIAT

- Hanna Shen
Chiński Joe / 80
 Antoni Rybczyński
Truciele z Rosji / 85
 Olga Doleśniak-Harczuk
Gniewna tęczą nad Friedrichem / 90
 Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 96

Stałe rubryki

- Katarzyna Gójska
Jesteśmy na pierwszej linii
NA POCZĄTEK 3
 Małgorzata Matuszak
Czym jest... prawo
KATECHIZM INTELIGENTA 25
 Ryszard Czarnecki
Sportowe oszustwa, wiara kibica
CZARNECKO TO WIDZĘ 41
 Marek Kalinowski
Pożegnanie mistrza
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 79
 Olga Doleśniak-Harczuk
Lewek z mokrą grzywą i atlas życia
Z GLOBALNEGO TYGŁA 94
 Marcin Wolski
Granica światów
PAPKULTURA 98
 Tomasz Sakiewicz
Ekologia nie jest lewicowa
OSTATNIE SŁOWO 99



miesięcznik
 wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
 REDAKCJA
 02-056 Warszawa
 ul. Filtrów 63/43
 e-mail: redakcja@niezalezna.pl
 www.panstwo.net

ZESPÓŁ
 Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzbicki, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
 Martyna Hajdo-Trolińska
 DYREKTOR WYDAWNICZY
 Tomasz Sakiewicz
 PROJEKT GRAFICZNY
 Mariusz Troliński
 DTP
 Aleksander Raczewski
 KOREKTA
 Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
 www.prenumerata.swsmedia.pl
 prenumerata@swsmedia.pl
 tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
 NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
 BANK PEKAO SA
 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
 (przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)
 Druk LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
 ISSN 1895-4960



for WIKIPEDIA

Co po kapitalizmie? Ostrzeżenie Jamesa Burnhama / 26



for NAC

Najskuteczniejszy dywersant II wojny światowej / 42



for Stefan Czerniecki

Słowaccy nosicze – tatrzańscy twardziele / 68



for DWCC/PAVEA

Chiński Joe / 80



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Jesteśmy na pierwszej linii

Za naszą wschodnią granicą sytuacja staje się coraz mniej stabilna i mniej korzystna dla Polski.

Na Białorusi reżim Łukaszenki najpewniej zdołał odzyskać kontrolę nad sytuacją polityczną. Jednak bez pomocy Mołdawy władzy nie utrzyma. A za to wsparcie przyjdzie mu zapłacić wysoką cenę. Trudno dziś wykluczyć scenariusz, wedle którego władza w Mińsku stanie się „zielonym ludzikiem” Kremla używanym do zaogniania sytuacji w naszym regionie. Grunt pod takie działania został już zresztą przygotowany. Łukaszenka konfrontuje się słow-

służb specjalnych wymierzone w działaczy polskich w tym kraju i to tych poprawnie współpracujących z lokalnymi władzami samorządowymi. Trudno na dziś zidentyfikować źródło i cel tych akcji, jednak bez wątplenia mają one potencjał zaognienia relacji na linii Kijów-Warszawa. Do tego w Polsce postępuje wprowadzenie wprost elementów rosyjskiej polityki do debaty publicznej, ośrodkiem tego procesu jest Konfederacja. To wszystko wymaga zarówno od władz RP, jak i od nas wszyst-

NA LITWIE POLITYCZNY SOJUSZ CZĘŚCI ŚRODOWISK POLSKICH Z PROPUTINOWSKIMI
DZIAŁACZAMI MNIEJSZOŚCI ROSYJSKIEJ ZACZĄŁ DZIAŁAĆ JUŻ OTWARCIE WOBREW INTERESOWI
RZECZYPOSPOLITEJ I ZRESZTĄ SAMEJ LITWY TAKŻE.

nie zarówno z Polską, jak i Litwą oraz NATO. Na dziś to zaognienie służy przede wszystkim celom wewnętrznym, jednak przestawienie go choćby na potrzeby testowania wschodniej flanki Paktu Północnoatlantyckiego może nastąpić błyskawicznie. Z kolei na Litwie polityczny sojusz części środowisk polskich z proputinowskimi działaczami mniejszości rosyjskiej zaczął działać już otwarcie wbrew interesowi Rzeczypospolitej i zresztą samej Litwy także. Polski europoseł wsparł Łukaszenkę, a z list polsko-rosyjskiego sojuszu wystartują w najbliższych wyborach parlamentarnych przedstawiciele kremłowskich mediów uznawanych w krajach bałtyckich za element dezinformacyjnej agresji FR. Z kolei na Ukrainie dostrzegalne są działania

kich wielkiej rozważliwości i przenikliwości w ocenie zdarzeń, które będą dotyczyć choćby przedstawicieli mniejszości polskiej i kwestii związanych z naszą historią. Trzeba za każdym razem bronić stanowczo naszego interesu i występować w ochronie prawdy historycznej, jednak należy też mieć w tyle głowy, iż możemy mieć do czynienia z prowokacjami, których celem jest spowodowanie naszej reakcji i rozkręcenie społecznych emocji.

Najnowszy numer „Nowego Państwa” to przede wszystkim próba opisania dzisiejszej polityki Kremla – metod działania, celów, które mają być osiągnięte, i konsekwencji dla naszego regionu. Federacja Rosyjska zwiększa agresję na Zachód, a my jesteśmy na pierwszej jego linii. ■

Od 4 lipca, gdy weszła w życie znowelizowana Konstytucja, Putin ma teraz niemal taką samą władzę nad Rosją jak Xi Jinping nad ChRL. Ten były podpułkownik KGB będzie mógł być prezydentem do 2036 roku. Miałby wówczas... 84 lata.

Piotr Grochmalski

Wieczny putinizm i śmiertelny Putin



for Markus Tiedtke, Fot. WIKIPEDIA, ADORÉ STOCK

Białoruski kryzys pojawił się wkrótce po narastającej fali protestów w Chabarowsku na Dalekim Wschodzie Rosji. Od 11 lipca mieszkańcy tego największego przemysłowego miasta w Dalekowschodnim Okręgu Federalnym rozpoczęli bunt przeciw Moskwie. Sam DOF liczy niemal 7 mln kilometrów kwadratowych, a więc stanowi 41 proc. obszaru imperium Putina. Co bardziej niepokojące dla Kremla, jak wynika z badań Centrum Lewady, niemal połowa Rosjan popierała postulaty buntowników. Wybuch protestów na Białorusi, po ogłoszeniu niewiarygodnych wyników wyborów prezydenckich 9 sierpnia, mógł stanowić dodatkowy detonator dla Dalekiego Wschodu. Z początku Kreml nie wydał żadnych dyspozycji dla kontrolowanych przez władzę mediów. Dlatego przekaz był wyraźnie zróżnicowany. Putin czekał. 5 września w Moskwie szef białoruskiego resortu obrony, gen Wiktor Chrenin, na spotkaniu ministrów obrony krajów WNP, Szanghajskej Organizacji Współpracy i Organizacji Traktatu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, przedstawił ocenę sytuacji na Białorusi. Wynikało z niej, iż struktury siłowe miały udaremnić próbę przewrotu dokonywaną przez siły wewnętrzne wspierane przez USA, Litwę, Czechy i Ukrainę. Konflikt wszedł w fazę hybrydową. Pierwszym jasnym sygnałem zmian postawy Kremla wobec Łukaszenki było wysłanie Margarity Simonian, zaufanej specjalistki Putina od wojny informacyjnej, szefowej Russia Today i Sputnika, do Mińska. Kierowała grupą dziennikarzy rosyjskich, którym Łukaszenka udzielił dwugodzinny wywiad, pierwszego od 9 sierpnia. Przybyła też z nią armia 32 dziennikarzy RT, aby radykalizować przekaz białoruskich mediów. A przy granicy z Polską rozpoczęły się manewry rosyjsko-białoruskie „Słowiańskie Braterstwo”.

► Białoruska pułapka

Manewry na poligonie w Brześciu przedstawiane były jako rutynowe ćwiczenia. Decyzja o ich przeprowadzeniu miała zapaść jeszcze jesienią 2019 roku. Jednak niepokojące było, iż podczas spotkania Putina z Łukaszenką w Soczi wódarz Kremla zapowiedział, iż co miesiąc na terytorium Białorusi będą przeprowadzane jakieś formy wspólnych manewrów wojskowych. W praktyce oznacza to rotacyjną obecność armii FR w tym państwie. A to radykalnie zmienia sytuację geopolityczną całego regionu i zagrożenia Polski, a także całej wschodniej flanki NATO. Rosyjski Zachodni Okręg Wojskowy, który graniczy z republikami nadbałtyckimi, a także Białorusią i północno-wschodnią częścią Ukrainy, dysponuje trzema armiami i trzema dywizjami wojsk desantowo-szturmowych, 76. dywizją z Pskowa, 106. dywizją z Tuły i 98. dywizją z Iwa-

nowa. Stanowią one podstawę rosyjskich sił szybkiego reagowania. Dywizje te brały udział w dwóch wojnach czeczeńskich, atakach na Gruzję i na Ukrainę, a teraz wydzielone z ich składu formacje uczestniczyły w manewrach przy polskiej granicy. Niepokojące było nagle rozszerzenie formuły ćwiczeń. 22 września poinformowano, że zamiast 900 żołnierzy weźmie w nich udział ponad 6 tysięcy wojska. W Zachodnim Okręgu Wojskowym Rosja posiada 40 proc. swoich sił zbrojnych, niemal 300 tys. żołnierzy, a w sąsiadującym Południowym Okręgu Wojskowym kolejne 75 tysięcy. W razie konfliktu na zachodzie mają one wesprzeć główne uderzenie 1. Gwardyjskiej Armii Pancерnej, 20. Armii i 6. Armii.

► Ani kroku w tył

Putin ma świadomość, iż ma naturalną strategiczną przewagę wobec Białorusi w stosunku do zachodnich demokracji. Doskonale rozpoznał zasoby tej republiki, a służby infiltrują kluczowe elementy jej systemu władzy. Putin to człowiek o mentalności knajackiej i nie ma żadnych hamulców – także instytucjonalnych. Los osłabionego Łukaszenki jest w rękach Putina. On wyznaczy cenę za utrzymanie go u władzy. Moskwa już widzi kuszącą perspektywę przesunięcia granic imperium na zachodzie do niedawnej linii Związku Sowieckiego. Richard Pipes analizując rosyjską myśl strategiczną w artykule „Sowiecka strategia globalna”, stwierdził: „Ze wszystkich europejskich krajów Rosja ma nie tylko najstarszą i najtrwalszą tradycję imperialnej ekspansji, lecz także odznacza się największą konsekwencją w utrzymywaniu raz zdobytych terytoriów”. Wskazał też na metodę stosowaną przez Rosję: „Każde nowe terytorium staje się natychmiast częścią niezbywalnego »patrymonium« i zostaje prędzej czy później wcielone do »ojczyzny«. Każde wymaga nowego buforu, który chroniłby je od rzeczywistego czy wyimaginowanego wroga, dopóki ów bufor także nie zostanie w końcu wcielony do »ojczyzny« – a wtedy znów wymaga nowego buforu...”. Ale Rosja nie musi forsować wchłonięcia Białorusi. Korzystniejsze będzie jej pełne zwasalizowanie i używanie jako narzędzia destabilizacji całego regionu Miedzymorza. W czasach ZSRS sowieckie imperium zła miało realnie aż trzy głosy w ONZ – reprezentowały je bowiem – obok ZSRS – Ukraina i Białoruś, które były częścią Związku Sowieckiego, ale równocześnie odgrywały też rolę samodzielnych republik związkowych.

► Putinizm – współczesna wersja stalinizmu?

Amerykański politolog Arnold Beichman uważa, że „putinizm w wieku XXI stał się pojęciem równie

znaczącym jak stalinizm w wieku XX". Jego ustrojowe podstawy stworzył Jelcyń, doprowadzając do zgrócenia parlamentu w wyniku konfliktu z Dumą w 1993 roku i zbudowania modelu silnej władzy prezydenckiej. Wymagało to wzmocnienia pionu służb. Ostatecznie w wyniku kompromisu ze strukturami siłowymi, w tym głównie FSB, Jelcyń przekazał władzę prezydencką Putinowi. W zamian otrzymał gwarancje bezpieczeństwa dla siebie i swojej rodziny. Wielu badaczy zwraca uwagę na istotne podobieństwa putinizmu do stalinizmu. Oba lansowały kult jednostki, opierały się na aparacie przemocy – stosującym terror policyjny i pozostającym poza społeczną kontrolą – i na rozbudowanej propagandzie. Sprawowały władzę nad państwem i gospodarką i izolowały

przeciwny. Stąd wyciągano wnioski, iż niepowodzenia mają swe źródło w błędach popełnianych przez Waszyngton wobec Moskwy. Kenan stwierdzał: „Linia postępowania partii nie opiera się na żadnych obiektywnych analizach sytuacji powstałej poza sowieckimi granicami [...], wypływa ona z podstawowych wewnętrzpaństwowych potrzeb zaistniałych przed wojną i w jej trakcie”. Stawiał też radykalnie odmienną zasadniczą tezę: „Dla panującego w państwie sowieckim systemu wrogi otoczenie międzynarodowe jest jak życiodajny łyk świeżego powietrza. Stoimy w obliczu niesamowitego, wręcz priorytetowego zainteresowania państwa sowieckiego tym, by tworzyć wizerunek Sowietów jako kraju otoczonego zewsząd nieprzejednanymi wrogami”. Jego zda-

PUTIN WYZWAŁA LĘK PRZED WOJNĄ JAKO NARZĘDZIE DYSCYPLINOWANIA SPOŁECZEŃSTWA I UTRZYMYWANIA SIĘ U WŁADZY. TEN MECHANIZM ZASTOSOWAŁ, IDĄC NA WOJNĘ Z CZECHENIĄ W 1999 ROKU, GRUZJĄ W 2008 ROKU, UKRAINĄ W 2014 ROKU I SYRIĄ W 2015 ROKU.

Rosjan od świata zewnętrznego, jako śmiertelnego zagrożenia dla obywateli. Po II wojnie światowej Roosevelt chciał włączyć ZSRS do budowy powojennego ładu i bezpieczeństwa – idea czterech policjan-tów, którzy staliby na straży globalnego porządku opartego na wspólnocie państw ONZ. Truman chciał kontynuować tę linię światowego bezpieczeństwa. Amerykańscy analitycy uważali, iż Stalin, aby odbudować zniszczony kraj, musi szeroko otworzyć się na współpracę gospodarczą. Jednak, wbrew oczekiwaniom, imperator Rosji był coraz bardziej agresywny i stawiał kolejne żądania ustępstw terytorialnych kosztem Iranu, Turcji czy Japonii. Dopiero słynny telegram George’a Kenana wysłany z moskiewskiej ambasady USA w lutym 1946 roku zapoczątkował zwrot strategii USA i rozpoczęcie zdefiniowanej w telegramie polityki powstrzymywania (containment). Stała się ona na następne dekady podstawą działań Stanów Zjednoczonych wobec sowieckiego państwa.

niem po zakończeniu wojny i zniknięciu realnego zagrożenia dla ZSRS ze strony Niemiec i Japonii. Sowietom musieli wykreować nowych wrogów. Do tej roli wyznaczone zostały USA i Wielka Brytania. Kenan dowodził, że nawet pełne rozbrojenie USA, przekazanie amerykańskich sił powietrznych i morskich ZSRS i zapewnienie pełnej swobody działania amerykańskich komunistów na terytorium USA nie przekonałoby ZSRS do współpracy. „Moskwa nadal wietrzyłaby w tym jakiś podstęp, wciąż żywiąc złe przecucia. [...] Jesteśmy przekonani, że podejrzliwość, w większym czy mniejszym stopniu, jest integralną częścią sowieckiego systemu”. Dlatego jako filary nowej strategii wskazywał potrzebę otwartego ukazywania istniejących sporów z ZSRS, konieczność odbudowy potencjału militarnego, zaprzestania wszelkich ustępstw terytorialnych wobec Rosji.

► Putin i strategia Rosji

Paradoksalnie diagnozy Kenana wydają się też dobrze opisywać obecne zachowania putinowskiej Rosji. Punktem wyjścia aktualnej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Federacji Rosyjskiej z 31 grudnia 2015 roku – jest ona nadal dokumentem obowiązującym w Rosji – jest założenie, iż FR osiągnęła status realnego mocarstwa zdolnego do kształtowania ładu międzynarodowego zgodnego z interesami Ro-

► Kenan rozgryza strategię Stalina

Kenan diagnozował w nim istotę stalinizmu i przyczyn niepowodzeń amerykańskiej polityki ustępstw wobec Związku Sowieckiego. Uważał za fałszywą tezę, iż kontynuacja współpracy USA-ZSRS zależy od Stanów Zjednoczonych, i odpowiednia polityka amerykańska spowoduje, iż Stalin nie będzie jej

sji. Dlatego celem Kremla winno być „stworzenie sprzyjających warunków wewnętrznych i zewnętrznych do realizacji interesów narodowych i strategicznych priorytetów Federacji Rosyjskiej”. Z dokumentu tego wynika, iż Rosja dążyć będzie do dalszej eskalacji napięcia. Jest ono traktowane jako narzędzie służące utrzymaniu władzy poprzez konsolidację oraz mobilizację społeczeństwa i wzmacnianie tendencji izolacjonistycznych – daleko idące podobieństwo do diagnozy Kenana. Rosja jest też przygotowana na długotrwałe złe relacje z Zachodem. Kreml uważa, iż USA i jej sojusznicy, w tym Polska, stanowią dla niej wielkie zagrożenie. Europa jest traktowana w tym dokumencie jako obszar wielkiej gry między FR a USA. Wniosek zasadniczy – o ile strategia wcześniejsza, z roku 2009, kierowana była głównie do środowiska międzynarodowego, o tyle rozkład akcentów wskazuje, iż tym razem przede wszystkim adresatem obecnej strategii są sami Rosjanie. Stąd wiele w tym dokumencie akcentów propagando-

wa senackiej komisji spraw zagranicznych USA pt. „Asymetryczny atak Putina na demokrację w Rosji i Europie: implikacje dla amerykańskiego bezpieczeństwa narodowego”: „Te konflikty odzwierciedlają prawie dwudziestoletni schemat prowadzenia przez Kreml podobnych »małych« wojen w celu osiągnięcia wewnętrznych celów politycznych, ujawniając bezpośredni związek między zewnętrzną agresją rosyjskiego państwa a wewnętrznym uciskiem obywateli i tłumieniem ich oporu, aby rosyjskie społeczeństwo wspierało wojny za granicą i odwracało uwagę od przestępczości reżimu i korupcji panującej w kraju. Nadrzędnymi celami Putina [...] jest zachowanie władzy i zwiększenie własnych zasobów, i wydaje się, że obliczył on, że jego reżim może to najlepiej zrobić, zawiązując swoje społeczne notowania za pomocą agresywnego zachowania za granicą”. Autorzy raportu zauważają, iż ta filozofia przetrwania jest co prawda skuteczna z punktu widzenia samego Putina, lecz stanowi poważne zagrożenie dla bezpie-

PO ZAKOŃCZENIU WOJNY I ZNIKNIĘCIU REALNEGO ZAGROŻENIA DLA ZSRS ZE STRONY NIEMIEC I JAPONII, SOWIECI MUSIELI WYKREOWAĆ NOWYCH WROGÓW. DO TEJ ROLI WYZNACZONE ZOSTAŁY USA I WIELKA BRYTANIA.

wych. Ukazuje on Rosję jako państwo otoczone przez wrogów, którym stawia opór. Zachód bowiem – według ocen prezentowanych w dokumencie – nie może tolerować faktu, iż Moskwa prowadzi „niezależną i autonomiczną politykę zagraniczną”. Stąd nowy plan obrony (dokument co prawda tajny, lecz pewne jego omówienia pojawiły się w rosyjskich mediach) – z uwagi na ocenę rosnącego zagrożenia ze strony USA i NATO – wzmacnia siły na zachodnim i południowo-zachodnim oraz arktycznych kierunkach strategicznych. Kluczowym elementem planu obrony wydaje się konfrontacja zbrojna Rosji z USA i NATO. W samej strategii często definiowane jest zagrożenie jako poważna groźba wybuchu konfliktu, a nie jedynie obawa przed jego wybuchem.

► Wojna jako narzędzie wewnętrznej mobilizacji

Putin wyzwał więc lęk przed wojną jako narzędzie dyscyplinowania społeczeństwa i utrzymywania się u władzy. Ten mechanizm zastosował, idąc na wojnę z Czeczenią w 1999 roku, Gruzją w 2008 roku, Ukrainą w 2014 roku i Syrią w 2015 roku. Jak zauważają autorzy raportu przygotowanego w 2018 roku

czeka na świecie. Piszą: „Nie wystarczy sprzedawać konieczność kolejnych rosyjskich interwencji zagranicznych tylko na potrzeby krajowej opinii publicznej i delegitymizować lub uciszać wszelkie rosyjskie głosy, które pojawiają się na opozycji. Aby Putin odniósł sukces, potrzebuje również podzielonej opozycji za granicą. W tym celu Kreml udoskonalił swój arsenał operacji destabilizujących w kraju i wprowadził go na rynek globalny. Chociaż stosowane metody mogą się różnić w poszczególnych państwach, cele są takie same: zasiać nieufność i zamieszanie, promować radykalne nurty we wszystkich kwestiach mogących destabilizować demokrację”.

► Narodziny putinizmu

Na długo przed pojawieniem się Putina na szczytach władzy w Rosji wskazywano, iż FR zmierza w tę stronę. W 1996 roku Caspar Weinberger, były szef departamentu obrony USA w czasach prezydentury Ronalda Reagana, i Peter Schweizer wydali książkę „Następna wojna światowa”, która zawierała pięć scenariuszy globalnych konfliktów. Jednym z nich miała być wojna zapoczątkowana w 2006 roku przez Rosję,

gdy do władzy w tym państwie dochodzi w 2000 roku gen. Aleksander Karaszczuk, który „Obiecował nie tylko stabilność wewnętrzną, lecz także odbudowę wspaniałego imperium z przeszłości”. Pierwszy okres swej władzy – podobnie jak Putin – Karaszczuk przeznaczył na konsolidację swych rządów dzięki powiększeniu aparatu przemocy – rozbudowanych struktur GRU. Ta wizja ziściła się w 1999 roku, gdy Jelcyń przekazał Putinowi władzę nad państwem do czasu wyborów w 2000 roku. Człowiek, który dysponował minimalnym poparciem społecznym, mniejszym niż 2 proc., w wyniku przemyślanej strategii zrealizowanej przez analityków FSB i części oligarchów, wygrał wybory i przejął władzę nad atomowym imperium. Oleg Soskin, polityk, były dyrektor Instytutu Transformacji z Kijowa, twierdził już w 2000 roku, iż trzonom tych sił, które doprowadziły Putina do zwycięstwa, były struktury byłego KGB: „[...] po upadku sowieckiej maszyny, KGB wyzwoliła się od swego największego, wewnętrznego wroga – partii komunistycznej. W tej chwili były aparat KGB skupił w swych rękach niemal całą potęgę”. Legenda antysowieckiej opozycji, rzecznik praw człowieka w jelcynowskiej Rosji, Siergiej Kowaliow, w 2001 roku stwierdzał: „Naiwni zachodni dziennikarze pytają mnie często: »Co w tym jest złego, że Putin był w KGB? Przecież Bush senior zanim został prezydentem USA, w przeszłości stał na czele CIA«. Ja im odpowiadam: »Wyobraźcie sobie, że prezydentem Niemiec zostałby gestapowiec. Jak byście na to zareagowali?« [...] KGB było tak samo bandycką organizacją jak hitlerowska policja polityczna, a jej czekiści terroryzowali Rosję przez dziesiątki lat. Ci ludzie mają na swych rękach krew milionów ludzi różnych narodowości. Dlaczego o tym mówię? Bo jeśli taki zachodni dziennikarz spytał się obecnego naszego prezydenta, co on sądzi o swej przeszłości, to usłyszy, że jest on dumny, iż nosił mundur KGB. On to co rusz powtarza. Putin to dość nikczemny podpułkownik, który z tej racji nawet w tamtej epoce z pewnością nie zostałby generałem. Ale zespół, który go otacza, to są zimni, inteligentni gracze, którzy mają za sobą sowiecką szkołę służb specjalnych. To oni są autorami takich pojęć, jakie wypływają dziś z Kremla, jak choćby »dyktatura prawa« czy też »sterowanie demokracją«. To nie jest kpina, lecz oficjalna ideologia, jaką promuje się w polityce. Najostrzejszym takim przykładem »sterowania demokracją« jest uczynienie z wojny „czynnika elektorального». Mówiąc wprost – nie mielibyśmy podpułkownika KGB na Kremlu, gdyby nie czeczeńska jatka, i nie byłoby tej brudnej wojny, gdyby służby nie chciały go zrobić prezydentem. Dlatego te wybory traktuję jako narodową hańbę”. Dwa dni przed wyborami, 24 marca 2000 roku,

Putin udzielił wywiadu Natalii Geworkian i Andriewi Kolesnikowi. Dziennikarze zapytali go, czy nie boi się wyroku śmierci, jaki wydali na niego czeczeńscy bojownicy. Putin odpowiedział: „Takich gróźb nigdy nie wolno się bać. To tak jak z psem. Wciąż pewnie, że pies czuje, kiedy ktoś się go boi, i wtedy na pewno ugryzie. Tak i tutaj. Zaczniess się miotać – poczują, że są najsilniejsi. Tu tylko jeden sposób może dać efekt – natarcie. Bij pierwszy, i tak, żeby przeciwnik już nie wstał”.

► Rosja sprywatyzowana przez służby

Jedną z pierwszych decyzji Putina po jego zaprzysiężeniu 7 maja 2000 roku była konsolidacja władzy. 13 maja 2000 roku Rozporządzeniem Nr 849 „O pełnomocnym przedstawicielu Prezydenta Rosyjskiej Federacji w Federalnym Okręgu” wprowadził nowy podział państwa i nowe struktury władzy bezpośrednio podległe sobie. Jego celem była unifikacja rosyjskiego państwa oraz zatrudnienie setek byłych oficerów KGB, armii i organów wywiadu wojskowego GRU. Z siedmiu pełnomocników, którzy mieli nadzorować nowo powstałe regiony, pięciu wywodziło się z armii lub policji politycznej. Generał Wiktor Czerkiesow u schyłku ZSRS był jednym z najbrutalniejszych aparatczyków walczących z opozycją. Gdy Putin został szefem FSB w 1998 roku, Czerkiesow został jego pierwszym zastępcą. Po wyborach prezydenckich Putin, już jako gospodarz Kremla, obsadził go jako swego przedstawiciela w Północno-Zachodnim Okręgu Federalnym. Peter Baker i Susan Glasser, autorzy publikacji „Cień Kremla”, usłyszeli od niego, że „Putin miał nie tylko prawo, lecz wręcz obowiązek mianować na wyższe stanowiska państwowe weteranów sowieckich służb specjalnych”. Tych siedem osób, wspartych setkami byłych sowieckich agentów, podlegało tylko prezydentowi. Otrzymały one zadanie, aby wszelkimi metodami, także bandyckimi, posprzątać w regionach i podporządkować je nowo tworzącej się elicie siłowników. Putin obsadził też swoimi zaufanymi siłownikami wszystkie ważne urzędy państwowe, banki i stanowiska gubernatorów. Ta systemowa oferta Putina, według raportu dla senackiej komisji spraw zagranicznych USA, skierowana do pokolenia weteranów służb bezpieczeństwa, była dla nich unikalną szansą na przejście na najwyższe szczeble władzy. „Ich zasięg sięga dziś od telewizji po wydziały uniwersyteckie, od banków po ministerstwa, ale nie zawsze są widoczni jako mężczyźni w naramiennikach [...]. Wielu funkcjonariuszy, rękoma na emeryturze, zostało oddelegowanych jako czynni agenci w biznesie, mediach i sektorze publicznym, będąc wciąż podporządkowani FS”. Choć KGB

było jedną z najbardziej zbrodniczych organizacji w dziejach świata, a w Rosji wciąż żyły miliony jej ofiar. Putin uczynił z jej ludzi nową elitę państwa – naturalny łącznik z byłym sowieckim systemem.

► Putinowskie imperium korupcji

Szybko okazało się, że dla Putina równie ważne było zbudowanie imperium korupcji. Samantha Karas na łamach „International Business Times” w 2017 roku oceniała zagarnięte przez niego kapitały na sumę od 40 do 200 mld dolarów. Większość analityków jest zgodna, iż w grę wchodzi raczej ta druga suma, co czyniłoby z niego najzamożniejszego człowieka świata. Każdy, kogo dopuści do wąskiego kręgu władzy i jest oddanym i lojalnym człowiekiem służb, ma zielone światło na dorobienie się nielegal-

mi, powoduje rosnące obawy Putina i jego najbliższego otoczenia, iż jakaś „kolorowa rewolucja” zmiecie zbudowany z takim wysiłkiem system putinowski. Dlatego w 2016 roku Kreml powołał do życia Rosgwardię, największą obecnie strukturę bezpieczeństwa wewnętrznego Federacji Rosyjskiej. Doskonale uzbrojona, może realizować zadania policyjno-interwencyjne i wspierać armię – a dzięki zastosowanym rozwiązaniom prawnym dowódcy Rosgwardii mogą kierować i nadzorować formacje wojskowe. Putin uzyskał dodatkowe narzędzie możliwe od użycia na wypadek niepokojów społecznych i potrzeby pacyfikowania ludności. Jednak takie rozwiązanie nie uspokoiło obaw Kremla. W 2019 roku minister obrony Siergiej Szogu zaczął tworzyć w stolicach wszystkich podmiotów Rosji specjalne centra antykrzysowe. Maja

WIELE BADACZY ZWRACA UWAGĘ NA ISTOTNE PODOBIENSTWA PUTINIZMU DO STALINIZMU. OBA LANSOWAŁY KULT JEDNOSTKI, OPIERAŁY SIĘ NA APARACIE PRZEMOCY – STOSUJĄCYM TERROR POLICYJNY I POZOSTAJĄCYM POZA SPOŁECZNĄ KONTROLĄ – I NA ROZBUDOWANEJ PROPAGANDZIE.

ne własnej fortuny. Putin uporządkował system korupcyjny w Rosji i spowodował, że jest on w pełni kontrolowany przez najważniejsze struktury siłowe w państwie. W każdej większej firmie prywatnej musi być zatrudniony człowiek służb, który pilnuje interesów nowych władców Rosji. Służby też sfinansowały lub wykupiły aktywa setek firm na Zachodzie, a także mediów, instytucji naukowych, klubów piłkarskich. Dzięki starym zasobom agenturalnym pozyskano też współpracę z wieloma politykami na Zachodzie, którzy mieli w swoim życiu epizod pracy dla sowieckiego wywiadu. Putinizm wypracował potężny zestaw narzędzi wywierania wpływu za granicą. Według badania przeprowadzonego przez The Jamestown Foundation, narzędzia te obejmują przechwytywanie ważnych sektorów lokalnych gospodarek, niszczenie wrażliwych systemów politycznych, korumpowanie przywódców krajowych, penetrowanie kluczowych instytucji bezpieczeństwa, podważanie jedności narodowej i terytorialnej, przeprowadzanie ofensyw propagandowych za pośrednictwem spektrum mediów i społecznie. Putinowska Rosja systemowo stosuje narzędzia destabilizacji całych regionów świata.

Ale skala zgromadzonego bogactwa przez nową elitę Rosji, wywodzącą się lub powiązaną ze służba-

być wykorzystane jako instrumenty do wprowadzania w wybranych miejscach Rosji stanu wojennego. Putin przygotowuje się do konfrontacji. Sir Roderic Lyne, były ambasador Wielkiej Brytanii w Federacji Rosyjskiej, w memorandum dla Komisji Spraw Zagranicznych Parlamentu Wielkiej Brytanii z 2016 roku stwierdza, iż „nadrzędnym celem Putina wydaje się utrzymanie władzy dla siebie i swoich współpracowników. Nie ma widocznej strategii wyjścia”.

► Groźna Rosja, groźny Putin

W 2005 roku Jurij Afanasjew, obok Andrieja Sacharowa jeden z czołowych opozycjonistów w czasach sowieckich, jako przestrożę dla Putina napisał książkę „Niebezpieczna Rosja”. Píše w niej: „Utrwalenie się opinii kraju niebezpiecznego w sposób nieunikniony doprowadzi do odrzucenia rosyjskiej polityki, a w konsekwencji – do równie nieuniknionego ogólnorosyjskiego krachu gospodarczego. [...] Skazujemy się na samobójstwo polityczne i ekonomiczne”. Według sondażu przeprowadzonego przez Fundację Opinii Publicznej w 2017 roku, 86 proc. Rosjan uważa, iż FR budzi strach na świecie. Aż 75 proc. badanych wyrażało z tego faktu zadowolenie. ■



Ryszard Czarnecki

Białoruś – gra słabnącej Rosji

Rosyjski plan dla Białorusi jest dla Polski i Zachodu bardzo niebezpieczny. Oznacza on bowiem rzeczywiście uruchomienie częściowych procesów demokratyzacyjnych z jednoczesnym zwiększeniem na geopolitycznej szachownicy wpływów Rosji.

Rosja słabnie. To fakt. Ekonomicznie i politycznie. Politycznie – w sensie zmniejszania się jej znaczenia w strefach tradycyjnych wpływów Rosji – obojętnie czy była to „biała Rosja”, czy „czerwona Rosja”, czy Rosja Putina. Te wpływy traci zarówno w Azji Centralnej, a więc tam, gdzie funkcjonowało niegdyś pięć środkowoazjatyckich republik radzieckich: Kazachska, Kirgiska, Uzbeka, Tadżycka, Turkmeńska. Tam zwiększają się wpływy Turcji, punktowo i falująco USA, w jakiejś mierze niektórych krajów UE – a wśród społeczności muzułmańskiej nieformalne wpływy irańskich czy kształconych w Iranie imamów.

Rosja też w dużej mierze praktycznie straciła Gruzję i ma coraz mniejsze wpływy w Azerbejdżanie, także kulturowe. Rozmowa po rosyjsku z Azerem mającym od czterdziestu paru lat wzwysł to norma, ale już ci wykształceni w czasach niepodległości po rosyjsku mówią dużo rzadziej.

Zostawmy Eurazję, wróćmy na Stary Kontynent. Tu Rosja w ostatnich trzech dekadach została praktycznie wyparta z krajów bałtyckich, co przypieczętowały akcesy Litwy, Łotwy i Estonii do NATO i UE. Moskwa reagowała histerycznie, zwłaszcza na wejście na euroatlantycki pokład Wilna, Rygi i Tallina, ale potem dostała kolejny knockdown: „westernizację” Ukrainy i podpisanie przez nią układu stowarzyszeniowego z UE (podobny podpisały Gruzja i Mołdawia).

Teraz toczy się walka o Białoruś. Rosja ma tu problem, ale też szansę. Problem, bo wielotysięczne pokojowe manifestacje nie tylko w stolicy, Mińsku, lecz także w różnych miastach na tzw. prowincji nie są dobrym przykładem dla społeczeństwa rosyjskiego. Ono przecież ostatnio przestało już panicznie bać się władzy i też zaczęło wychodzić na ulicę – oczywiście w mniejszej skali i z postulatami, które odległy się od radykalnych białoruskich „Łukaszenka, uchadź!” („Łukaszenka, odejść!”). Gdyby jednak białoruskie protesty poskutkowały obaleniem człowieka, który rządzi swoim państwem najdłużej w Europie, bo 26 lat, to byłby to nie-

bezpieczny wzorzec dla Rosjan. W związku tym Kreml chce jednocześnie Łukaszenkę i utrzymać, i osłabić, tak aby całkiem zdany na łaskę Kremla, krwawiąc, oddawał kolejne koncesje, zwłaszcza w obszarze militarnym, ale też zwiększania rosyjskiego wpływu – i tak już dużego na białoruską gospodarkę i politykę. Rosja zapewne szykuje zmianę na Białorusi, lecz stopniową, aby nie była odbierana ona, jako – Boże, broń! – efekt społecznych protestów. Rosyjski plan dla Białorusi jest dla Polski i Zachodu bardzo niebezpieczny. Oznacza on bowiem rzeczywiście uruchomienie częściowych procesów demokratyzacyjnych z jednoczesnym zwiększeniem na geopolitycznej szachownicy wpływów Rosji. To brzmi dla niektórych zaskakująco, ale to oczywistość: spora część białoruskiej opozycji jest... bardziej prorosyjska niż Łukaszenka! Owszem, prezydent z najdłuższym w Europie stażem jest dyktatorem, ale w ramach ochrony własnych interesów jest przeciwny całkowitej militarnej i politycznej rusyfikacji. Chce być „Baćką na swoim”. Gra Putina polega na zastąpieniu go – i to z przyzwoleniem USA i Unii Europejskiej! – jakimś „demokratą” (jak Świetłana Cichanouska – Ciechanowska), który jednocześnie będzie na tyle słaby, że w dużym stopniu pomaszeruje na rosyjskim pasku.

Jeżeli komuś teza o współpracy amerykańsko-rosyjskiej na Białorusi wydaje się obrazoburczą, to przypomnę, że tak naprawdę już poprzednie wybory prezydenckie w tym kraju z 2015 roku pokazały wspólne popieranie antyŁukaszenkowskiego kandydata przez Moskwę i Waszyngton. Wtedy nie było jednak jeszcze takich emocji społecznych i politycznego zmęczenia Łukaszenką jak teraz – a i wpływy Internetu były słabsze. Skądinąd „białoruska rewolucja” przypomina bardzo istotny wpływ mediów społecznościowych i generalnie Sieci podczas „arabskiej wiosny”. Grzecznie przypomnę, że gdy w krajach arabskich obalono Saddama Husseina i Muammara Kaddafiego, to zwiększyło to chaos, zradyzalizowało tamtejszy islam i faktycznie poszerzyło wpływy Rosji...

Putin gotów walczyć o ruski mir

Antoni Rybczyński



Wczesna jesień to tradycyjnie apogeum aktywności rosyjskiej armii. Aktywności mającej też polityczne konteksty. Tym razem to głównie kryzys na Białorusi. Ale też wciąż napięta sytuacja w relacjach z Ukrainą. Moskwie nie podoba się zacieśnianie współpracy wojskowej Kijowa z NATO. Władimir Putin widzi, że czas nie działa na jego korzyść i być może – dla ratowania sypiącego się „ruskiego mira”, czyli zdominowanej przez Rosję większości obszaru postsowieckiego – trzeba będzie pójść na wojnę. Wszystkie ćwiczenia wojskowe w Rosji, samodzielne czy z udziałem sojuszników, służą jednemu celowi: przygotowaniu się do wojny z NATO i krajami uważanymi za „psy łańcuchowe” Sojuszu, takimi jak Ukraina czy Gruzja.

Zaczęło się jeszcze w sierpniu. Przez niemal cały miesiąc na wodach oblewających Rosję trwały wielkie manewry morskie pod kryptonimem Tarcza Oceanu 2020. Uczestniczyły w nich wszystkie floty rosyjskie: Północna, Pacyfiku, Czarnomorska i Bałtycka. Oczywiście umownym wrogiem było NATO, a zwłaszcza Stany Zjednoczone. Później, w połowie września, rozpoczęły się rosyjsko-białoruskie ćwiczenia Słowiańskie Braterstwo 2020. Planowano je w dniach 14–25 września, a ostatecznie się nie tylko przedłużyły, lecz także kolejną fazę przewidziano na październik. Wreszcie największe w roku strategiczne ćwiczenia dowódczo-sztabowe. Tym razem na kierunku południowym. Kaukaz 2020 to co najmniej 80 tys. żołnierzy. Oficjalnie aktywna faza manewrów dobiegła końca 26 września. Ale to wcale nie oznaczało wycofania wojsk do baz.

► Bracia Słowianie

Ćwiczenia wojskowe pod kryptonimem Słowiańskie Braterstwo odbywają się co roku już od pięciu lat, z udziałem trzech krajów, na terytorium każdego z nich kolejno. W 2015 roku była to Rosja, potem Serbia, wreszcie Białoruś. Drugi cykl zaczął się w 2018 roku też od Rosji. W ubiegłym roku ćwiczenia odbyły się w czerwcu w Serbii. Wzięło w nich udział ponad 200 żołnierzy z rosyjskich wojsk powietrzno-desantowych, około 300 żołnierzy serbskich i 60 Białorusinów. W tym roku kolej na Białoruś. Serbów jednak zabrakło. Belgrad zawiesił udział we wszystkich zagranicznych ćwiczeniach wojskowych na pół roku, jako przyczynę podając rzekome naciski ze strony Unii Europejskiej. Słowiańskie Braterstwo 2020 ma jednak inny charakter także z powodu zacieśnienia współpracy wojskowej Mińska z Moskwą oraz z powodu politycznego kontekstu. Te manewry mają pokazać, że Alaksandr Łukaszenka ma pełne poparcie Rosji w obliczu wyimaginowanego zagrożenia ze strony NATO. Ale jednocześnie pokazują one, że Białoruś Łukaszenki skazana jest na wzrost uzależnienia od Moskwy.

Ćwiczenia rozpoczęły się 14 września i początkowo planowano ich zakończenie 25 września. Na pierwszy etap manewrów, pod Brześciem, Rosja skierowała około 300 wojskowych i około 70 jednostek sprzętu z 76. Dywizji Wojsk Powietrzno-Desantowych z Pskowa. Wspólne ćwiczenia wojskowe mogły być początkowo odbierane jako kolejny wyraz wsparcia Kremla dla Łukaszenki w sytuacji kryzysu politycznego, ale w rzeczywistości termin manewrów ustalono już w październiku 2019 roku, gdyż są to cykliczne przedsięwzięcia szkoleniowe. Jednak sytuacja zmieniła się już w trakcie ćwiczeń. W dniu ich inauguracji doszło do spotkania Łukaszenki z Władi-

mirem Putinem w Soczi. Tam właśnie rosyjski prezydent przekonał najwyraźniej Łukaszenkę do zwiększenia współpracy wojskowej. Dwa dni później do Mińska poleciał Siergiej Szojgu. Po rozmowach z białoruskim kolegą i z samym Łukaszenką obie strony ogłosiły, że z powodu „ostrej sytuacji” wspólne manewry wojskowe z Rosją odbędą się w dwóch etapach, a kontynuacja nastąpi w październiku. Ćwiczenia nie tylko przedłużono, lecz także zwiększono znacząco skalę przedsięwzięcia. Drugi etap manewrów potrwał do 25 września i miał formę ćwiczeń operacyjno-taktycznych. Łącznie wzięło w nim udział około 6 tys. wojskowych, wykorzystano około 500 jednostek sprzętu; w tym z Rosji około 1000 wojskowych i około 100 jednostek sprzętu. W drugim etapie wzięli udział żołnierze rosyjscy z Zachodniego Dowództwa Operacyjnego, sił specjalnych operacji, sił powietrznych i wojsk obrony przeciwnocnej, wojsk raketowych i artylerii Białorusi oraz pododdziały powietrzno-desantowych wojsk Federacji Rosyjskiej. Przez trzy dni z rzędu wzdłuż granicy Białorusi z NATO latały bombowce strategiczne (przystosowane do przenoszenia broni atomowej). 22 i 24 września dwie maszyny Tu-160M startujące z bazy powietrznej Engels-2 w Saratowie w centralnej Rosji. 23 września aż sześć bombowców dalekiego zasięgu Tu-22 z lotniska wojskowego Szajkowska w Twerze przeleciały nad Białorusią i dokonały symulowanego ataku na cele na poligonie w obwodzie brzeskim.

Skoro w kwestii integracji Alaksandr Łukaszenka nie jest gotów do ustępstw w sprawach politycznych, ekonomicznych i ustrojowych, to pozostaje dziedzina wojskowa. Choć na razie nikt nie mówi o stałych bazach wojskowych, to intensyfikacja wspólnych ćwiczeń i zwiększanie ich skali prowadzi do faktycznej stałej rotacyjnej obecności wojskowej Rosji. Mińsk i Moskwa zapowiedziały bowiem, że wspólne ćwiczenia będą odbywały się w każdym miesiącu. Początkiem tego procesu jest zapowiedź kontynuacji Słowiańskiego Braterstwa w październiku. Rosja nie przedstawiła wizualnych dowodów na to, że wszystkie jej oddziały biorące udział we wrześniowej fazie ćwiczeń Słowiańskie Braterstwo opuściły Białoruś – co Moskwa ogłosiła 25 września. Pokazano wyjazd batalionowej grupy taktycznej (BTG) ze stacjonującej w Iwanowie 98. Dywizji Powietrzno-Desantowej. Ale już nie BTG z 76. Dywizji Desantowo-Szturmowej z Pskowa i 106. Dywizji Powietrzno-Desantowej z Tuły. Słowiańskie Braterstwo miało zakończyć się przed rozpoczęciem Kaukaz 2020, ale zostało przedłużone i zwiększono skalę. Warto zwrócić uwagę, że mimo szerokiego zaangażowania rosyjskich Wojsk Powietrzno-Desantowych w strategicznych

manewrach Kaukaz 2020, ich dowódca uczestniczył w manewrach z Białorusinami.

► Front południowy

Wrzesień to kulminacja roku szkoleniowego w rosyjskich siłach zbrojnych, czyli manewry na szczeblu strategicznym skoncentrowane w jednym z czterech okręgów wojskowych (OW). Póki co w niedawno powstałym piątym okręgu (Południowym OW) takich ćwiczeń jeszcze nie przeprowadzano. Najważniejsze i największe manewry rosyjskiej armii odbywają się co roku, kolejno na jednym z czterech kierunków strategicznych: Zapad 2009, Wostok 2010, Centr 2011, Kaukaz 2012, Zapad 2013, Wostok 2014 itd. Rosyjskie doroczne strategiczne dowódczo-sztabowe ćwiczenia to w tym roku Kaukaz 2020 (21–26 września). Działania w ramach Kaukaz 2020 skoncentrowane były w Południowym Okręgu Wojskowym, zaś dowodzącym ćwiczeniami był generał armii Walerij Gierasimow, szef sztabu generalnego i pierwszy zastępca ministra obrony. Oprócz tradycyjnych zadań, czyli testowania skali zdolności, dowodzenia i kontroli (C2), zdolności bojowej i wydolności wojskowego systemu logistycznego, tegoroczne ćwiczenia służyły też ocenie użycia grup wojsk z „koalicji państw” w celu zapewnienia bezpieczeństwa w południowo-zachodniej Rosji.

Według oficjalnych danych, w manewrach wzięło udział w sumie 80 tys. żołnierzy (w tym tylko tysięcy z zagranicy), 250 czołgów, 450 wozów bojowych piechoty oraz 200 systemów artylerii i wieloprowadnicowych systemów raketowych (MLRS). Nie są to jakieś imponujące liczby, biorąc pod uwagę skalę ćwiczeń. W ćwiczenia zaangażowano też oddziały Gwardii Narodowej (Rosgwardii) i Ministerstwa ds. Sytuacji Nadzwyczajnych. Główne działania podczas manewrów Kaukaz-2020 przebiegły na obiektach poligonowych obwodu astrańskiego, a także w południowych obwodach Rosji: Kraju Stawropolskim i Kraju Krasnodarskim. Manewry podzielone były na dwie części. W pierwszej formułowano i realizowano fazę planowania, a w drugiej odbywały się ćwiczenia z użyciem ostrej amunicji w celu sprawdzenia C2 (command & control) nad połączonymi siłami. W Kaukaz 2020 udział wzięły jednostki powietrzne, lądowe i morskie (Flota Czarnomorska i Flotylla Kaspijska). Główne działania, w tym strzelania, odbywały się na poligonach Południowego Okręgu Wojskowego (Prudboj, Aszułuk, Kapustin Jar, Arzgirskij, Kopanskaja), jak też obiektach armii rosyjskiej w Armenii (poligon Bagramian) i okupowanych częściach Gruzji: Abchazji i Osetii Południowej. Na dwóch poligonach w Abchazji (Cabal i Nagwałou) ćwiczyło ponad 1500 żołnierzy rosyjskich i 500 jednostek sprzętu. W Osetii Południowej na poligonie Dzarceci – 1500 żołnierzy i 300 jed-

nostek sprzętu. Warto pamiętać, że po wojnie z Gruzją w 2008 roku, w Abchazji Rosjanie rozmieścili 7. bazę wojskową, w rejonie Cchinwali 4. bazę wojskową. Obie wchodziły w skład Południowego Okręgu Wojskowego.

Równolegle z rosyjskimi ćwiczeniami wojskowymi Kaukaz-2020 trwały manewry separatystów w samowłaźnych republikach w Donbasie na Ukrainie. Rzecznik resortu obrony Ukrainy Mychajło Szarawara podkreślił, że przeprowadzano tam pozaplanowe taktyczne ćwiczenia batalionowych grup taktycznych brygad strzeleckich, artylerii i wozów bojowych. W tym czasie na Ukrainie trwały będące odpowiedzią na Kaukaz 2020 ćwiczenia Zjednoczone Wysiłki 2020 z udziałem m.in. Brytyjczyków i Amerykanów.

► „Antyterrorystyczne” manewry

Manewry tego typu co Kaukaz 2020 to nie tylko ćwiczenie wojennych scenariuszy i sprawdzanie gotowości bojowej armii, lecz także konkretny polityczny sygnał. Warto zwrócić uwagę, że Kaukaz 2020 zaczęły się zaraz po zakończeniu w Gruzji dorocznych wielonarodowych ćwiczeń Noble Partner 2020. Wzięło w nich udział ponad 2,7 tys. wojskowych z Gruzji i czterech krajów członkowskich NATO: USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Polski. Manewry były współorganizowane przez ministerstwo obrony Gruzji i europejskie dowództwo US Army. Manewry Kaukaz 2020 zostały też wykorzystane przez Rosję do wysłania strategicznych sygnałów odnośnie do kryzysu na Białorusi – choćby udział białoruskich żołnierzy w ćwiczeniach. Kaukaz 2020 były też pierwszą okazją dla Chin do użycia ich własnych samolotów transportowych Y-20 do przerzutu żołnierzy do Rosji. Moskwa zapowiadała jako prawdziwie międzynarodowe wydarzenie militarne. Na manewry dotarli żołnierze z Armenii, Białorusi, Chin, Pakistanu i Mjanmy. Początkowo udział deklarowały Indie, ale się wycofały – tłumacząc to zagrożeniem COVID-19, choć zapewne chodzi o ostatnie starcia z Chinami w Himalajach. Obserwatorów wojskowych przysłały Azerbejdżan (co nabiera dodatkowego smaczku z racji na kolejną eskalację konfliktu tego kraju z Armenią, biorącą udział w Kaukaz 2020), Indonezja, Iran, Kazachstan, Tadżykistan i Sri Lanka.

Podczas spotkania z zagranicznymi attaché obrony w przeddzień rozpoczęcia ćwiczeń wiceminister Aleksandr Fomin podkreślał ich „wylącznie obronną” naturę, zaznaczając, iż „nie są wymierzone w żaden kraj”. Zapewne odnosiło się to głównie do pojawiających się już od wielu tygodni obaw, że Kaukaz 2020 mogą być wykorzystane jako przykrycie do koncentracji wojsk mających uderzyć na Ukrainę. Oczywiście oficjalne deklaracje jedno, a fakty – drugie. Wystarczy spojrzeć na pierwszy etap ćwiczeń, gdzie

obok planowania antyterrorystycznego pracowano też nad działaniami neutralizującymi użycie przez wroga dronów i pocisków manewrujących oraz nad odpieraniem wrogich ataków powietrznych. Do tego doszło jeszcze zwalczanie wrogich systemów walki elektronicznej. Czy są gdzieś na świecie terroryści uzbrojeni w pociski manewrujące, bojowe drony, samoloty, śmigłowce i zaawansowane systemy prowadzenia walki elektronicznej? Trudno też dopatrzeć się obronnego charakteru takich elementów manewrów, jak wysadzanie desantu z powietrza i morza, manewr okrążania czy zasięgi operacyjne. Na poligonie Kapustin Jar siły powietrzno-desantowe przećwiczyły zrzut z 57 samolotów Il-76. Po raz pierwszy przeprowadzono desant kompanii spadochronowej na bojowych wozach desantu BMD-4M oraz wykorzystano najnowszy system artylerii rakietowej TOS-2. Odparcie ataku rakietowego umownego przeciwnika na punkt dowodzenia ćwiczyły załogi systemów rakietowych S-400 Triumf i zestawów Pancyr-S. W manewrach uczestniczyło ponad 20 jednostek Floty Czarnomorskiej i 30 jednostek Floty Kaspijskiej. W trakcie ćwiczeń oddziały piechoty morskiej Floty Kaspijskiej, w liczbie ponad 600 ludzi, przy wsparciu lotnictwa i okrętów, przeprowadziły wysadzenie desantu na wybrzeże w Dagestanie. W tym elemencie manewrów wzięły udział okręty marynarki wojennej Iranu.

Zastanawiająca jest też jeszcze jedna rzecz. Otóż końcowa data powrotu wojska do baz to 30 października. Aż miesiąc po zakończeniu aktywnej fazy ćwiczeń. Tak długi okres „powrotu do baz” wskazuje na zamiar wykorzystania części sił do innych celów. Kreml może wykorzystywać Kaukaz 2020 jako przygotowanie do rozmieszczenia elementów stacjonującej w rejonie Woroneża 20. Gwardyjskiej Armii na Białorusi. Wiadomo, że 25 września na poligonie Kapustin Jar pododdziały 20. Armii współdziałały z żołnierzami z białoruskiej 19. Brygady Zmechanizowanej (stacjonuje w Żalsownowie, około 100 km od wschodniej granicy Białorusi). Gdyby Rosja chciała wysłać na Białoruś swoje oddziały, to 20. Armia wydaje się być do tego idealna – choćby z racji na dyslokację jej jednostek. W skład 20. Armii wchodzi m.in. dwie dywizje zmechanizowane – 3. w Wałujkach i 144. w Jelni. Każda z nich z kolei składa się z dwóch pułków zmechanizowanych i dwóch pułków czołgowych. Dwa takie pułki zmechanizowane stacjonują w Klincach, około 50 km od południowej granicy Białorusi, zaś pułk czołgów pod Smoleńskiem. Podczas ćwiczeń Słowiańskie Bratstwo Rosjanie rotują oddziałami desantowymi wysyłanymi na Białoruś. Ale gdyby zaszła potrzeba – być może wprowadzą właśnie wojska zmechanizowane i pancerne. ■

TLUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński



Niemcy na rozdrożu w relacjach z Rosją

Wizerunek Rosji Putina w Niemczech w ostatnich tygodniach mocno ucierpiał. W wyniku serii coraz bardziej nieprawdopodobnych zaprzeczeń wiarygodność Kremla została poważnie nadszarpnięta. Rząd i czołowe osobistości niemieckich partii politycznych wezwwały do sankcji, zarówno wobec reżimu Łukaszenki, jak i Rosji Putina, w tym do wstrzymania projektu gazociągu Nord Stream 2. Czas pokaże, czy doprowadzi to do poważnych zmian w polityce, czy też, jak w przeszłości, zakończy się na „business as usual”. Czy Niemcy zdecydują się na poważne zmiany w swojej polityce wobec Rosji? Pyta Hannes Adomeit w artykule opublikowanym 9 września 2020 roku na portalu Raam op Rusland.

Zmiany w postrzeganiu i polityce Niemiec wobec Rosji są niezwykle ważne, ponieważ od dziesięcioleci niemiecki rząd i opinia publiczna są przychylnie Moskwie. Do czasu aneksji Krymu i rosyjskiej interwencji na wschodniej Ukrainie Berlin uparcie trzymał się idei „strategicznego partnerstwa” z Moskwą i zapewniał mu fundamenty poprzez „partnerstwo modernizacyjne”. Był też siłą napędową polityki Unii Europejskiej wobec Rosji. Obecnie jego rola nabrała jeszcze większego znaczenia, ponieważ przewodniczy Radzie UE.

► Na Białorusi bez interwencji z zewnątrz

Dziś nawet najbardziej hałaśliwi i żarliwi przedstawiciele obozu Russland-Versteher, czyli ci, którzy twierdzą, że „naprawdę” rozumieją Kreml i niezmiennie znajdują wymówki dla jego zachowania i wzywają do „dialogu”, mogą mieć wątpliwości. Z punktu widzenia niemieckiego rządu i opinii publicznej „czynnik rosyjski” wpływa na upartą odmowę dialogu z opozycją i podziął władzy, nie mówiąc już o rezygnacji z władzy Aleksandra Łukaszenki. Podobnie jak w przypadku ukraińskiego Euromajdanu, Putin i Łukaszenka twierdzili, że masowe demonstracje przeciwko reżimowi są organizowane i finansowane z zagranicy. Putin wykorzystał ten punkt odniesienia, aby obiecać Białorusi „kompleksową pomoc” na jej wniosek w przypadku „zewnętrznej ingerencji wojskowej”. Z kolei Łukaszenka odpowiedział swojemu rosyjskiemu odpowiednikowi, że protesty w jego kraju były zagrożeniem nie tylko dla Białorusi, lecz także dla Rosji i dlatego „dzisiejsza obrona Białorusi to nic innego jak obrona całego naszego terytorium”, czyli Federacji Rosyjskiej i Białorusi.

Oceny niemieckiego rządu i partii politycznych na temat wydarzeń na Białorusi i relacji między Mińskiem a Moskwą, z jednym wyjątkiem, nie zaskakują. Partie rządzące chadeków (CDU/CSU) i socjaldemokratów (SPD) oraz opozycyjni liberalowie (FDP) są zgodni co do tego, że oficjalny wynik 80 proc. Łukaszenki w wyborach prezydenckich 9 sierpnia nie odzwierciedla rzeczywistości, i potępiają brutalność milicji w tłumieniu demonstracji. Prawicowi populiści (AfD), którzy w zeszłym roku wysyłali obserwatorów na wybory parlamentarne na Białorusi i nie widzieli w nich nic złego, po prostu ignorują problem Łukaszenki. Wyjątkowo inaczej niż wcześniej zachowuje się lewica (Die Linke). Jörg Schindler, dyrektor zarządzający partii, wyraził zaniepokojenie „szokującymi doniesieniami o oszustwach wyborczych, przemocy i torturach na Białorusi”. Te działania, powiedział, wymagają „zdecydowanej i skoordynowanej odpowiedzi ze strony państw europejskich. Rząd niemiecki musi

w tym celu wyczerpać wszelkie środki dyplomatyczne [i musi] uznać prześladowania polityczne przeciwników reżimu na Białorusi za podstawę do przyznania azylu w Niemczech i Europie”. Skąd to zaskakujące potępienie prześladowań politycznych i łamania praw człowieka na Białorusi? Ma to najprawdopodobniej wiele wspólnego z „głębokim zaniepokojeniem”, wyrażonym przez Schindlera o los aresztowanego Pawła Katarzeuskiego, członka zarządu partii Sprawiedliwy Świat, białoruskiego partnera Die Linke.

Stanowisko rządu niemieckiego znajduje obszerne odzwierciedlenie w konkluzjach nadzwyczajnego szczytu UE z 19 sierpnia. Przywódcy UE wezwali do dialogu i pokojowego przekazania władzy; obiecali pieniądze białoruskiemu społeczeństwu obywatelskiemu, niezależnym mediom, ofiarom prześladowań i na walkę z COVID-19; i ostrzegali przed rosyjską ingerencją w sprawę kraju. UE oświadczyła również, że wkrótce nałoży sankcje na „znaczłą liczbę” osób odpowiedzialnych za przemoc, represje i oszustwa wyborcze. UE nie wezwała jednak do nowych wyborów. Nie proponowała też samodzielnej mediacji, lecz poparała ideę dialogu zaproponowaną przez OBWE. „Białoruś musi znaleźć własną drogę [...] i nie może być żadnej interwencji z zewnątrz” – powiedziała Merkel po videokonferencji przywódców. Rozwiązania należy szukać „poprzez dialog w kraju”, a dialog powinien obejmować Łukaszenkę. Europa jest jednak poważnie ograniczona w swoich reakcjach. Podobnie jak w przypadku każdego posunięcia wojskowego, surowe sankcje gospodarcze nie podlegają dyskusji. Uderzyłyby w ludność i zmusiły Łukaszenkę do błagania o pomoc gospodarczą, na którą Putin mógłby się zgodzić – jednak za cenę, która najprawdopodobniej byłaby bardziej „integracją”, czyli *de facto* podporządkowaniem Białorusi Rosji. Istotne, a nie symboliczne, wsparcie finansowe dla opozycyjnych ruchów politycznych i partii oraz społeczeństwa obywatelskiego jest również problematyczne. Prawie na pewno zostałoby to wykorzystane przez Mińsk i Moskwę jako dowód, że UE próbuje rozpocząć kolejną „kolorową rewolucję”. Wreszcie Łukaszenka wykluczył mediację i „dialog”, najprawdopodobniej w porozumieniu z Putinem. Dlatego też przemawiając w Berlinie po szczycie UE, kanclerz Merkel powiedziała, że nie widzi natychmiastowej możliwości mediacji w celu rozwiązania sytuacji na Białorusi. Próbowala zadzwonić do Łukaszenki, ale, jak powiedziała: „nie chciał ze mną rozmawiać, czego żałuję”.

► Otrucie Nawalnego, cyberatak na Bundestag i Nord Stream 2

Kwestia sankcji nie wobec Białorusi, lecz Rosji pojawiła się także w kontekście zatrucia Nawalnego. Wydarzenie to dotyczy przede wszystkim Niemiec – nie tylko ze

względem na ich przewodnictwo w Radzie UE, lecz także ze względu na: związek otrucia Nawalnego z problemem Łukaszenki; na fakt, że Nawalny na prośbę swojej żony i zwolenników w Rosji trafił w celu diagnozy i leczenia do Charité w Berlinie; przypomnienie, że dwa lata wcześniej Piotr Wierziłow, inny krytyk systemu Putina, został przyjęty do Charité w celu leczenia otrucia; morderstwo Zelimchana Changoszwilliego, 40-letniego byłego komendanta rebeliantów czeczeńskich, w biały dzień w Berlinie (niemieccy prokuratorzy federalni postawili zarzuty obywatelowi Rosji, który, jak powiedzieli, na polecenie „organów państwowych rządu Rosji »zlikwidował« ofiarę»); podobieństwa z wcześniejszymi morderstwami lub próbami zabójstwa, takimi jak na Litwinieniec, Skripalu i Kara-Murzy; bieżące doniesienia o (nieudanych) próbach zabójstwa w Bułgarii producenta broni, jego syna i szefa produkcji w jego fabrykach. Wrażliwość i polityczne znaczenie otrucia podkreślał fakt, że kanclerz Merkel była nim wyraźnie oburzona i głęboko urażona. 2 września ogłosiła, że „nie ma co do tego wątpliwości”. W kategoriach emocjonalnych było dla niej oczywiste, że ofiara „miała zostać uciszona” jako krytyk reżimu. Otrucie, podsumowała, „rodzi bardzo poważne pytania, na które tylko rząd rosyjski może i musi odpowiedzieć”.

Łukaszenka zgodził się ze stanowiskiem Rosji, że Moskwa nie ma nic wspólnego z otruciem – jeśli rzeczywiście takie było. 3 września powiedział goszczonemu premierowi Rosji Michaiłowi Miszustinowi, że kanclerz Niemiec fałszywie stwierdziła, że Nawalny został otruty. „Przechwyciliśmy rozmowę między Warszawą a Berlinem przed oświadczeniem Merkel [...], które wyraźnie dowodzi, że jest to fałszerstwo”. Celem kłamstw rozpowszechnianych przez Berlin, jak twierdził, było „zniechęcenie” Putina do zaangażowania się w „sprawy białoruskie”.

Osobiste oburzenie kanclerz Merkel na Rosję Putina i ciągle negowanie przez Moskwę odpowiedzialności stało się widoczne już kilka miesięcy wcześniej, w związku z ustaleniami prokuratorów federalnych dotyczącymi największego jak dotąd cyberataku na Bundestag w maju 2015 roku. Komputery w wielu biurach parlamentu zostały zainfekowane oprogramowaniem szpiegowskim, w tym w biurze Merkel. Hakerzy przechwycili także na dużą skalę e-maile z kancelarii, zawierające korespondencję z lat 2012–2015. Dokonanie cyberataku prokuratorzy zarzucili rosyjskiemu wywiadowi wojskowemu GRU. Przemawiając w Bundestagu w maju tego roku, Merkel przyjęła te ustalenia jako „mocny dowód” zaangażowania Rosji i mówiła o „oburzającym” procesie i że traktuje „te sprawy bardzo poważnie”. Przemawiając w Bundestagu 13 maja 2020 roku, Merkel wyraziła ubolewanie, że „Rosja realizuje strategię wojny hybrydowej. Nie możemy tego lekceważyć. To wojna w formie

[kampanii] dezorientacji i dezinformacji w cyberprzestrzeni. To jest [celowa] strategia, a nie przypadkowe zdarzenie”.

Słowa Merkel są w pełni zgodne ze stanowiskiem ministra spraw zagranicznych Heiko Maasa (SPD). Wkrótce po powołaniu na ten urząd, w rozmowie z „Der Spiegel” stwierdził, że międzynarodowe zachowanie Rosji staje się „coraz bardziej wrogie”. Odnosząc się do sprawy Skripala, wyraził ubolewanie, że po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej państwo europejskie „użyło broni chemicznej”. Cyberatak stał się „integralną częścią” rosyjskiej polityki zagranicznej. Jeśli chodzi o wojnę w Syrii, potępił to, że Rosja „wielokrotnie blokowała” Radę Bezpieczeństwa ONZ i uniemożliwiła polityczne rozwiązanie. Dokonała „agresji” na Ukrainie. Ostrzegł, że zniesienie sankcji będzie możliwe dopiero po wypełnieniu przez Rosję wszystkich zobowiązań wynikających z porozumień mińskich.

W centrum uwagi w kwestii sankcji pozostaje projekt gazociągu Nord Stream 2, czyli to, czy powinien on zostać wstrzymany. Sprawa ta ujawniła głębokie podziały między niemieckimi partiami politycznymi i wewnątrz nich. Wydaje się, że większa część CDU popiera ten krok. Według Christiana Lindnera, przewodniczącego FDP, „reżim, który organizuje zabójstwa z użyciem trucizny, nie może być partnerem dla dużych projektów współpracy, w tym projektów rurociągów”. Przywódczyni Zielonych w parlamencie, Katrin Göring-Eckardt, zgodziła się z tym, mówiąc, że „próbą zabójstwa przez kremłowski struktury przypominające mafie nie może nas już martwić. To musi mieć rzeczywiste konsekwencje”. Podział rozciąga się na partnera koalicyjnego SPD. Były kanclerz Gerhard Schröder, przewodniczący rady dyrektorów Nord Stream 2 AG, spółki zależnej Gazpromu, do tej pory był cicho, ale nie można wątpić, że stanowczo sprzeciwia się jakimkolwiek zatrzymaniu lub moratorium. Przewodniczący partii SPD Norbert Walter-Borjans sprzeciwiał się powiązaniu Nord Stream 2 z próbą zabójstwa Nawalnego. Minister spraw zagranicznych Maas wyciągnął jednak ten związek i 6 września zwiększył presję na Rosję. Ostrzegł, że brak wsparcia Moskwy w śledztwie w sprawie usiłowania zabójstwa może „zmusić” Niemcy do ponownego przemyślenia losów rurociągu.

► Krytycy polityki sankcji wobec Rosji

W przeciwieństwie do rządu i partii politycznych w nim reprezentowanych, na próżno szukać jakichkolwiek oznak oburzenia lub zażenowania, nie mówiąc już o ponownym rozważeniu postaw i polityki wobec Rosji, w obozie Russland-Versteher. [...] Populistyczna AfD dołączyła do Die Linke i innych apologetów polityki Putina. Podobnie jak w przypadku Litwinienki, Skripala, Changoszwilliego i innych tego

typu spraw, odrzuciła stanowisko rządu niemieckiego, że nie ma wątpliwości, iż Nawalny został otruty w Rosji gazem paraliżującym nowiczką. Ostrzegła przed „pochopnymi oskarżeniami” i argumentowała, że wydanie wyroku „winny” jest niedopuszczalne przed ustaleniem wszystkich faktów. Sprzeciw wobec sankcji dla Rosji, czy to w przypadku Nord Stream 2, czy w jakiegokolwiek innej sprawie, jest rzeczą zasadniczą. Dla jednych jest to kwestia celowości. Twierdzą oni, że sankcje wobec Rosji są generalnie „nieskuteczne”, a nawet „przynoszą efekt przeciwny do zamierzonego”; że szkoda niemieckiemu biznesowi i przemysłowi; i że w przypadku Nord Stream 2 „zagroziłoby one bezpieczeństwu energetycznemu Niemiec”. [...] Jak wskazał „Der Spiegel”, firmy zaangażowane w projekt kilka lat temu przygotowywały się na ewentualne trudności polityczne. W 2016 roku Gazprom przejął całość projektu jako jedyny udziałowiec. Pięciu europejskich interesariuszy, którzy byli do tej pory zaangażowani – Uniper i Wintershall w Niemczech, Shell w Holandii, OMV w Austrii i Engie we Francji – ograniczyło swoje zaangażowanie do pokrycia 10 proc. każdego z planowanych kosztów budowy wynoszących około 9,5 mld euro. Te pieniądze zostały już w całości wypłacone. W przypadku zakończenia projektu mogą być zmuszeni do umorzenia inwestycji. [...] Innym aspektem problemu sankcji jest ich prawdopodobna skuteczność. Pewien sceptycyzm jest tu na miejscu. Putin i wąskie grono jego przyjaciół i współpracowników podejmują decyzje zgodnie nie z racjonalnością ekonomiczną, lecz z bezpieczeństwem w sensie bezpieczeństwa wewnętrznego i utrzymania władzy. Co więcej, odkąd Putin objął władzę po Familiu Jelcyna, z wielką determinacją i najwyższym priorytetem dążył do jak największego uodpornienia Rosji na presję gospodarczą i finansową Zachodu. Jednym z wielu przejawów tego priorytetu polityki było zgromadzenie przez Rosję różnych funduszy stabilizacyjnych i rezerwowych w wysokości obecnie 592 mld dolarów w twardej walucie. Niemniej, według szacunków niemieckich instytutów badawczych, gdyby nie sankcje, obecny PKB Rosji byłby o 6 proc. wyższy niż gdyby kraj kontynuował trajektorię wzrostu sprzed 2014 roku. Co również ważne, należy wziąć pod uwagę tzw. koszty alternatywne, czyli prawdopodobne straty poniesione z powodu anulowania faktycznych i odłożenia na półkę planowanych lub możliwych inwestycji europejskich i amerykańskich. Na koniec krytycy polityki sankcji muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki „komunikat” z niezastosowania ich dla Krymu i wschodniej Ukrainy wysłałby Kreml i co prawdopodobnie przekazałby w obecnych warunkach.

► Nie ma soft power bez hard power

Skumulowany wpływ rosyjskiego poparcia – aż do groźby interwencji zbrojnej – dla wewnętrznych represji Łukaszenki i jego odmowy pójścia na jakiekolwiek kompromisy oraz zaprzeczeń Kremla i absurdalnych twierdzeń, że Nawalny mógł zostać otruty w Berlinie, a nie w Tomsku, dał nowy impuls kontrowersjom w Niemczech dotyczącym istoty reżimu Putina oraz jego polityki wewnętrznej i zagranicznej. Urzędnicy, partie polityczne i opinia publiczna coraz częściej dochodzą do wniosku, że system Putina jest podobny do syndykatu przestępczego i że z rzeczywistego lub potencjalnego partnera stał się wrogiem. Coraz częściej zdajemy sobie sprawę z tego, że, jak stwierdzili Merkel i Maas, chodzi o przemysłową rosyjską „strategię” mającą na celu dezorientację i destabilizację zachodnich demokracji oraz podcinanie integracji europejskiej i współpracy transatlantyckiej za pomocą „wojny hybrydowej”. Dlatego też ponownie zaostrzyło to odwieczną i irytującą debatę, zjadliwą również podczas zimnej wojny, na temat tego, jak radzić sobie z problemem Rosji lub nim „zarządzać”.

Obecne trendy w debacie są takie, że dialog, kompromis i ustępstwa nie skłaniają Moskwy do zmiany postaw i polityki. Doskonałym przykładem takiego poglądu jest Wolfgang Ischinger, jeden z najbardziej doświadczonych niemieckich dyplomatów, a obecnie przewodniczący Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Argumentował, że przez 15 lat urzędowania Merkel okazała niemal bezgraniczną cierpliwość, ale dla Putina liczyło się tylko prawo silniejszego. Jedynym sposobem, by poradzić sobie z Putinem, jak z każdym innym autokratą, jest być równie twardym i bezkompromisowym. Ischinger uważa, że Niemcy są biegli w używaniu soft power w stosunkach międzynarodowych, ale soft power bez hard power jest „jak drużyna piłkarska bez bramkarza”. Niemcy i Europa musiały być w stanie skuteczniej bronić swoich interesów i uczynić się mniej podatnymi na szantaż ze strony przywódców takich jak Putin. Nie można tego osiągnąć bez wsparcia wojskowego. Nie oznacza to, że Europa powinna użyć siły militarnej w ofensywie, lecz musi być w stanie zapewnić skuteczne odstraszanie. Takie wezwania słyszano w poprzednich latach, m.in. z ust ówczesnego prezydenta Joachima Gaucka i ministra obrony Ursuli von der Leyen w 2014 roku. Ale były to rozważania mniej lub bardziej filozoficzne, a nie specjalnie proponowane jako remedium na rosyjskie wyzwanie. Czas pokaże, czy obecny szok w reakcji na zachowanie Kremla doprowadzi do poważnych zmian w polityce, czy też, jak w przeszłości, zakończy się powrotem do „business as usual”.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP”.

2020: o Smoleńsku wiemy prawie wszystko. Fakty do dyskusji z „niewierzącymi” w zamach

Grzegorz Wierchołowski



Wieża lotów, która świadomie wprowadzała w błąd polską załogę, ślady eksplozji i materiałów wybuchowych na samolocie, fałszowanie zapisów czarnych skrzynek... To, co jeszcze pięć lat temu było wyśmiewanymi przez medialny mainstream hipotezami w sprawie katastrofy smoleńskiej, dziś ma niepodważalne oparcie w faktach. Jeśli dodamy do tego szereg wstrząsających poszlak, o których w pierwszych latach po katastrofie nie mieliśmy pojęcia, wyłania się dość czytelny obraz przebiegu tragedii z 10 kwietnia 2010 roku.



Dysponując wnioskiem prokuratury o aresztowanie kontrolerów, konieczne jest wszczęcie postępowania prokuratorskiego w sprawie zamachu. Nie wypadku, ale zamachu, gdyż dysponujemy już wystarczającym materiałem dowodowym, by taki właśnie zarzut postawić” – powiedział w niedawnej rozmowie z „Gazetą Polską” Antoni Macierewicz.

Zdaniem przewodniczącego podkomisji smoleńskiej kluczowe fakty w sprawie przebiegu katastrofy zostały już zweryfikowane, pozostaje tylko doprecyzować niektóre ustalenia i spróbować rozwiązać pewne niewiadome. A także – tutaj rola prokuratury – wskazać podejrzanych i ocenić, w jaki sposób przyczynili się do śmierci 96 osób na pokładzie Tu-154M.

► 1. Kontrolerzy – pierwszy etap tragedii

Podkomisja udowodniła, że tupolew był od początku sprowadzany fałszywie oraz zmuszany do przyjęcia ostrzejszej ścieżki i szybszego schodzenia. Na przykład o godzinie 10:38:43 (czasu lokalnego) jeden z kontrolerów podał informację, że Tu-154M jest na ścieżce 9 km od progu pasa, a w rzeczywistości samolot znajdował się na odległości 10,5 km od progu drogi startowej.

Podana zaniżona odległość od początku pasa spowodowała, że załoga przyjęła większą prędkość zniżania, co doprowadziło do zmiany kąta ścieżki zniżania, która kończyła się kilometr przed DS.

Rosjanie zachęcali też pilotów do lądowania komendą „pas wolny” i próbowali ich zmylić inaczej ustawionymi reflektorami.

Specjaliści podkomisji wyjaśnili też znaczenie komendy „posadka dopolnitelno” (lądowanie warunkowe). Oznacza ono: kiedy będziesz na wysokości decyzji lub najdalej w odległości 1 km od progu pasa, podamy ci komendę: „lądować zezwalam” lub „odejście na drugi krąg”. Krótko mówiąc: Polacy spodziewali się, że na wysokości 100 m zostanie im podana komenda, co mają dalej robić, i że będą dalej precyzyjnie prowadzeni zgodnie z zasadami sztuki nawigatorskiej. Stało się jednak inaczej. Gdy Tu-154M znalazł się na wysokości 100 m, nawigatorzy milczeli i żaden z nich nie wydał wymaganej komendy odejścia na drugi krąg.

Kontrolerów obciąża także szereg innych działań, m.in.: nie poinformowano załogi Tu-154M o zmieniających się warunkach atmosferycznych; zgoda na próbne podejście została udzielona przez nieuprawnioną osobę (Nikołaja Krasnokuckiego); nie podano załozedze Tu-154M sposobu zejścia do lądowania.

Operacja sprowadzania samolotu była nadzorowana z Moskwy przez gen. Władimira Benediktowa, który jako pilot-snajper oraz jako dowódca brał udział aż w trzech wojnach: w Afganistanie i w obu konfliktach

rosyjsko-czeczeńskich (w 1994 i 1999 roku). W Czeczenii dowodził krwawymi akcjami „antyterrorystycznymi” i powietrznymi operacjami specjalnymi.

W dniu katastrofy smoleńskiej był szefem sztabu i zastępcą dowódcy wojskowego lotnictwa transportowego (BTA). 10 kwietnia 2010 roku z Benediktowem, przebywającym wówczas w Moskwie, łączyli się kontrolerzy ze smoleńskiej wieży. „Towarzyszu generale, podchodzi do trawersu, wszystko włączone” – meldował generałowi płk Nikołaj Krasnokucki tuż przed katastrofą polskiego tupolewa. Co zostało włączone? Tego nie wiadomo.

Co ciekawe – pracownicy wieży smoleńskiej, zwłaszcza płk Krasnokucki, wyraźnie unikali wypowiedziania nazwiska generała. Osobą, dzięki której przypadkowo poznaliśmy personalia dowódcy, jest telefonistka, która musiała przekazać jego nazwisko kierownikowi lotów ppłk. Pawłowi Plusninowi, bo płk Krasnokucki wyszedł akurat na płytę lotniska.

Polska prokuratura nie tylko nigdy nie przesłuchiwała generała, lecz także nie wystosowała do Rosjan wniosku o pomoc prawną w tej sprawie. Po katastrofie smoleńskiej, 7 stycznia 2013 roku, Benediktow został awansowany na dowódcę BTA.

► 2. Polscy piloci – bez winy

Choć to, co wiemy o działaniach kontrolerów, nie pozostawia żadnych wątpliwości co do prawidłowości postępowania polskich pilotów w ostatniej fazie lotu, wciąż w przestrzeni medialnej pojawiają się manipulacyjne przekazy o tym, że załoga Tu-154M albo do końca chciała lądować, albo próbowała odejść na drugi krąg, stosując błędną procedurę.

Przykładem takiego fake newsa jest tekst pt. „Czerwony guzik w tupolewie nie zadziałał, bo nie mógł zadziałać. Piloci tupolewa byli bez szans”, który w przeddzień 8. rocznicy katastrofy smoleńskiej opublikował portal wp.pl. Czytamy w nim: „Według oficjalnego raportu komisji Jerzego Millera, kapitan Protasiuk nacisnął czerwony guzik około 8.40:50, ale, niestety, przycisk nie zadziałał... bo nie mógł zadziałać. Na smoleńskim lotnisku nie było ILS, czyli Instrument Landing System, bez którego czerwony guzik po prostu nie działa. Niestety, według posmoleńskich analiz, o tym ostatnim kapitan Protasiuk prawdopodobnie po prostu nie wiedział, bo system szkolenia nigdy nie przekazał mu tej kluczowej informacji”.

Członkowie komisji Millera faktycznie napisali w raporcie, że załoga Tu-154M zrobiła błąd, próbując odejść na tzw. drugi krąg przy użyciu autopilota na lotnisku pozbawionym systemu lądowania ILS. Ale brak możliwości manewru w takiej sytuacji to kłamstwo. Możliwość tzw. odejścia w automacie na lotnisku pozbawionym ILS potwierdził m.in. ekspert, jaki przeprowadzono w 2011 roku na bliźniaczym tupolewie.

Nie jest też prawdą, że piloci nie wiedzieli, jak to się robi. Sam Maciej Lasek, odpowiadając na jedno z pytań na konferencji ekspertów w Kazimierzu Dolnym (28 maja 2012 roku), stwierdził wprost, że kpt. Protasiuk wykonywał taki manewr – odchodzenie z autopilotem bez systemu ILS – kilkakrotnie. W opracowaniu „28 miesięcy po Smoleńsku”, przygotowanym przez zespół parlamentarny pod kierownictwem Antoniego Macierewicza, czytamy zaś: „Wbrew sugestiom członków KBWLLP, tzw. odejście w automacie nie było »sztuczką« nieznaną pilotom wojskowym Tu-154M. Zespół Parlamentarny dysponuje skryptem polskich pilotów szkolonych w ZSRS w latach osiemdziesiątych, z dokładnym opisem odejścia »w automacie« bez ILS”.

► 3. Dwa wybuchy – przebieg i dowody

Na eksplozję w lewej części skrzydła wskazują zniszczenia powybuchowe na skrzydle i odłamkach oraz inne dowody. Są to:

1) „loki” powybuchowe, czyli charakterystyczne zawinięcia materiału na poszyciu spodnim oderwania końcówki części lewego skrzydła;

2) odkształcenia odłamków na skutek wewnętrznej fali powybuchowej;

3) rozrzut odłamków we wszystkich kierunkach w stosunku do toru przemieszczania się samolotu (także w tył i na boki);

4) identyfikacja wewnętrznych części skrzydła, które osiadły na gałęziach wysokich partii drzew. Wiele odłamków części lewego skrzydła, którą miała uciąć brzoza, zostało znalezionych... przed tym drzewem na obszarze od 41 m na północ do 17 m na południe w kierunku prostopadłym do kierunku lotu oraz aż do 43 m na wschód od drzewa;

5) zniszczenia slotów oraz części noska lewej części skrzydła, wskazujące na działanie ciśnienia wewnętrznego.

Podkomisja smoleńska ustaliła też, że główną przyczyną zniszczeń Tu-154M na moment przed przyziemieniem była eksplozja kesonu baku balastowego (która nastąpiła po wybuchu na skrzydle). W jej wyniku zniszczony został sam keson, czyli fragment lewej części centroplata, wraz z przednim dźwigarem i osmolonymi żebrami. Dźwigar przeleciał około 70 m na zachód. Wybuch rozsadził trzecią salonkę, zabijając wszystkich jej pasażerów i rozrzucając ich szczątki na całej długości wrakowiska. Równocześnie fala detonacyjna wysadziła lewe drzwi pasażerskie, które z ogromną siłą wbiły się na metr w ziemię, a tysiące fragmentów kuchni zostały rozproszone na 1/3 obszaru katastrofy. Fala detonacyjna idąca w kierunku ogona rozerwała fragment kadłuba i spowodowała wywiniecie lewej i prawej burty wraz z dachem na zewnątrz konstrukcji. Śladem przemieszczania się

w kierunku ogona fali wybuchowej jest wyrwany na zewnątrz, wzdłuż lewej burty, panel przypodłogowy.

Ślady na miejscu katastrofy dowodzące takiego przebiegu zdarzeń to:

– liczne odłamki osmolone i opalone rozsiane około 100 m przed miejscem upadku samolotu. Odłamki te, o wielkości od kilku do kilkunastu centymetrów kwadratowych, nosiły ślady oddziaływania termicznego oraz mechanicznego. Ponadto część z nich nosiła charakterystyczne ślady (mikrokratery) na swojej powierzchni, odpowiadające kształtem i wielkością śladom powstałym na odłamkach, jakie powstały po eksperymencie pirotechnicznym przeprowadzonym przez podkomisję. Cecha ta jest charakterystyczna dla zniszczeń spowodowanych przez detonację;

– rozpad samolotu na kilkadziesiąt tysięcy części. Podkomisja – opierając się m.in. na raporcie archeologów – ustaliła, że Tu-154M rozpadł się na ponad 60 tys. fragmentów. Zdecydowana większość elementów wbiła się w głąb podłoża i choć została zlokalizowana, nigdy ich nie wydobyto;

– brak krateru, który powinien powstać po uderzeniu w miękką grunt ponad 70-tonowego samolotu, przesuwającego się po ziemi przez około 150 m. Na całym obszarze wrakowiska nie ma też innych śladów silnego uderzenia kadłuba w ziemię.

► 4. Zniszczenia w samolocie. Eksplozję potwierdził światowy autorytet

Na wybuch w centroplacie wskazują też zniszczenia w samym samolocie. Jak stwierdziła podkomisja w raporcie technicznym, chodzi o:

– zupełne zniszczenie wszystkich foteli, tzn. osobno leżały siedzenia, oparcia, zagłówki i stelaż. W raporcie przypomniano także, że w 2012 roku na 175 częściach foteli eksperci prokuratury polskiej (z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji) za pomocą specjalistycznych urządzeń ujawnili liczne ślady materiałów wybuchowych;

– całkowite zdarcie z wewnętrznej części kadłuba wykładziny wraz z izolacją;

– wyrwanie z burty lewych drzwi pasażerskich wbitych na 1 m w ziemię z prędkością przekraczającą aż 10-krotnie prędkość spadania samolotu. Jak wyliczyli amerykańscy naukowcy z National Institute of Aviation Research (NIAR) – prędkość pionowa tych drzwi potrzebna, aby wbić je całkowicie w ziemię i spowodować zniszczenia, jakie na nich zaobserwowano, musiałaby być większa niż 120 m/s. Tymczasem prędkość pionowa samolotu tuż przed uderzeniem w ziemię wynosiła... 12 m/s;

– wywiniecie na zewnątrz burt centralnej części kadłuba znajdującej się nad epicentrum eksplozji. Owa część – znajdująca się między centroplatem

a ogonem – została znaleziona w pozycji odwróconej spodem do góry, właśnie z burtami wywinętymi na zewnątrz. Takie zjawisko można zaobserwować tylko wówczas, jeśli na kadłub działa silne ciśnienie wewnętrzne, kiedy znajduje się on w powietrzu. Burtę wywinętą na zewnątrz zostały odcięte następnego dnia po katastrofie przez rosyjskie służby. Badania w tej sprawie przeprowadzone zostały przez Sandia National Laboratories w Stanach Zjednoczonych;

- rozpad kuchni (której powierzchnia wraz z zabudową wynosiła około 7,6 mkw.) znajdującej się w pobliżu eksplozji na obszarze – uwaga – ponad 1300 mkw. (1/3 obszaru miejsca katastrofy). Dodajmy, że kuchnia znajdowała się tuż przed salonką trzecią, w której odnotowano największe zniszczenia.

Wszystkie te ustalenia są dokładnie udokumentowane w materiale zdjęciowym, zgromadzonym i przeanalizowanym drobiazgowo przez podkomisję. A także potwierdzone przez światowej sławy brytyjskiego eksperta lotniczego. Frank Taylor – człowiek, który wyszkolił setki specjalistów ws. badania wypadków lotniczych na całym świecie, pomagał w dochodzeniu przyczyn katastrofy nad Lockerbie i jest laureatem najbardziej prestiżowej na świecie nagrody dla ekspertów od bezpieczeństwa lotniczego – po zapoznaniu się z materiałem dowodowym w sprawie Smoleńska stwierdził, że:

- lewe skrzydło samolotu TU-154M zostało zniszczone w wyniku eksplozji wewnętrznej;

- istniało kilka źródeł eksplozji: w skrzydle, słocie, a także w centroplacie, potwierdzone przez analizę mechanizmu uderzenia drzwi w ziemię;

- brzoza nie miała wpływu na pierwotne zniszczenie skrzydła.

► 5. Materiały wybuchowe – także na części, którą wymieniali Rosjanie

Obecność materiałów wybuchowych (trotyl, hekso-gen, pentryt) na szczątkach lewego skrzydła (które podkomisja wskazała w raporcie technicznym jako miejsce eksplozji) i wewnętrznego fragmentu poszycia samolotu została już udowodniona przez laboratoria w Polsce, USA i Wielkiej Brytanii. Pozostałości takich substancji wykryto na przynajmniej 107 elementach wewnętrznych samolotu – przede wszystkim na metalowych częściach foteli. „Przynajmniej”, gdyż wśród owych 107 elementów są tylko te, na których pozytywne wyniki dały badania aż trzema urządzeniami.

Niezwykle ważna wydaje się niedawna informacja o badaniach przeprowadzonych na podstawie wymazów pobranych przez podkomisję z części samolotu, które rosyjscy technicy wymieniali w trakcie remontu między Tu-154 nr 101 i Tu-154 nr 102 (tzw. bliźniaczy tupolew) w 2009 roku. „W tym wypadku laboratorium

w stanie Oregon w USA wykryło obecność trotylu. Trzeba dodać, że była to część, której poza remontującymi samolot nikt nie rozkręcał, zaś ślady trotylu znaleziono w jej wnętrzu” – wskazuje podkomisja smoleńska.

To pierwsza tak poważna poszlaka dotycząca ewentualnego sprawstwa zamachu, do jakiego doszło w Smoleńsku.

Przypomnijmy, że przegląd naprawczy Tu-154 w 2009 roku przeprowadzono w zakładach lotniczych Awiakor w Samarze, należących do oligarchy Olega Deripaski (jego prawą ręką jest Walerij Pieczenkin, były oficer KGB i wicedyrektor wydziału operacji kontrwywiadowczych w FSB); układy hydrauliczne sprawdzano w Ufie, a silniki – w zakładach Saturn w Rybińsku kontrolowanych przez Siergieja Czemezowa (byłego agenta KGB, z którym Władimir Putin pracował razem w latach 80. w Niemieckiej Republice Demokratycznej).

► 6. Czarne skrzynki – podmienione przez Rosjan

Para tzw. rejestratorów katastroficznych tupolewa nr 101 – czyli rejestrator pokładowy MSRP-64M-6 i rejestrator dźwiękowy MARS-BM nr 323025 (dwie najważniejsze „czarne skrzynki”) – została dwukrotnie „znaleziona” na wrakowisku pod Smoleńskiem. I to tego samego dnia: 10 kwietnia 2010 roku.

Na charakterystyczne pomarańczowe rejestratory (z napisami MŁP-14-5 i „Flight Recorder”) natrafiono najpierw wczesnym popołudniem, po godzinie 14:30. Według rosyjskich protokołów urządzenia te nie były uszkodzone, a po dokładnych oględzinach zostały spakowane do polietylenowych worków i zabrane.

Wieczorem takie same skrzynki – z identycznymi napisami i tego samego koloru – zostały odnalezione w Smoleńsku ponownie. Tyle że nosiły już ślady „rozległych i licznych” uszkodzeń. Po oględzinach włożono je do kartonowych pudeł, które zalepiono taśmą.

Z kolei „zaginiony” rejestrator danych KZ-63, który rzekomo miał ulec całkowitemu zniszczeniu podczas katastrofy smoleńskiej (według oficjalnych doniesień w Smoleńsku nie znaleziono nawet drobnego fragmentu „skrzynki”, choćby jej bakelitowej – kruchej, lecz nietopliwej – obudowy), przetrwał ją. Bardzo dobrze zachowane fragmenty części zewnętrznej urządzenia, znajdujące się wśród nienaruszonych części otoczenia rejestratora, widoczne są na zdjęciach wykonanych w pierwszych godzinach po katastrofie. Zapisy tej skrzynki – dokonywane w anachroniczny sposób na taśmie celuloidowej – jako jedyne nie mogły zostać sfalszowane. KZ-63 rejestrował kluczowe parametry, takie jak gwałtowne przeciążenia, w tym tzw. twarde lądowania. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... prawo

Porządek prawny to zbiór generalnych norm i zasad rządzących życiem społecznym, ustanowionych lub uznanych przez pracodawcę, a także ich następstw logicznych i interpretacyjnych. Prawo określając, jak podmiot prawa ma obowiązek się zachowywać, a jak postępować nie powinien, związane jest integralnie z państwem, które zabezpiecza jego przestrzeganie. Podporządkowanie się instancji prawa stanowionego nie jest więc uzależnione od wolnej woli obywatela, państwo zaś, przy pomocy odpowiedniego organu, władne jest zmusić do jego respektowania.

Termin „prawo” posiada wiele znaczeń. Zgodnie z podstawowym podziałem wyróżnić możemy prawo przedmiotowe i podmiotowe. Pierwsze stanowi ogół wyrażonych, ustanowionych i opublikowanych przez organy państwa norm, które tworzą system prawa lub jego ściśle określony dział, na przykład prawo polskie, Unii Europejskiej, cywilne, rodzinne czy internetowe. Drugie rozumiane jest jako możliwość skutecznego realizowania przez dany podmiot jego potrzeb, wynikających bezpośrednio z obowiązującego w danym miejscu i czasie prawa przedmiotowego zabezpieczającego uprawnienie lub zespół uprawnień podmiotu do czegoś, na przykład prawo do nauki czy do dochodzenia swoich racji przed sądem czy organem administracji państwowej.

Stosując kryterium źródła jego pochodzenia, wyróżnić można trzy podstawowe sposoby pojmowania prawa: prawo naturalne, prawa człowieka i prawo pozytywne. Pierwsze z nich to prawo niezmiennie w swej treści, prawo Boskie, którego wytyczne nie zmieniły się od czasu, kiedy Bóg nadał je człowiekowi. Prawa naturalne opierają się na pojęciu godności człowieka i wyrastają z całokształtu historii europejskiej kultury prawnej i ogólnej, opartej na filozoficznych przesłankach koncepcji człowieczeństwa, wedle której sam pojedynczy człowiek i wartości z nim związane są bezpośrednim źródłem prawa. Stanowią one fundament współczesnego zachodniego myślenia o systemach prawa. Prawo pozytywne zaś to zespół norm przyjęty w określonym państwie lub grupie państw, na przykład w UE, chroniący wolności jednostek i jednocześnie chroniony możliwością legalnego użycia przez państwo przymusu, który ma na celu porządkowanie życia społecznego, politycznego i gospodarczego.

W językach słowiańskich „prawo” utożsamiane było ze „sprawiedliwością”, przy czym oba te wyrazy miały ścisły związek etymologiczny z „prawdą”, rozumianą przez pewien czas także jako „sprawiedliwość”. Warte uwagi jest to, że przymiotnik „prawy”, od którego powstał rzeczownik „prawo”, oznaczał to, co dzisiaj znaczy „prosty”, czyli „skierowany do przodu”. Ze znaczenia „prosty” rozwinęło się kolejne: „właściwy, taki jak należy”, a z niego dalej współczesne „uczciwy, szlachetny”. Pierwotne, przestrzenne znaczenie prasłowiańskiego „pravъ” stało się w ten sposób początkiem znaczeń „sprawiedliwy”

PRAWO NIE MOŻE ZASTĄPIĆ MORALNOŚCI,
LECZ DOBRE PRAWO POWINNO ETYKĘ
I DOBRE OBYCZAJE WSPIERAĆ.

i „prawdziwy”. Prosty kształt uznawany był bowiem za ten najwłaściwszy, stąd też stał się punktem odniesienia aksjologicznego – z tym co proste, zaczęto utożsamiać to co właściwe. Dlatego słowo, które miało znaczenie „prosty”, czyli „prawy”, i słowo, które oznaczało „uczciwy”, czyli „sprawiedliwy”, należą do tej samej rodziny.

Sprawiedliwość pisana prawem stara się sprawiedliwe postępowanie gwarantować stosownymi zapisami. Prawo oddaje pierwszeństwo ogólności, w perspektywie której umniejsza się wartość tego co poszczególne. Stąd też i relacja do drugiego człowieka zatracą poniekąd swą jednostkowość i niepowtarzalność. Właściwością formuły prawa jest właśnie jego ogólność, która niesie ze sobą pewien błąd, nieleżący jednak po stronie prawodawcy, lecz sięgający samej istoty prawa. Można jednak powiedzieć, że to nie prawo jest niedoskonałe, lecz niedoskonałą i niewyczerpującą swoje możliwości jest rzeczywistość, w której przychodzi nam działać.

Prawo nie może zastąpić moralności, lecz dobre prawo powinno etykę i dobre obyczaje wspierać. Trzeba o tym pamiętać w szczególności wtedy, gdy ingeruje ono w sprawy kwalifikowane przede wszystkim moralnie. ■

Jakub Augustyn Maciejewski



CO PO KAPITALIZMIE? OSTRZEŻENIE JAMESA BURNHAMA

Kapitalizm i demokracja ostatecznie wygrały w 1945 roku z narodowym socjalizmem, a 45 lat później z sowieckim komunizmem. Czy jednak z wnętrza zwycięskiego ustroju nie wyłania się nowe zagrożenie, zwiastujące jakąś nową epokę – innej gospodarki, niedemokratycznego społeczeństwa, nowej niewoli? W 1941 roku padła odważna odpowiedź na to pytanie – amerykański konserwatysta James Burnham (1905–1987) zapowiadał bowiem „rewolucję menedżerów”.



James Burnham

FOTOWIKIEDA

To ciekawe, że klasyczna dla liberalizmu, amerykańskiej myśli politycznej i teorii ekonomicznych praca wybitnego filozofa nie została w Polsce przetłumaczona. Na język polski – owszem, Instytut Literacki w Paryżu wydał książkę w 1958 roku, ale do dziś na polskich uniwersytetach trzeba się posilko- wać skryptami i omówieniami, pełnymi zresztą niezro- zumienia i błędów. Tymczasem na Zachodzie myśl Ja- mesa Burnhama okazała się początkiem pytań o kierun- ki transformacji kapitalizmu, demokracji i nowoczesnych społeczeństw. Zнали, współpracowali, cenili go i inspiro- wali się jego myślą tacy wielcy intelektualiści jak George Kennan, George Orwell, Jacques Maritain czy Benedetto Croce albo Karl Jaspers. Jego „Rewolucja menedżerska” zapowiadała koniec znanego świata wolnego rynku i swobodnego wyboru politycznego i choć wiele z jego przepowiedni się nie spełniło, to jednak jego narzędzia obserwacji rzeczywistości pozwoliły wskazać, gdzie są za- grożenia dla własności i suwerenności. Także dzisiaj, pra- wie 80 lat po publikacji jego słynnej książki, te same wid- ma, te same zagrożenia wiszą nad światem, zapowiadają nowy rodzaj totalitaryzmu.

► Sygnał z trudnych czasów

Aby zrozumieć przełomową myśl Burnhama, należy spojrzeć najpierw na zakręty jego intelektualnej drogi i na rok, w którym ukazała się jego praca.

Amerykański filozof wychował się jako katolik, w do- rosłym wieku został ateistą, a jego drogi łączyły się z ru- chem socjalistycznym i komunistycznym w Stanach Zjednoczonych – co było zjawiskiem marginalnym w ka- pitalistycznym i wolnościowym społeczeństwie USA. Wcześniej ukończył Uniwersytet Oxfordzki, później zo- stał profesorem na Uniwersytecie Nowojorskim. Studio- wał pisma Marksa, Lenina i Stalina, ale w II połowie lat 30. przeszedł na stanowiska trockistowskie – wierząc w maksymalizm planów gospodarczych, konieczność permanentnej rewolucji aż do ostatecznej przebudowy świata. Brzmienie niesłychanie, zwłaszcza że wkrótce potem stał się on szczerym krytykiem komunizmu, ikoną ame- rykańskiego konserwatyzmu, znawcą klasyków liberali- zmu i włoskiego korporacjonizmu. Do politycznej wolty skłoniły go dwie rzeczy – wydarzenia świata komuni- stycznego (m.in. Pakt Ribbentrop–Mołotow) pokazały, że postulaty czerwonych nijak mają się do rzeczywistości. Druga, ważniejsza sprawa, uważana lektura i analizy pism teoretyków komunizmu doprowadziły go do wniosku, że dialektyka marksistowska i materializm nie są nauko- wo twórcze i nie prowadzą do żadnych odkrywczych konkluzji, a z zasady są nawet błędne.

Tymczasem świat przyspieszył – i właśnie gdy Burn- ham studiował w 1940 roku specyfikę kryzysu kapitali- zmu, losy świata mogły potoczyć się skrajnie inaczej –

Związek Sowiecki sięgał prawie po Wisłę, a III Rzesza podbiła Niemcy i właśnie rzucała na kolana Churchil- lowską Wielką Brytanię. Od ponad dekady Ameryka zmagala się z wielkim kryzysem ekonomicznym, który leczyła tzw. New Deal, czyli gigantycznym, państwo- wym programem inwestycji społeczno-gospodarczych, mającym pobudzić ekonomię. Słowem – świat się zmieniał, kapitalizm się wycofywał we wszystkich kra- jach globu, demokracja zdawała się obumierać. Burn- ham postanowił napisać dlaczego – i choć przewidywa- nie przyszłości mu nie wyszło, to objawy i schorzenia nowoczesnego ustroju zostały zdiagnozowane wnikli- wie i pożytecznie, także na rok 2020.

Korzystając także z dorobku wielu ekonomistów i myślicieli liberalnych, a nawet faszystowskich auto- rów (o komunistycznych już wspomnieliśmy), Burn- ham doszedł do wniosku, że owszem, historia Zachodu dzieliła się na etapy gospodarcze: niewolnictwa, feuda- lizmu i kapitalizmu, lecz przebiegały one w innych procesach, niż twierdzili marksiści. Studiując myśl m.in. Geatano Mosci, Burnham prześledził rozwój „klasy po- litycznej”, czyli warstwy społecznej mającej największy wpływ na rządy w danej epoce. Tak jak w starożytności byli to właściciele niewolników, w średniowieczu ary- stokracja (księżęta, królowie, rycerstwo), tak po nich przyszedł czas na kapitalistów, a więc ludzi dysponują- cych i potrafiących obracać pieniędzmi.

► Narodziny kapitalizmu

Tych ostatnich charakteryzowała dynamika – gdy feudal musiał pilnować swojej ziemi, bankier wenecki mógł inwestować w handel z Orientem, finansować wyprawy odkrywców Ameryki i pożyczać pieniądze monarchom z Wiednia i Paryża. Gdy kapitaliści pojawi- li się w XV wieku w takich instytucjach jak banki, gil- die, handlowcy i miejscy kupcy zrazu nie mieli politycz- nej reprezentacji, ale ich aspiracje i możliwości zaczęły rosnąć, wchodząc w konflikt ze starą, średniowieczną, europejską arystokracją. I to tutaj Burnham widział wal- kę klas – starcie między właśnie rodzącą się grupą wpły- wu (kapitaliści) a starą, skostniałą warstwą rycerstwa- szlachty. Czyli tak jak Marks twierdził, że w społeczeń- stwach zawsze walczą ze sobą wyzyskiwacze i wyzyskiwani, tak Burnham wyrzucił tę tezę do góry nogami. Ani chłopci, ani proletariaci nie zrobili i nie zro- bią rewolucji, bo nie mają zasobów – to nowa klasa bo- gaczy strąca z piedestału swoich poprzedników. Nie ro- bi tego od razu – Burnham odrzucał infantylną, powie- ściową koncepcję rewolucji jako metody przejmowania władzy – w rewolucji francuskiej 1789 roku widział sku- tek wzrostu wpływów mieszczaństwa (burżuazji, a więc klasy kapitalistów), a nie przyczynę. Amerykanin twier- dził, że w każdym społeczeństwie rodzi się nowa grupa,

która stopniowo przejmując zasoby, a gdy już ma wystarczającą siłę – przejmując formalnie władzę.

Co ciekawe, filozof tę walkę klas postrzegał nie na zasadzie zwycięstwa poszczególnych jednostek – dany bankier czy kupiec mógł przegrać z uzdolnionym monarchą, lecz tego pierwszego zastępował następny kupiec, podczas gdy kolejni królowie stawali się coraz mniej potrzebni. Ta walka klas odbywała się niewidzialnie, formalnie to kupcy służyli królom i ci pierwsi ich nawet wspierali – pożyczkami, inwestycjami, a sami byli zależni od ich edyktów, rozkazów i pozwoleń. A jednak – choć jednostki były zależne – to jako grupa kupiecko-finansowa stawali się coraz bardziej niezbędni europejskim elitom. Rewolucja czy też przejście władzy w inny sposób było tylko kwestią czasu.

Za zmianami finansowymi – a może obok nich – szła rewolucja w myśleniu, codziennym życiu i polityce. Burnham twierdzi, że centralizacja państw, przechodzenie od średniowiecznych monarchii do krajów opierających się na administracji narodowej, przyspieszało rozwój kapitalizmu. Bogaci mieli większy wpływ na władzę, na parlamenty, na monarchów, na aparat rządowy. Rodziła się nowa idea – wiara we własną inicjatywę, w samodzielność myślenia. Narodziny idei postępu, niezależnie od jej słuszności, lecz w myśl przekonania, że to nie tylko Bóg, lecz także człowiek kieruje dziejami, przekładało się na podobne rozumienie własnych losów – życie nie musiało być uzależnione od innych, od ponadnaturalnych praw, ale miało być konsekwencją własnych decyzji – czyż nie jest to potoczne rozumienie kapitalizmu?

► Kapitalizm na zawsze?

Burnham oceniał więc ustrój ekonomiczny przez pryzmat klasy dominującej, klasy politycznej – kto się najbardziej liczył w gospodarce, ten de facto rządził. Czyli jeśli w XIX wieku Europa była wciąż podzielona na monarchie, to jednak tylko kilkanaście rodzin bankierów finansowało – bądź nie – królewskie i cesarskie wojny, reformy i uroczystości, to znaczy, że mimo pokojowego współistnienia klasy kapitalistów i klasy arystokracji władza coraz bardziej przechodziła w ręce tych pierwszych. Bo czy to nie dziwne, że wraz z 1918 rokiem z Europy zniknęły prawie wszystkie monarchie? Czyż to nie przez setki lat podkopywano ich fundamenty i zasadność?

W przeciwieństwie do wielu klasycznych liberalów (Hayek, Heydel) czy krytyków komunizmu (Pipes, Krzyżanowski) James Burnham nie uznawał kapitalizmu za naturalny dla człowieka. Owszem, formuła rynku się sprawdziła i przyniosła niesamowity rozwój ludzkości, ale nie istniała od zawsze – a więc nie musi być wieczna.

Ale i z komunistami czy nazistami Burnham się nie zgadzał, a ci przecież twierdzili, że kapitalizm będzie

upadał na rzecz socjalizmu (lub komunizmu). Amerykanin krytykował koncepcje zwycięstwa proletariatu i sam stwierdzał, że w Związku Sowieckim nie ma żadnego komunizmu, tylko „kapitalizm państwowy”, to znaczy że kapitał jest, ale w rękach administracji i biurokracji, a nie zdolnych jednostek. Choć więc na początku lat 40. XX wieku wielu intelektualistów głowiło się, czy ład ekonomiczny nie skończy się nastaniem socjalizmu, Burnham był o to spokojny – to nie komunizm jest przyszłością.

A jednak filozof był przekonany, że kapitalizm się skończy – jak zrodził się w pierwszych samodzielnych kupieckich inicjatywach w XIV wieku, tak skończy się w wieku XX. Pisząc w 1941 roku o rewolucji menedżerów, twierdził, że najdalej za 50 lat kapitalizmu już nie będzie. Czy się mylił? Z jednej strony obserwujemy rozkwit własności prywatnej, a najsilniejszy biznes jest w prywatnych rękach miliarderów, ale pewne mechanizmy, opisane przez Burnhama, działają i grożą końcem znanej nam epoki.

► Kryzys

Nowojorski profesor nie łączył kapitalizmu z demokracją – pisał przecież o autorytarnych państwach opartych na własności prywatnej albo o demokracjach z dużą przewagą gospodarki rządowej. A jednak połowa XX wieku miała przynieść coraz większe rozchwianie kapitalizmu na podstawie siedmiu przesłanek: masowego bezrobocia (zwłaszcza wśród młodych), coraz silniejszych kryzysów gospodarczych, nowej skali długu publicznego i prywatnego, odchodzenia od parytetu złota, regresu rolnictwa, realizowania największych projektów społecznych przez państwo, a nie przez inicjatywę prywatną oraz fakt, że państwa kapitalistyczne nie rozwijają zacofanych i biednych rejonów świata – co grozi niepokojami społecznymi. Jeśli więc Burnham przewidywał, że kapitalizm się skończy, to w roku 2020 możemy powiedzieć, że się mylił, ale jeśli spojrzymy na jego ocenę kondycji gospodarki wolnorynkowej, to można przyznać mu rację.

Bezrobocie jest już rozpatrywane nie tylko jako problem ludzki, lecz także polityczny oraz ekonomiczny. Nie jest tak, że bogaci inwestorzy mogą spać spokojnie, mając swoje sprawy uporządkowane, jeśli za oknami tysiące ludzi nie ma za co żyć. Jeśli solidaryzm społeczny i programy socjalne pojawiły się we wszystkich gospodarkach współczesnego Zachodu, to właśnie dlatego, że dostrzeżono potencjał zniszczenia, jaki niesie za sobą bezrobocie.

Dług publiczny, o którym czytamy w „Rewolucji menedżerskiej”, także się wydarzył – jako powszechna plaga współczesnych rządów. Świat w 2012 roku zaciągał długi publiczne na poziomie 50 bilionów dolarów, a od

tego czasu jeszcze bardziej wzrósł. To znaczy, że gdyby każdy człowiek miał dzisiaj spłacić zadłużenia podjęte na poczet przyszłych pokoleń – musiałby w jednej chwili wyciągnąć z portfela ponad 8 tys. dolarów, ale dotyczy to także mieszkańców ubogiej Afryki czy Ameryki Południowej – Europejczycy czy Amerykanie zaciągnęli dług publiczny na wielokrotnie wyższe kwoty. Niektóre kraje są zadłużone bardziej niż wynosi ich roczny Produkt Krajowy Brutto. Wedle tych samych danych z 2012 roku (CIA World Factbook) japoński dług publiczny wynosił więcej niż dwuletnie PKB, a belgijski, singapurski, włoski, grecki czy portugalski – więcej niż ich roczne. Taka ekonomia jest możliwa m.in. dzięki demonetaryzacji pieniądza, tzn. odchodzeniu od wymiennalności pieniędzy na złoto. W 1941 roku Burnham pisał, że to się stanie – i stało się.

Chyba jedynie rolnictwo nie przeżyło takiego kryzysu, jakie prognozował amerykański filozof, ale już wielkie ogólnospołeczne czy ogólnoludzkie inwestycje faktycznie są podejmowane przez państwo, a nie rynek prywatny – loty kosmiczne, elektrownie atomowe czy największe przedsięwzięcia medyczne są inicjowane przez administrację, a nie tego czy owego biznesmena. W XIX wieku wszystkie tego typu rewolucyjne wynalazki i przedsięwzięcia były domeną odważnych czy wręcz szalonych bogaczy, ale ich era – zdaniem Burnhama – po prostu się skończyła.

Rok 1940 był czasem międzynarodowego kryzysu – autor „Rewolucji menedżerskiej” uznawał, że kapitalizm kończy się chociażby przez sukcesy Związku Radzieckiego i III Rzeszy, przez które w Europie i Azji wolny rynek niemalże zanikł, a zastąpiły go państwowe planowanie i rządowe inwestycje. Franklin Delano Roosevelt w USA także docisnął śrubę kapitalizmowi, skoro program New Deal był de facto planem wielkiego interwencjonizmu administracji w rzeczywistość amerykańską. Także niezależnie od tych mechanizmów, rozwój nowych technologii i nowych form inwestowania przemodelował gospodarkę – a także strukturę własności. Kapitałisci, zdaniem Burnhama, stali się arysokracją XIX wieku – wciąż obecni, znani, niby potężni, ale już podkopywani przez nową klasę panującą.

► Zmiana struktury własności

„Rewolucja menedżerska” już z tytułu zapowiada, że nową klasą dominującą w rozwiniętych społeczeństwach będą menedżerowie, a więc kadry kierownicze, wyższy szczebel administracji i szefowie w firmach prywatnych. Ale jak to możliwe, że nie właściciel korporacji, lecz jego menedżerowie mają być najsilniejszymi czynnikami władzy? Amerykanin zauważył to, co kilka dekad później zostało nazwane „rozproszaniem władzy”, pewną płynnością nowoczesności, zacierania się

granic – nie tylko państwowych, narodowych, lecz także pomiędzy własnością. Sprzedawanie akcji na giełdzie czyni udziałowców decydentami i kontrolerami kursu firmy, a nawet jeśli mają coraz mniejszy wpływ na zarządy firmy, to jednak kiedy sprzedają i kupują akcje, to oddziałują na kapitał i mogą go nawet zniszczyć. Giełdowe wahania mogą być niezależne od samej produkcji w firmie – kompania samochodowa może mieć świetne pomysły, wysoką jakość towaru, nowe rynki zbytu, ale skandal obyczajowy czy subiektywna niepewność akcjonariuszy może zaburzyć płynność finansową firmy.

Ale to nie wszystko – przyspieszenie rozwoju technologii także zmniejsza władzę właścicieli. Zaawansowany poziom produkcji wymaga fachowców, specjalistów i nawet sam prezes zarządu, właściciel potężnej marki, może nie wiedzieć, nie znać się na szczegółach swojej branży, oddając kontrolę nad działaniem firmy właśnie menedżerom.

Burnham po prostu twierdził, że własność oddziela się od właściciela – formalnie jest jego, ale skoro właściciel nie ma nad nią pełnej kontroli, to znaczy, że struktura posiadania zmienia się na stałe. Kupiec w XVII wieku mógł jednego dnia sprzedać wszystkie okręty i zainwestować w kopalnię, ale dziś potrzebowałby zgody zarządu i szerokich konsultacji z wykształconymi specjalistami. Autor „Rewolucji menedżerskiej” przewidywał, że w pewnym momencie kadry specjalistyczne będą faktycznie rządziły firmami, traktując właścicieli tak jak XIX-wieczni kapitałisci monarchów – są, bo są, formalnie na górze, w rzeczywistości: zdani na łaskę faktycznych decydentów.

Filozof wyróżnił cztery funkcje menedżerów: 1. kierownictwo operacyjne, organizują, pracują w salach, laboratoriach, w fabrykach, zarządzają maszynami; 2. zajmują się zyskiem, sprzedawcy, negocjatorzy ceny, kredytów, wykonawcy poleceń zarządów; 3. wyżsi menedżerowie pracujący na styku różnych korporacji, inwestują w różne marki i spółki, sprzedają akcje, są rzecznikami łączenia firm; 4. właściciwi właściciele, których rola coraz częściej ogranicza się do stawiania sprzeciwu, proponowania działań i dzielenia dywidend.

Dopiero późniejsi badacze zarządzania zauważyli kolejne wskaźniki, że menedżerowie tworzą osobną klasę społeczną – mają swoje zwyczaje, własną opiekę medyczną, ulubione rozrywki – zrodzili więc osobliwą kulturę. Tak jak kiedyś kapitałisci byli kojarzeni z frakami, cygarami i whisky, tak dzisiaj menedżerowie zrzeszeni w korporacjach mają wspólne delegacje, wypoczynki, komplet usług czy zniżek na siłownię, mają w dodatku własny slang, nazywany dziś językiem korporacyjnym.

Burnham uprzedzał, że świat przyszłości będzie mniej zindywidualizowany, gospodarka będzie oparta

na wielkich projektach i planach, a zarządzanie będzie niejako bezosobowe – decyzje nie będą podejmowane przez pojedynczych ludzi, lecz w menedżerskich gremiach, hermetycznie oddzielonych od nominalnych właścicieli, akcjonariuszy czy innych pracowników. Filozof zapowiadał swoisty totalitaryzm – bezduszne rządy wielobranżowych imperiów, algorytmów i planów ekonomicznych. Pracownicy dzisiejszych korporacji znają wyraźne elementy tego zjawiska.

► Totalitaryzm

Burnham nie oceniał tego pod kątem moralnym – opisywał to beznamiętnie, jakby przypatrywał się przyrodniczemu zjawisku. W 1941 roku wydawało mu się, że III Rzesza wygra wojnę w Europie i świat będzie podzielony na trzy wielkie bloki – nazistowski, komunistyczny i... amerykański, którego nie nazywał kapitalistycznym. Nawet tego nie nazywał w kategoriach moralnych.

Przytaczał potępienie totalitaryzmu niemieckiego i sowieckiego, ale uznawał, że jest to potępienie bardziej samej III Rzeszy czy Związku Sowieckiego, a nie panującego tam ustroju czy stanu wolności jednostki. „Czy równie wrogo będziemy reagować na amerykański totalitaryzm?” – pytał w książce. Wskazywał, że nowe mechanizmy gospodarcze nie tylko odbiorą właścicielom kontrolę nad ich majątkami, lecz także zwykli ludzie nie będą mogli oddziaływać na władzę ani na klasę panującą. Tak jak kapitalizm wzmocnił państwa narodowe, tak menedżeryzm wzmocni międzynarodowe korporacje – kto będzie miał wpływ na firmę, mającą majątek większy niż wiele z państw i uzależniających miliony ludzi od siebie?

Menedżerowie nie będą, zdaniem Burnhama, domną jedynie postkapitalistycznego społeczeństwa. „W III Rzeszy i Związku Sowieckim rewolucja menedżerska już trwa” – przekonywał. Wielkie przedsiębiorstwa państwowe, będące własnością wszystkich i niczyją, będące własnością władzy, zarządzaną przez menedżerów, były zależne od kadry kierowniczej, różnych dyrektorów, specjalistów i konsultantów. Sektor decyzji przejdzie do ich biur i gabinetów, stąd też filozof wskazywał, że po epoce parlamentarnej nastąpi epoka gabinetowa, której ludzie już nie będą wybierać w demokratycznych wyborach.

► Kapitalizm nie wytrzyma do końca świata

Wizja Burnhama zdaje się na pierwszy rzut oka nie spełniać. III Rzesza przegrała wojnę wkrótce po wydaniu książki, a Związek Sowiecki rozpadł się kilka lat po śmierci autora. Kapitalizm zdaje się trwać, a w społecznej świadomości nadal funkcjonują na-

zwiska potężnych właścicieli: Billa Gatesa, Marka Zuckerberga, Rockefellerów, George’a Sorosa. A jednak Burnhamowskie mechanizmy istnieją i pracują, choć w nieco innych miejscach niż przewidywał autor „Rewolucji menedżerskiej”. Wielkie spółki faktycznie zarządzane są przez – często anonimowych dla mas – dyrektorów, którzy kierują się długofalowymi strategiami wzrostu zysku, dalekich od typowych kapitalistycznych decyzji z wcześniejszych dekad. Własność bywa trudna do ustalenia – system wzajemnego wykupywania akcji tworzy sieć powiązań, spółek-matek, spółek-córek, rozdrobnienia własności na akcjonariuszy, a maklerzy giełdowi potrafią zarabiać w ciągu kwadransa miliony dolarów – jedną decyzją kupna właściwych udziałów – co to ma wspólnego z klasycznym kapitalizmem związanym z indywidualizmem, kreatywnością, odwagą i pracowitością?

Do Burnhamowskiej wizji doszły także inne czynniki – sztuczna inteligencja. Często to komputerowe algorytmy podpowiadają najlepsze rozwiązania – programy cyfrowe, symulacje ekonomiczne i BIG DATA stają się w pewnym sensie osobnymi menedżerami, decydującymi o kierunkach rozwoju firmy, na których nikt nie ma wpływu. Miliardy ludzi są bezwolnymi odbiorcami produktów wielkich korporacji – korzystamy z mediów społecznościowych, telefonów czy cyfryzacji. Słabną też państwa narodowe – to Facebook albo Twitter decydują, jakie treści można publikować, a które „administratorzy” (menedżerowie!) zablokują albo – jak w Wikipedii – przeredagują zgodnie z polityczną poprawnością.

Kapitalizm chyba zdołał się obronić – tak jak w 1941 roku, tak i dzisiaj menedżerowie nie są wszechmocni, można ich łatwo wymienić, choć łatwo im będzie o nową pracę. Jednak z opisu tworzenia się nowej, menedżerskiej epoki Burnham wysnuwał wnioski i ostrzeżenia ogólne: kapitalizm nie będzie wieczny, własność prywatna, jaką znamy, może się okazać zjawiskiem przejściowym, a społeczeństwa oparte na wpływie na władzę to nie jest konieczność – wizje bezdusznych, anonimowych rządów z gabinetów menedżerskich gremiów spełniają się na niektórych polach. Niewiele o tym słychać w szerokim świecie. Granty na badania transformacji kapitalizmu w jakiś nowy system nie są powszechnie rozdawane, nauka woli sprawdzać, ile jest płci kulturowych niż to, kto ma największy wpływ na światowe procesy decyzyjne. Łatwiej jest opisywać problemy zastępcze niż trudną, dynamiczną rzeczywistość społeczno-ekonomiczną, a wreszcie zbadać wpływowe siły dysponujące większością światowych zasobów. Może więc rewolucja menedżerów już się odbyła, tylko klasie panującej nie zależy, byśmy się o tym dowiedzieli? ■

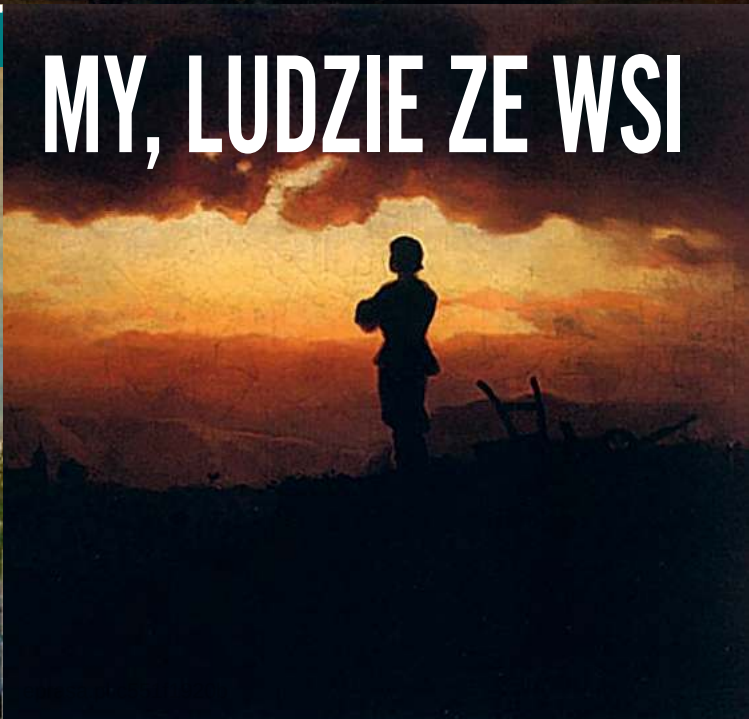


Wieś polska lat początku XXI wieku przypomina rzekę, która płynie tutaj, gdzie mieszkam, środkiem rozległych łąk, i po pięćdziesięciu latach od czasu melioracji i pracowitego prostowania jej koryta wraca do swojego naturalnego biegu. Koryto znów jest kręte, łąki miejscami mocno podmokłe, roślinność coraz bogatsza. Przybywa ryb w tej rzece i ptaków wokół. Jest wesoło, hucznie, odświeżnie.

Ewa Polak-Palkiewicz



MY, LUDZIE ZE WSI



Oanima humana naturaliter Christiana, dokąd maszerowałaś tak dzielnie, że nie potrafiłaś znaleźć zwykłej drogi?” – pytał rozpaczliwie Chesterton w swej „Autobiografii”, zatrwożony zmianami w mentalności zwykłego, kochającego wieś i proste życie Anglika, pod wpływem dziwacznych ideologii początku XX wieku.

► Sentymentalizm mieszczaucha

W Polsce także wszyscy jesteśmy tak naprawdę ze wsi. W każdym tkwi głęboko jakiś obraz, jakieś głosy, zapachy, które oznaczały pierwotny ład, cichość, wspólnotę, rodzinność. Bezpieczeństwo i poczucie sensu. Może to dźwięk skrzypiącego zurawia, odgłos kopyt końskich i kół drewnianego wozu turkoczących po kamienistej drodze, wspomnienie jazdy na furze pełnej snopków o zachodzie słońca, widok rannych mgieł nad rzeką, gdy szło się z dziadkiem na ryby, albo rozgrzany słońcem sad w letnie popołudnie. W środku sadu – pasieka, pod lipą dębowy stół, przy którym częstowano miodem, lanym prosto z butelki; dawano do niego pajdy chleba z twardą skórką i wodę ze studni w szklance z grubego szkła. Ilu Polaków ma podobne wspomnienia?

Czy dlatego lubimy do nich wracać, że „epoka zmian dobiegła kresu, teraz nadeszła epoka konserwatyzmu i spoczynku” (Lord Cecil)? Chesterton jednak dodaje cierpką uwagę, że nasza epoka jest epoką konserwatyzmu tylko dlatego, że jest epoką całkowitej niewiary. Jeśli się bowiem chce, „by instytucje nie podlegały zmianom, wcześniej należy się zatroszczyć o to, by wierzenia rozwiwały się często i szybko. Im bardziej wykołei się życie umysłowe, tym pewniej mechanizm świata materialnego będzie pozostawiony sam sobie”. W tym właśnie położeniu znajduje się przeciętny człowiek naszych czasów. Może z jednym wyjątkiem. Z wyjątkiem grupy ludzi, którzy pracują na roli i żyją z tej pracy (lub z usług związanych z nią). Oni nie dadzą się tak łatwo oderwać od rzeczywistości. I w rezultacie zwrócić przeciwko innym ludziom oraz zobojętnieć religijnie.

Jeżeli dziś znikają z pola widzenia ludzie, których krzątanie na polach obserwowaliśmy z dziecięcą ciekawością, odczuwamy niepokój. Jaki jest jego skutek? Nieraz zaskakujący. Oto opustoszałe wiejskie domostwa, zwane teraz siedliskami, zaludniają przybysze z miasta. Gna ich ku porośniętym pokrzywami i łopianami podwórkom i leżącym odległymi polom. Przyjeżdżają, by kosić trawę, palić ogniska i wylegiwać się w zdziczałych sadach.

Niektórzy tę tęsknotę nazywają atawizmem. Prawdziwych rolników musi trochę śmieszyć ten sentymentalizm i chłopomania.

Ale są i inne nowości. Podczas gdy wiele wiejskich kobiet, którym nie oplaca się już trzymać inwentarza, zaopatruje się w sklepach: w jajka z ferm, w bułki na polepszaczach i przetworzony w wielkich fabrykach żywności nabiał, panie z miasta – szczególnie te dobrze urodzone albo z większymi ambicjami – raczą rodzinę razowym chlebem z ziarnami, wypiekany w domowym piecu, a w skrzynkach na parapecie hoduja zioła. Nie ze snobizmu, z rozsądku. Gdy wieś jest szczęśliwa, że w każdym sklepie można dostać wędlinę, kolorowe napoje i czekoladki, miasto ugania się za przywiedłymi warzywami z gospodarstw ekologicznych, zaprzyjaźnia się z rolnikami, którzy gospodarują na kilku hektarach. Wieś nie wybrzydza na żywność z plastikowych kubeczków, zamożne miasto coraz częściej szuka na targu grzybów, orzechów, jagód i borówek prosto z lasu. Ta sytuacja ukazuje nie tylko różnicę w możliwościach finansowych, lecz także w wyobraźni i mentalności.

Ale przecież, gdzieś od środka tych przetasowań, zamiany miejsc, ról i upodobań czai się jakiś niewypowiedziany dramat. Szarpające pytanie: co dalej ze wsią? Co dalej z ziemią?

► Kwiaty na oborze

Na wsi nie brakuje przecież tych, którzy gotowi są oddać ostatni kawałek ziemi, żeby mieć na mieszkanie w mieście, porządną samochód, nowe meble. Miasto tymczasem liczy pieniądze, żeby starczyło choć na kilka arów „w ładnym miejscu”, a potem marzy o jakiejś walącej się chacie, studni, obórze, kurach drepających wśród chwastów, „prawdziwej” krowie. A kiedy już chłop pozbędzie się ziemi, która niejednemu ciążyła jak kamień (za mało maszyn, nieopłacalne uprawy, uzależnienie od chemii, drożące paliwo, nieobliczalny rynek) i staje się byłym rolnikiem, zaczyna stawiać paradne płoty, ogródki przydomowe zamienia na ogrody francuskie, domy przypominające klocki na mauretańskie czy włoskie wille, opustoszałe obory pracownicy dekoruje kwiatami. Jego życie przypomina życie królewicza z bajki, który w jednej chwili z żebraka stał się właścicielem fortuny. Jest szczęśliwy. Do czasu. Bo przecież pieniądze kiedyś się kończą.

Czy pojawia się żal, jakaś refleksja? Czy może liberalizm skutecznie wyparł z umysłu poczucie niezręczności, zażenowania, że weszło się w nie swoją rolę? Wieś naśladuje miasto, miasto naśladuje

wieś. A wszystko to nierzadko na pograniczu farsy. Bo to właśnie często liberalizm, przez rozbudzanie namiętności związanych z konsumpcją, nakręcanie wciąż nowych „potrzeb” wypędza młodych i starych z rodzinnych gospodarstw, przekonuje, że pozostanie na wsi „nie ma sensu”, bo wysiłek jest nieopłacalny, harówka nigdy się tu nie kończy. To liberalizm niszczy zakorzenienie na ojcowskiej ziemi i we wspólnocie, każe dystansować się i – w efekcie – lekceważyć życie religijne, nie obchodząc już z takim zaangażowaniem jak jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu Maryjnych świąt, parafialnych odpustów lub w ogóle o nich zapominać. To liberalizm powoduje ogromne straty w jakości polskich gleb, maltretowanych bez umiaru radykalnymi środkami chemicznymi, bo „z tej ziemi trzeba wycisnąć pieniądze”. Domaga się też niekiedy, zwłaszcza w młodszych pokoleniach, by oczekiwać niecierpliwie godziny rozpoczęcia serialu, a nie odwiedzin krewnych czy sąsiadów.

Liberalizm pustoszy polską wieś, wydrąga ją duchowo, eksploatuje psychicznie i materialnie, obiecując pasmo powodzenia i przyjemności bez wysiłku, a potem – z upiornym chichotem – porzuca ją i zostawia samej sobie. Nie są odosobnione przypadki rolników, którzy ulegają wizji łatwego życia, wyzbywają się ziemi pod presją konsumpcyjnych marzeń i z właścicielami, gospodarzami stają się wyrobnikami na cudzym, najmowanymi za grosze robotnikami bez przynależności do ziemi przodków, bez własności.

A przecież gdzie szukać szlachetnych odniesień międzyludzkich jak nie na wsi? Gdzie, jeśli nie w Polsce zwyciężyć ma zdrowy rozsadek, wielkoduszość i wyobraźnia? To nie dzięki przeludnionym miastom, gdzie ludzie są coraz bardziej egoistyczni, roszczeniowi i samotni, lecz dzięki małym miasteczkom i wsiom, gdzie uprawa ziemi jest męską walką, przynoszącą wielką satysfakcję, a współpraca człowieka z Bogiem przy pracy na roli nie jest legendą, wymysłem, fantazją, lecz codzienną rzeczywistością. Sąsiedzi zaś, sąsiedztwo, wspólnota to prawdziwe dobro i wielki, podejmowany z godnością obowiązek.

► Subtelności towarzyskie

Mieszkańcy wsi, którą od lat znam i obserwuję, spędzam w niej dużą część roku, nie tylko nie lubię, lecz wręcz nie toleruję, psychicznie nie znoszą, by uważać ich za kogoś innego (w domyśle: gorszego) od ludzi z miasta. Najgorszym błędem towarzyskim, jaki można tutaj popełnić, jest dać im to do zrozumienia. Być uważanym i traktowanym jak in-

ni, jak ci z miasta, to kwestia własnej godności, rzecz, dla której nie ma ceny. W sumie: godna najwyższego szacunku.

G.K. Chesterton miał niesłychaną intuicję, jak ważna społecznie i zarazem nietatwa, bo posiadająca szereg nieraz trudno uchwytnych subtelności, jest to sprawa. Pisał w „Autobiografii” o problemie, z którym borykał się w latach wczesnej młodości, „co zrobić, by ludzie uzmysłowili sobie, jak cudowne i wspaniałe jest to, że żyją w otoczeniu krytykowanym przez nich codziennie jako nudne i pozbawione życia, które ich wyobraźnia uznawała za martwe”. By nie przyznali nigdy, że są mieszkańcami byle jakich miejsc. „Jak okiem sięgnąć, wszędzie, aż po horyzont rozciągały się byle jakie miasta, z byle jaką architekturą, ubiorami, a nawet manierami” – pisał o Anglii schyłku XIX wieku. „Tak naprawdę istotne było jedynie to, że ich mieszkańcy wyobrażali je sobie jako byle jakie”... Jakby przyjęli za prawdę płytkie dziennikarskie uogólnienia odbierające miejscom ich rzeczywisty charakter. „Nowoczesny, prozaiczny styl życia oddziaływał na nich dniem i nocą swoją monotonią i to on tak naprawdę kształtował ich umysł”.

Tymczasem Chestertona interesowało historyczne znaczenie pewnych bliskich mu miejsc, zakwalifikowanych jako nudne. Chciał, by ludzie mieszkający na takich terenach byli prawdziwymi patriotami lokalnymi, nie tylko nie wstydziło się ich, lecz by byli z nich dumni. Tak jest też z wieloma mieszkańcami polskiej wsi. Potrzebują jak powietrza poczucia dumy ze swoich miejsc życia.

Tak, nie godzi się, by nasi rodacy, którzy nie mieszkają akurat przy głównej ulicy, po której już od czwartej rano przejeżdżają z hałasem tramwaje, ani na dwudziestym pięttrze wieżowca z widokiem na stadion, dworzec autobusowy czy galerię handlową, mieli przekonanie, że są z tego powodu kimś gorszym, mniej „ważnym”, mniej „liczącym się” w kraju.

► Prawdziwy wioskowy *savoir-vivre*

A gdyby ktoś z miasta zechciał poznać bliżej ten nieznaną kontynent, jakim jest współczesne życie polskiej wsi, zdziwiłby się bardzo, jak wielką wiedzę posiada każdy, zupełnie przeciętny jej mieszkaniec. Jest to jego wiedza o bliźnich. Wiedzieć o bliźnich, sąsiadach, rówieśnikach ze szkoły, parafianach „wszystko” – o ich pochodzeniu, rodzinie, koligacji, z czego żyją, czy mają jeszcze inwentarz, kto hoduje krowy czy konia (zupełny ewenement, w mojej wsi ma go rolnik, który w wolnej chwili pisze wiersze i poematy), to nie jest taka sobie bła-

ha, przyczynkarska znajomość, to faktyczna, niezwykle przydatna wiedza o własnej społeczności. O korzeniach, tradycjach, zachwycających zdarzeniach i tragicznych pomyłkach, o nieubłaganej logice ludzkiego życia, o odwiecznych zasadach nim rządzących.

A rytuał wiejskich wizyt, rewizyt, prezentów dawanych sobie przy tej okazji, żelazne zasady *savoir-vivre*, etykieta, jaka obowiązuje w relacjach wzajemnych ludzi ze wsi? Na przykład fakt, że trzeba mieć zawsze czas na rozmowę z sąsiadem czy znajomym, niezależnie od miejsca i okoliczności, gdy ktoś ją zagai, i jest niesłychaną obrazą odwrócić się plecami, by udać, że kogoś się nie widzi albo nie ma się dla niego czasu. Albo nie przyjąć oferowanego poczęstunku, pod pretekstem, że „brzuch mnie boli” albo „nie jestem głodny”. Takie rzeczy są nie do przyjęcia, nie mogą mieć miejsca. Ludzie na wsi są bez porównania bardziej ceremonialni i o wiele bardziej wrażliwi, niż się przypuszcza.

„Babcia pyta, czy zechciałaby pani przyjąć lilie do kapliczki?” – usłyszałam niedawno od dziesięcioletniego chłopca, gdy na naszej posesji stanęła drewniana kapliczka.

Scena przed miejscową apteką. W kolejce stoją mężczyzna i kobieta w średnim wieku. Kobieta zagadała się przez komórkę, mężczyzna z wolna, oglądając się, zmierza do okienka. „Nie, nie dam! Nie wpuszczę!” – woła ze śmiechem kobieta i biegnie na przelaj przez ukwiecone rabatki przed apteką. „Będę walczył do końca!” – odpowiada, przyspieszając kroku i zanosząc się od śmiechu mężczyzna.

„Nie boi się pani tak jeździć rowerem?” – pyta mnie przed sklepem jeden z rolników popijający piwo. „A dlaczego miałabym się bać?”. „Bo jakby pani się przewróciła, a mnie nie byłoby w pobliżu, to nie mógłbym pani podnieść”.

Bezpośredniość, tak, ale i nieznanie tam, gdzie żyją obok siebie ludzie słóczeni w wielkiej masie, humor, polot i elegancja wyróżnia tę społeczność.

Wies polska lat początku XXI wieku przypomina rzekę, która płynie tutaj, gdzie mieszkam, środkiem rozległych łąk, i po pięćdziesięciu latach od czasu melioracji i pracowitego prostowania jej koryta wraca do swojego naturalnego biegu. Koryto znów jest kręte, łąki miejscami mocno podmokłe, roślinność coraz bogatsza. Przybywa ryb w tej rzece i ptaków wokół. Jest wesoło, hucznie, odświeżnie.

Wiejskie sklepy stają się w nieunikniony sposób klubem towarzyskim (są tutaj cztery). Hania – sklepowa – karmi ptaszki przed budynkiem okrucami chleba zbieranymi starannie z lądy. W skle-

pie panuje półmrok, natłok wszystkiego na zbyt małej powierzchni, ale i sterylna wręcz czystość. A gdy przyjeżdża na przykład na czyjaś posesję miejscowy szambiarz, to jest to człowiek pachnący dobrą wodą kolońską, ubrany od stóp do głów w wyższej klasy sportowe ciuchy, a jego szambiarzka to nowy mercedes, wyposażony w miejscowym zakładzie samochodowym.

W drewnianym dworcu tutejszych pszczelarzy, do którego prowadzi kręta aleja wysypana białym żwirkiem, fortepian i pejzaże olejne dobrego pędzla na ścianach. Niesłychany ład całego obejścia, nowoczesnie wyposażona pracownia pszczelarzy – ludzi innej profesji, ale stąd pochodzących – i miód najwyższej klasy w kilkunastu gatunkach.

A jak spędza 1 sierpnia, rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, miejscowa krawcowa? Najpierw Bronka piecze ciasto z malinami, parzy w dzbanku herbatę z mięty. Potem przez cały Boży dzień – jeden bodaj taki dzień w roku – ta nadzwyczaj pracowita osoba, którą łatwiej spotkać w polu i ogrodzie niż we własnym domu, nie odrywała oczu od ekranu telewizora, zalewając się łzami. „Była” wszędzie, na Powązkach i przed pomnikiem Powstańców, przy tablicach pamiątkowych na murach Warszawy. Paliła znicze, śpiewała.

► Ludzie, którzy potrafią się dziwić

Chesterton wyznał w „Ortodoksji”, że zawsze blisko było mu do demokracji, a tym samym do tradycji. Zawsze był skłonny „bardziej wierzyć tłumom ciężko pracujących ludzi niż tej szczególnej i wyjątkowo kłopotliwej klasie literatów”. Ciężko pracujący ludzie nie dają skolonizować swoich umysłów. Potrafią wciąż dziwić się światem. Dostrzegają cudowność w codziennych zjawiskach przyrody („Kraina cesarzy to nic innego jak słoneczny kraj zdrowego rozsądku”). Nie zaprzęgają swojej wyobraźni, by służyła rozpowszechnianiu się irracjonalnych utopii.

Pod hasłami wolnego rynku tę krainę zdrowego rozsądku i wyjątkowej pracowitości niszczy pośrednictwo – bardzo często nieuczciwe – i wymuszanie uprzedysponowania upraw i hodowli. W rezultacie chłop sprzedaje swoją żywność zbyt tanio i często zmuszony jest dokładać do upraw. Żeby zmieścić się jakoś na nieuczciwym rynku (przez wiele lat sprowadzano taną żywność z Chin i innych krajów, opróżniano magazyny krajów UE sprzed dwudziestu lat etc.), zmuszony jest do produkowania coraz gorszej jakości żywności i produktów rolnych. To nie brak wiary czy rozsądku, tylko proza życia zmusza go tego.

Jeszcze w latach 90. zapowiadano w politycznych „salonach” naszych postkomunistycznych „elit”, że Polskę trzeba ograbić z rolnictwa, wytrzebić w niej indywidualne gospodarstwa, zepchnąć na margines tę dziedziczoną życia, która ma największej wspólnoty z wolnością, „wykończyć” gospodarke, która przez ostatnie dziesięciolecie żywiła cały naród. Przeplancować ludność wiejską do miast na jakieś pseudoposady, tak jak w latach 50. zaganiano ją do kopalń, na wielkie budowy i do kombinatów. Trzeba to zrobić, bo... indywidualne gospodarstwa chłopskie są ostoją katolicyzmu. Bije tu wciąż źródło zdrowej religijności. Tuż rodzą się powołania. Plan był prosty. Zastosować mechanizmy ekonomiczne. Nie mechanizmy zdrowej ekonomii, tylko globalnego, paneuropejskiego planu, poskręcanego w wymyślne supły, wysmażonego w pijanym widzie w jakimś dusznym gabinecie. W myśl tej strategii wprowadzanej w życie w całej Europie – ale w Polsce, z powodu radykalizmu środków, odczuwanej na przełomie XX i XXI wieku jako katastrofa narodowa – rolnictwo trzeba było zdusić w uścisku rzekomych „praw rynku” jak pluskwę. Rodzime potrzeby żywnościowe i prawdziwie wolny rynek zastąpić „kwotami” brany z sufitu. I oto na naszych oczach ono naprawdę zaczęło dogorywać. A w sklepach pojawiły się podróbki żywności, wyłakierowane, napęczniałe chemia.

► Na ziemi zostają arystokraci

Zostają ci, którzy głęboko czują religijny wymiar powołania do pracy na roli. Nie trzeba dodawać, że właśnie tacy rolnicy okazują się często najbardziej przedsiębiorczy. Bo są to ludzie, dla których więź społeczna, wspólnota i więź z ziemią nie są abstrakcją, lecz realną podstawą i motywacją do życia. Ludzie, którzy pamiętają z własnego dzieciństwa pierwsze przykazanie pracy na roli, od którego zaczynało się każdy dzień: „Jeśli Pan Bóg nie pobłogosławi, nic z tego nie będzie”. Więc o to błogosławieństwo proszą. Zostają nie fabrykanci żywności, lecz prawdziwi gospodarze, zaczynający dzień od modlitwy. I od głębokiego namysłu – bo uprawa ziemi nie ma nic wspólnego z mechanicznymi czynnościami. To sztuka wymagająca czujności, wiedzy i inteligencji. Jest ich coraz mniej. Tamci chłopcy – ci, którzy już spoczywają na cmentarzach pod wysokimi drzewami (o ile nie wytrzebili ich spryciarze błyskawicznie zamieniający na złotówki każde naturalne bogactwo wiejskiego krajobrazu) – wiedzieli o tym najlepiej. Brakuje im statecznej mądrości, niespiesz-

nych decyzji podejmowanych po uważnych obserwacjach („A marzec tego roku był suchy”). Ich wyciąganie gospodarskich wniosków w perspektywie lat, nie miesięcy – bo pracując na ziemi, łatwo można się pomylić, a pomyłka kosztować może głodną zimę – ich czujnego podpatrywania, co tam u sąsiada, jak on sobie radzi. Ich gotowości, by spieszyć z pomocą gorzej się mającym. Ich dobrych rad, wieczornego głośniego pacierza na gołych deskach przy świętym obrazie z wieczną lampką albo przy krzyżu, który zawsze stał na stole w kuchni. Brakuje domów wypełnionych prostymi sprzętami i symbolami wiary. „Jeśli nie ma Boga, nie jesteśmy braćmi”.

Plan Stwórcy to projekt, który po prostu tkwi w ziemi, obecny jest w przyrodzie, pod każdą szerokością geograficzną, i trzeba go tylko odnaleźć, niczym zgubiony skarb, odczytać, z uwagą obserwując te dobra, które otrzymaliśmy w darze. Ten plan zawsze rozczaruje tych, którzy szukają „nowości”, „rewelacji”. Wbrew powszechnemu niemal przekonaniu nie trzeba zawrotnych technologii rujnujących każdą kieszeń, nieustannego poprawiania i ulepszania tego, co zostało stworzone jako doskonałe. Nie trzeba drogi na skróty. Celem życia człowieka nie jest zdobycie fortuny, lecz życie wieczne. Wsi potrzeba umiaru, rozsądku, uwagi, staranności, dyscypliny, odwagi. Współpracy nauki i szlachetnego rolniczego rzemiosła. Bo ziemi nie da się uprawiać metodami przemysłowymi. Byłaby to tylko bezduszna eksploatacja zakończona wcześniej czy później totalną klęską. Tu potrzebna jest cierpliwa praca ludzkich rąk, spotkanie ich ciepła z ciepłem ziemi.

Fenomen rozwoju w Polsce gospodarstw ekologicznych – nie bez problemów, z wielkim trudem, jakim zawsze jest powrót do tradycji po latach eksperymentowania z tym, z czym eksperymentować się nie godzi – udowadnia, że jest jeszcze możliwe to, co dwadzieścia lat temu „państwo” z rządowych lancji, niepotrafiący się dobrze wysławiać po polsku, uznali za przeżytek i anachronizm „szkodzący wizerunkowi Polski”. Wiesz polska z przydrożnymi krzyżami i kapliczkami, wiesz bez cuchnących na dziesiątki kilometrów ferm przemysłowego chowu trzody, ale za to ze stadami gęsi i kaczek nad stawami, nie musi wcale zarosnąć chwastami po pas, nie musi „stać się lasem”, jak chciałoby tego niektórzy „projektanci” z Brukseli. Nie musi też konieczne zostać skansenem, by przetrwać – i pozostać jedynie atrakcją turystyczną dla zagranicznych gości (choć mądrze zorganizowana turystyka może być ważnym źródłem dochodu wiejskich rodzin),

ale może nadal żywić miasta i pozwolić godziwie żyć swoim dzieciom. Pozostać ostoją wiary, polskiej tradycji, katolickiej kultury. Wydawane w Bydgoszczy czasopismo dla rolników „Eko-arka” pokazuje w każdym numerze dziesiątki ludzi, którym tradycyjne gospodarowanie na ziemi się opłaca, którym wszystko (lub prawie wszystko) się udaje, którzy nie mają wygórowanych potrzeb, wyśrubowanych oczekiwań, nieokiełznanych ambicji. Którzy żyją statecznie i spokojnie.

► Potrzebni nowi ziemianie

Wsi dzisiejszej dramatycznie brakuje dobrych, racjonalnych wzorców. Ludzie nawykli do ciężkiej pracy – choćby nawet tak trzeźwo myślący jak polscy chłopcy – gubią się wśród zjawisk społecznych i gospodarczych, które nie zawsze potrafią prawidłowo odczytać i zinterpretować. Przykładem jest niejednoznaczna odpowiedź rolników na zagrożenie biologiczne związane z modyfikowaną genetycznie paszą i nasionami czy bezsilność wobec nachalnie wymuszanego stosowania różnych chemikaliów jako rzekomo „zupełnie bezpiecznych” w miejsce tradycyjnego pielienia itd. Brakuje instytucji, które byłyby w oczach rolników wiarygodne i podjęłyby się bezstronnego oceniania tego typu presji. Brakuje doradztwa tu, gdzie decyduje się zdrowie samych plantatorów czy hodowców i odbiorców ich produktów oraz jakość ziemi. W tej dziedzinie osiągamy szczyty niefrasobliwości. Brakuje inspiratorów zdrowej wiejskiej spółdzielczości i współpracy różnych sektorów rolnictwa.

Przed wojną rolę wzorców i doradców spełniali ziemianie. Tworzyli nie tylko nowoczesne lobby, wspierające racjonalne zmiany gospodarcze na wsi, korzystne innowacje w uprawach i hodowli i stosowanie nowoczesnych maszyn, lecz także czuwali nad ładem społecznym wiejskiego życia.

Jest okrutnym paradoksem, że mnożące się w całej Polsce sklepy tzw. ekologiczne przeładowane są „ekologiczną” żywnością... z Chin i innych krajów azjatyckich; a także z Włoch, Niemiec i Czech. Zdarzają się produkty z Belgii i Danii. Polskich jest wciąż niewiele.

Polskim rolnikom, którzy trwają na ziemi uprawianej własnoręcznie, należy się pomoc ludzi prawdziwie mądrych, nie tylko wykształconych formalnie. Ta pomoc powinna zmierzać do tego, by chłop mógł sprzedawać bez pośredników – lub przy pomocy uczciwych pośredników – swoją żywność miastu i utrzymać się z tego. To będzie sprawiedliwe, moralne i godziwe. I niezbędne, byśmy przetrwali jako naród – także fizycznie, niezależ-

nając się od podejrzanej jakości żywności z importu. I odseparowali się od hołoty propagującej w mediach zabójcze dla polskiej kultury wzorce. To polacy Polaków znów we wspólnotę.

Czy nie powinno to stać się hasłem – a przede wszystkim programem wyborczym – grup politycznych przygotowujących się do kolejnego wyścigu o władzę? Odpowiedzialność za ziemię i los pracujących na niej ludzi była częścią odpowiedzialności za własne państwo. To ziemianie troszczyli się o przyszłość chłopskich dzieci – zakładali dla nich ochronki i szkoły, powoływali warsztaty rzemiosła artystycznego, tkalnie, stolarnie; panie z dworów służyły chłopskim rodzinom pomocą medyczną, nieraz na dużą skalę, zakładały wiejskie szpitaliki z pomocą sióstr zakonnych. Mieczysław Jałowicki, ziemianin spod Kalisza, opisuje radykalną rozprawę z wiejskim lewicowym agitatorom obnoszącym się ze swoją butą i demoralizującym wieś, którego syn terroryzował kolegów ze szkoły i bezkarnie lżył nauczyciela. Jełowicki wezwał go do szkoły i udzielił mu reprymendy. „Śąsiedzie – rzekłem, z trudem panując nad sobą – może byście tak zdjęli czapkę. Przecież tu jest szkoła i sami widzicie, krzyż wisi na ścianie. Nawet nie bardzo wypada, żeby gospodarz zachowywał się jak poganin” – zaczął. Gdy perswazja nie pomogła, trzeba było zastosować ostrzejsze środki. Poskutkowało. W szkole został przywrócony ład. Dziś nie ma takiej instytucji jak przedwojenne ziemiaństwo, które swoim autorytetem mogło skutecznie moderować sytuację i zapobiegać plagom społecznym (por. Mieczysław Jałowicki: „Requiem dla ziemiaństwa”, Warszawa 1989).

Wiejscy proboszczowie z uwagi na swoją pozycję społeczną muszą na wsiach być autorytetami w sprawach nie tylko duchowych. Bowiem wieś jak kania dżdżu potrzebuje przewodników, dostarczycieli wzorców, mądrych doradców. Umiejących dostrzec problemy jej mieszkańców w kontekście szerszym, ogólnokrajowym. Miasto ze wsią; wieś z miastem – to powinien być program. Także tych wszystkich mieszczuchów, którzy tak lubią kryte gontem domy z drewna i których serca wyrwywają się do wiejskiej ciszy i w niej szukają ukojenia i inspiracji. Szukają prawdy. Nie dajmy się rozdzielić i zobojętnieć na swoje potrzeby. Odpowiedzialność za ziemię, odpowiedzialność za los mieszkańców wsi – to jest część odpowiedzialności za państwo.

Ze szlachtą polską polski lud. Ze szlachtą mentalną, bo jedynie ona potrafi – tak jak potrafiła tamta, historyczna – wziąć w swoje ręce odpowiedzialność za los Polski. ■

Małgorzata Matuszak



Krucjata przeciw życiu

Pierwsze wzmianki o tym, że narodziny są czymś złym, pojawiły się już w starożytnej Grecji. Później chociażby u manichejczyków w III wieku naszej ery, a w XIX wieku temat ten dogłębniej podjął Artur Schopenhauer. W XX wieku został zaś ukuty termin „antynatalizm”. To zaś, co się pod nim kryje, zaczyna zdobywać coraz więcej zwolenników.

„Nie urodzić się wcale i nigdy słonecznego nie oglądać blasku, oto rzecz dla człowieka najlepsza” albo „po urodzeniu jak najspieszniej przekroczyć bramę Hadesu” – pisał Teognis. Chór w „Edypie” Sofoklesa powtarza zaś: „Nie ma drogi dla śmiertelnych, by uniknąć nieszczęścia losu – nie urodzić się, człowieku, to najwyższe, największe słowo. A jeśliś ujrzał światło dzienne, to najlepszą rzeczą wrócić tam, skąd przyszedłeś”.

► Niemoralność prokreacji

Termin „antynatalizm”, stosowany w opozycji do terminów „natalizm” lub „pronatalizm”, został użyty po raz pierwszy przez Théophile’a de Girauda w książce wydanej w 2006 roku zatytułowanej „L’art de guillotiner les procréateurs: Manifeste anti-nataliste” – „Sztuka gilotynowania prokreatorów: manifest anty-natalistyczny”. Współcześnie dwaj najważniejsi filozofowie i bioetycy zajmujący się antynatalizmem to Argentyńczyk Julio Cabrera i David Benatar z Republiki Południowej Afryki. Pierwszy uznaje, że spłodzenie dziecka jest wrzuceniem go w sytuację bez wyjścia, której punktem kulminacyjnym jest śmierć, i że dzieje się tak niezależnie od tego, czy będzie ono z życia czerpało przyjemność czy też nie. By można było uznać akt spłodzenia dziecka za moralnie pozytywny, trzeba by uzyskać na to jego zgodę, a skoro nie jest to możliwe, należy przyjąć, że jej się nie posiada, a spłodzenie dziecka tym samym za akt przemocy. Drugi twierdzi natomiast, że obecność bólu jest zła, brak bólu zaś dobry, lepiej więc jest się nie urodzić i bólu nie odczuwać, niż urodzić się i go doświadczać. Uznaje też wszelkie niedogodności, których doświadczamy w życiu, za cierpienie, które sumarycznie przewyższa wszystkie doświadczane w życiu przyjemności. Píše: „Prokreować to jak zabawiać się w rosyjską ruletkę, z tym, że broni nie przystawia się do własnej głowy, tylko do głowy swojego dziecka. Naciska się spust nowego życia i przez to naraża się kogoś na ryzyko cierpienia nie do opisania”.

Antynataliści twierdzą, że ludzie powinni zrezygnować z prokreacji, ponieważ jest ona moralnie zła. (Niektórzy rozszerzają to stwierdzenie i uznają także prokreację innych czujących istot za moralnie złą.) Jest ona ich zdaniem niemoralna tym bardziej, że istnieje tyle nieszczęśliwych dzieci, które czekają na adopcję. I antynataliści do niej bardzo zachęcają. Julio Cabrera píše na przykład: „Adopcja dzieci ma ogromną przewagę nad stworzeniem własnych w tym, że asymetrycznie nie manipulujemy nimi podczas narodzin; ktoś inny to zrobił. Adoptowane dzieci nie

mają wobec nas długu ontologicznej wdzięczności; wręcz przeciwnie, możemy być dla nich tymi, którzy złagodzą pierwotną krzywdę im wyrządzoną. Nie jesteśmy winni ich zaistnienia, więc nasza troska nie jest ani wewnętrznie sprzeczna, ani cyniczna (jest wolna od paradoksu chronienia tego, kogo samemu narażono na niebezpieczeństwo) i może być bardzo korzystna dla tych bezbronych ludzkich istot”.

Antynataliści odrzucają także zarzut nihilizmu. Twierdzą, że powodują nimi wyłącznie troska i pragnienie uchronienia przed krzywdą związaną z przyjściem na świat. Julio Cabrera określa ich nawet jako „advokatów najsłabszych”, którym grozi „wrzucenie w świat”. W dodatku bez pytania o zgodę.

► Nie-zgoda na narodziny

Na stronie dadhero.pl znaleźć można wypowiedzi wojującego antynatalisty Tomasza. Twierdzi, że jego postawa opiera się na tym, że ludzie powinni umieć się poświęcić dla dobra ludzkości, wszechświata i świata, który nas otacza. Mówi: „Jedynym sposobem, aby nie narażać ludzi na tragedię, które ich spotykają, jest rezygnacja z bycia rodzicem” i dodaje: „Ludzie lubią podawać przykłady, że na świecie jest też dużo szczęścia, ale czy szczęście jednej osoby jest warte nieszczęścia innej?”. Jak na antynatalistę przystało, przytacza również argument, że rodzice nie pytają dzieci o to, czy chciały w ogóle pojawić się na świecie. A przecież „rodzą się dzieciaki, które nie mogą wstać z łóżka z powodu wyniszczających chorób, maluchy z problemami rozwojowymi, nastolatki z głęboką depresją, którzy marzą o tym, aby ich życie się skończyło”... Na stwierdzenie zaś, że prokreacja jest również czynnością biologiczną, odpowiada, iż mordowanie też jest biologicznie wpisane w naturę niektórych ludzi. I pyta retorycznie: „Dlaczego więc nie zezwalamy na bycie mordercą tym, którzy są biologicznie do tego predysponowani?”.

Niektórzy antynataliści idą jeszcze dalej i fakt, że rodzice nie pytali ich o zgodę, czy chcieliby pojawić się na świecie, traktują niezwykle poważnie i konsekwentnie. W ubiegłym roku za sprawą BBC głośno było o Raphaelu Samuelu, 27-letnim biznesmenie z Indii, który chciał pozwać swoich rodziców za to, że za ich sprawą pojawił się na świecie. Podkreślił, że jego decyzja o pozwaniu rodziców bazuje jedynie na jego wierze w to, że świat byłby lepszy, gdyby nie było na nim ludzi. „Nie prosiliśmy się, żeby przyjść na świat, musimy płacić przez resztę życia za to, że żyjemy”, przekonywał.

Samuel miał jednak problem ze znalezieniem prawnika, który chciałby go reprezentować. Jak sam stwierdził: „Wiem, że pozew będzie odrzucony, ponieważ żaden sędzia nie chce słuchać takich rzeczy. Ale zamierzam wnieść sprawę, ponieważ chcę coś udowodnić”. Pragnął, jako zagorzały antynatalista, by idea, której hołduje, ujrzała światło dzienne. „Chciałbym się nie urodzić. Ale to nie jest tak, że jestem nieszczęśliwy. Moje życie jest dobre, ale wolałbym tutaj nie być. To tak, jakby wiedzieć o istnieniu miłego miejsca, ale jednocześnie nie chcieć tam przebywać”, podsumował. Co na to jego rodzice? Oboje są prawnikami i do pomysłu syna podeszli, w jego opinii, z niewystarczającą powagą. „Podziwiam zuchwałość mojego syna, który chce pozwać rodziców do sądu, wiedząc, że są prawnikami. Jeśli Raphael przyjdzie do mnie z racjonalnymi argumentami udowadniając, że mogliśmy uzyskać jego zgodę na narodziny, to przyznam się do winy” – powiedziała matka mężczyzny, Kavita Karnad Samuel, i dodała: „Cieszę się, że mój syn wyrósł na niezależnie myślącego i odważnego młodego mężczyznę”.

► Eko-argumenty i ochrona planety

Artystka Maria Peszek, znana z wielu kontrowersyjnych wypowiedzi i zachowań, otwarcie mówi o tym, że nie chce być matką. Przytacza kilka argumentów, które – jej zdaniem – w wyczerpujący sposób tłumaczą jej postawę. Na łamach „Twojego Stylu” tak mówi o swojej decyzji: „Nasza wspólna decyzja z Edkiem nie jest wyrazem egoizmu, tylko odpowiedzialności. Bycie rodzicem to dla jednych dar, ja jednak uważam, że płodzenie dzieci w dzisiejszych czasach to arogancja. Jest nas za dużo na planecie, na której sami doprowadziliśmy do niezłego bajzlu. I zanim trochę nie posprzątam, powoływanie do życia nowych istot to skazywanie ich głównie na ból i cierpienie. Oczywiście, że są ciemne strony takiej decyzji, wiem, że w ten sposób omija mnie ważne i na pewno piękne, niedające się z niczym porównać doświadczenie. To strata, na którą się godzę”. Zdecydowanie woli, zamiast na macierzyństwie, skupić się na rozwijaniu siebie i na tworzeniu sztuki.

Amerykańska piosenkarka Miley Cyrus z kolei wyznała, że nie chce mieć dziecka z powodu... zmian klimatycznych. Celebrytka uważa, iż przez to nie powinno się „sprowadzać kolejnego życia na ten świat”. W wywiadzie dla magazynu „Elle” stwierdziła: „Robimy to samo Ziemi, co robimy kobietom. Po prostu bierzemy i oczekujemy, że nadal będzie produkować. I jest wyczerpana. Nie może produkować. Dostajemy kawałek gównianej pla-

nety [...] Dopóki nie poczuje, że moje dziecko będzie żyło na ziemi z rybami w wodzie, nie sprowadzę innej osoby, żeby sobie z tym radziła. Nie chcemy się rozmnażać, ponieważ wiemy, że Ziemia nie może sobie z tym poradzić”.

Brytyjska organizacja Population Matters prowadzi kampanię przeciwko wzrostowi populacji, która według niej przyczynia się do degradacji środowiska, wyczerpywania zasobów, ubóstwa i nierówności. Na stronie organizacji czytamy: „Wszyscy poszukujemy i zasługujemy na przyzwoitej jakości życia na zdrowej planecie. Mamy tylko jedną Ziemię. Nie powinniśmy konkurować ze sobą o to, co ma do zaoferowania. W XXI wieku działalność człowieka wymaga więcej ziemi, niż jest w stanie zapewnić, i zagraża zdrowiu środowiska naturalnego, od którego wszyscy jesteśmy uzależnieni. Żadna urodzona osoba nie przynosi ze sobą tego, czego potrzebuje. Im więcej nas jest, tym więcej konsumujemy zasobów naturalnych naszej planety, budujemy w jej dzikich miejscach i pompujemy węgiel do atmosfery. Aby Ziemia mogła zapewnić byt nam wszystkim, musimy zmniejszyć nasz wpływ jako gatunek [...] Jest wiele sposobów, w jakie możemy i musimy to robić, ale jedynym skutecznym i bezpośrednim sposobem zmniejszenia naszej konsumpcji i naszego wpływu jest zmniejszenie liczby konsumentów poprzez posiadanie mniejszych rodzin. [...] Mniej narodzin to i mniejsza presja na naszą planetę, redukcja emisji i zanieczyszczeń, zachowanie naszych zasobów i przywrócenie równowagi do naturalnego świata”.

► Cud życia

Coraz częściej nieposiadanie dzieci staje się przemyślaną decyzją. Antynatalizm obecnie staje się coraz bardziej popularny, antynataliści uważają zaś, że fakt, iż otacza nas coraz więcej nienawiści, cierpienia i rosnąca niepewność jutra, że nasza planeta umiera, powoduje, iż niedługo większość ludzi zmuszona będzie dojść do tych samych wniosków co oni. Nie żyjemy w świecie idealnym, to fakt. Oczywiście jest też to, że boimy się cierpienia i śmierci, swoich i naszych bliskich. Czy jednak to powód, by negować życie? Ból, cierpienie, choroba, strach, nuda, śmierć, czyli wszystko to, przed czym antynataliści chcą uchronić tych, którzy jeszcze się nie narodzili, wpisane są w ludzką egzystencję. Trzeba jednak wielkiej mądrości, by to zrozumieć. Życie jest piękne, nawet jeśli bywa trudne. I musimy zrobić wszystko, by je takim czynić. Musimy je szanować, bo jest jedynym, które tutaj, na Ziemi, zostało nam dane. To zaś, że możemy je przekazywać dalej, jest wielkim darem. ■



Ryszard Czarnecki

Sportowe oszustwa, wiara kibica

Usłyszałem w audycji sportowej pewnego radia takie oto mniej więcej słowa: „A teraz przejdźmy do sportu, a więc sfery, gdzie gra się fair”. W pierwszej chwili się zirytowałem, potem roześmiałem, wreszcie wzruszyłem ramionami. Kocham sport, dam się pokrajać za Biało-Czerwonych i naprawdę sporo robię, tak myślę, zwłaszcza dla polskiej siatkówki i polskiego żużla, ale nie jestem naiwny. Sportem interesuję się od dziecka, więc od ponad pół wieku, i widziałem historie tak skandaliczne, że aż przysłowiowy nóż otwiera się w kieszeni, nawet jeśli go tam nie ma. Gdy miałem osiem lat, polscy piłkarze grali eliminacyjny mecz do Igrzysk Olimpijskich w Monachium. W Starej Zagorze zmierzyliśmy się z Bułgarią, sędziował sąsiad gospodarzy z Bałkanów Rumun Paduranu. Pojechał po bandzie, pomagając gospodarzom w sposób tak bezczelny, że przyzwyczajeni do różnych numerów kibice „kopanej” nad Wisłą i Odrą łapali się za głowy i ze złości chcieli czarno-białe telewizory wyrzucić przez okno. Mecz na boisku wygraliśmy 2:1, ale w protokole meczowym wynik był zupełnie inny: 3:1 dla Bułgarów. Czerwona kartka bodaj dla Lubańskiego, karny z kapelusza, nieuznana bramka prawidłowo zdobyta przez Polaków. Obłęd. Paduranu stał się synonimem sędziowsko-piłkarskiego przekrętu. Ale przecież nie był jedyny.

Czasem robiono to w rękawiczkach. Być może arbitry rzeczywiście nie zauważyli ręki Maradony w meczu z Anglią na mundialu w 1986 roku (Argentyńczyk mówił potem, że była to „ręka Boga”). Natomiast belgijski sędzia, Flamand, „gwizdający” mecz w europejskich pucharach klubu najbogatszego ukraińskiego oligarchy Rinata Achmetowa, zrobił nas, Polaków, na szaro – i pewnie nie za darmo. Byłem na tym meczu, zresztą z moimi synami. Legia Warszawa grała w Doniecku z miejscowym Szachtioem (czyli „Górnikiem”) bardzo dobre spotkanie, a sędzia – o dziwo – drobiazgowo gwizdał każdy faul... miejscowego zawodnika. Ukraińcy się wściekali, a ja wietrzyłem podstęp. Słusznie. Faul Polaka na napastniku z Doniecka ewidentnie przed polem karnym, a sędzia wskazuje „wapno”, czyli rzut karny. Jedenastkę Ukraińcy wykorzystali, sędzia z Belgii też wykorzystał

swoją szansę. Legia w Warszawie nie odrobiła strat, choć wygrywała. Tylko kibice ze stolicy zrobili w Doniecku swoje, skandując hasła, które nie mogły się podobać na wówczas prorosyjskiej, wschodniej Ukrainie. Aha, dodam jeszcze, że nie było wtedy VAR-u, czyli systemu, który po latach zabiegów został wprowadzony do piłki nożnej – polega on na sprawdzaniu zapisu wideo spornych sytuacji.

Siatkówka była przed piłką nożną, gdy chodzi o analizowanie konfliktowych sytuacji na zapisie tv, ale gdy nie było w naszej dyscyplinie owych „challenge-ów”, sędzia był bogiem i przeważał, na przykład z udziałem drużyn ze Wschodu (ale nie tylko), słył taśmowo. Do dzisiaj nasz mistrz świata z 2014 roku, a obecnie trener Trefla Gdańsk Michał Winiarski wspomina, jak jego klub Skra Bełchatów grał w finale Ligi Mistrzów w 2012 roku z Rosjanami z Kazania. Sędzia w decydującej akcji meczu po ataku Michała po rosyjskim bloku przyznał, prawem kaduka, punkt „Zenitowi”, a nie Polakom, dzięki czemu Rosjanie wygrali przegrany mecz, zdobywając klubowe Mistrzostwo Europy. A na telebimie wszyscy widzieli telewizyjną powtórkę: piłka uderzyła w ręce zawodnika z Rosji.

Do historii przeszło „gospodarskie” sędziowanie na Igrzyskach Olimpijskich w Seulu w 1988 roku, szczególnie w boksie i innych sportach walki. Na ringu działał się cuda. Koreańczycy wygrywali pojedynki nawet te, w których byli po prostu objani, a niektórzy ich konkurenci po kuriozalnych werdyktach przez wiele minut nie chcieli zejść z ringu. 14 lat później historia powtórzyła się farsą równie skandaliczną na piłkarskich mistrzostwach świata w Japonii i Korei 2002. Korea grała naprawdę dobrze, zasłużenie wygrała z nami 2:0, ale to, w jaki sposób sędziowie pomogli (sic!) im wygrać z Włochami i Hiszpanią, urało wszelkim standardom, nawet tym w zdemoralizowanym futbolowym świecie.

Historia sportu pełna jest sprzedajnych sędziów, skorpupowanych i korumpujących działaczy i zawodników, którzy o ducha fair-play wycierali buty.

A mimo to ja, kibic-pasjonat, uwielbiam sport i wierzę w sukcesy Biało-Czerwonych, których rywalom nie pomagają (nadmiernie) sędziowie...

Najskuteczniejszy dywersant II wojny światowej



Piotr Lisiewicz

W greckich Salonikach stoi dziś jego pomnik, jako bohatera greckiego ruchu oporu. Był zawodnikiem reprezentacji Polski w piłce wodnej i w czasie wojny, dlatego wykorzystując umiejętności pływackie, umieszczał ładunki wybuchowe pod niemieckimi okrętami. W ten sposób wysadził statek „Król Jerzy” – dumę greckiej marynarki, zagrabiony przez Niemców. Wraz ze swą grupą zniszczył też około 400 niemieckich samolotów. „Wysłali mnie Anglicy. W rzeczywistości jednak jestem wysłannikiem tej Polski, która nigdy nie ustanie w walce z waszym najazdem” – zeznał przed niemieckim sądem dywersant Jerzy Iwanow-Szajnowicz. Dostał trzykrotną karę śmierci.

Fotografia grupowa polskich piłkarzy wodnych w czasie treningu. Stoją od lewej: Roman Bocheński, Jastrzębski, Jerzy Szajnowicz-Iwanow, Wienez, Zubowicz, Lajos Rayki (w szlafroku), Rosner, Józef Makowski, Konarek. Siedzą: Bochenek, Oskar Halor, Juhasz; kłęczą: Jan Jędrysik, Turenko.

Pod koniec 1937 roku na pływalni AZS-u w Parku Skaryszewskim trening odbywała drużyna piłki wodnej. Nagle na pomoście stanął przystojny, wysportowany, uśmiechnięty chłopak. Po treningu podszedł do jednego z zawodników. „– Kolega Makowski? – Tak, a skąd kolega zna moje nazwisko? – Zaraz powiem, ale pozwólcie, że najpierw wam się przedstawię. Nazywam się Jerzy Iwanow-Szajnowicz” – tak jego pierwsze chwile w warszawskim AZS-ie wspominał w audycji Polskiego Radia Tadeusz Makowski, znajomy z klubu. Jurek zapowiedział nowym kolegom, że po ukończeniu studiów w Belgii chce przeprowadzić się do Polski: „Jestem Polakiem i chcę grać z wami w piłkę wodną”. Sportowcy dziwili się, skąd zna ich nazwiska. „W Belgii prenumeruję »Przegląd Sportowy«. Znam was wszystkich!” – wyjaśnił.

► Polski patriota pływa w Morzu Egejskim

Koleje losu, które zaprowadziły Jerzego Iwanowa-Szajnowicza w 1937 roku do Warszawy, były niezwykle skomplikowane i przyczyniły się do jego przyszłej skuteczności jako – jak o nim mówiono – polskiego Jamesa Bonda. Dzięki tym perypetiom opanował bowiem świetnie wiele języków: oprócz polskiego angielski, rosyjski, francuski, niemiecki i grecki.

Jerzy Iwanow-Szajnowicz urodził się 14 grudnia 1911 roku w Warszawie jako syn Polki i Rosjanina. Jego matka Leonarda, pochodząca z bogatej rodziny kupieckiej, rozstała się jednak szybko z pierwszym mężem. Jerzy uczył się w warszawskiej szkole oo. Marianów. Matka wyszła za mąż ponownie, tym razem za greckiego biznesmena Jannisa Lambrianidisa. Dlatego w wieku 14 lat Jurek zamieszkał w Salonikach, gdzie uczęszczał z kolei do francuskiego liceum, z którego jednak urywał się, gdy tylko była okazja, by uprawiać sport.

Matka, choć często zmieniała kraje zamieszkania, była gorącą polską patriotką i opowiadała mu legendy o polskich bohaterach i życiorysy polskich królów. Patriotycznemu wychowaniu syna poświęcała mnóstwo uwagi. W każde wakacje jeździli do Polski.

Saloniki, położone nad Morzem Egejskim, były świetnym miejscem do nauki pływania. Jurek talent okazał się mieć niecodzienny – pływał jak ryba, nurkował, wylawiając małże, skakał z nadbrzeżnych skał, wykonując w powietrzu skomplikowane akrobacje.

► Cisnął rosyjskiego oszczercę aż pod sufit

Od 1927 roku Jurek – znany w Grecji jako Giorgios Iwanow – trenował piłkę nożną i piłkę wodną w Iraklisie Saloniki. Od 1928 roku, jako reprezentant tego

klubu w piłce wodnej, nie opuścił żadnych ważniejszych zawodów. Był świetnym pływakiem, startował we wszystkich ogólnogreckich zawodach pływackich.

Maturę zdał w Liceum Francuskiej Misji Świątecznej w 1933 roku. Majętni rodzice dbali o jego wykształcenie. Wysłali go na katolicki Uniwersytet w Louvain w Belgii, gdzie studiował dyplomację, jednak po jakimś czasie zmienił kierunek na agronomię. Ponoć zamierzał wyjechać do Konga, belgijskiej osiadłości w Afryce. W 1938 roku ukończył studia jako magister nauk rolniczych. W międzyczasie został akademickim mistrzem Belgii w pływaniu. Później uzyskał tytuł inżyniera agronomii w Paryżu.

Czuł się jednak przez cały czas Polakiem. Jak wspominała matka, gdy podczas pobytu w Belgii jeden z rosyjskich studentów źle wyraził się o Polsce, „nie bacząc na nic, rzucił się na oszczercę i, zastosowawszy specjalny chwyt, cisnął go aż pod sufit”. W 1935 roku uzyskał obywatelstwo polskie (wcześniej formalnie uznawany był za obywatela byłego Imperium Rosyjskiego). We wspomnianych na początku okolicznościach został członkiem i filarem drużyny piłki wodnej AZS Warszawa, z którą w 1937 roku wywalczył mistrzostwo Polski.

„Jurek był bardzo towarzyski, uśmiechnięty, wesoły. Lubił zabawę, ubóstwiał tańczyć. Na dansingi chodziliśmy do jachtklubu. Pierwszą sympatią Jurka była moja siostra, też AZS-ianka. Z takich eskapad wracaliśmy dorożką, które Jurek uwielbiał. Wybierał te z ładnym koniem” – wspominał Tadeusz Makowski w książce „Kraulem przez Wisłę”. Później jako reprezentant Polski Iwanow-Szajnowicz wielokrotnie reprezentował swą pierwszą ojczyznę na zawodach zagranicznych.

► Śpięcie z hitlerowską bojówką

Podróżując z Belgii do Polski przez Niemcy, obserwował, jak kraj ten zmienia się pod rządami Adolfa Hitlera. W okolicach Kolonii został nawet zaatakowany przez hitlerowską bojówkę za to, że czytał polski „Ilustrowany Kurier Codzienny” z karykaturą fuhra. Poradził sobie z napastnikami.

Latem 1939 roku drużyna AZS-u Warszawa wyjechała na obóz treningowy do Budapesztu. Tadeusz Makowski opowiadał w Polskim Radiu: „Treningi już tak bardzo nas nie cieszyły. Jurek w każdej wolnej chwili szukał wiadomości prasowych na temat Polski, dyskutował. Mieszkaliśmy w czterech w jednym pokoju. Często budziliśmy się wcześniej rano, a Jurka już nie było. Biegał na dworzec po zagraniczną prasę. Chodził coraz bardziej zamyślony, smutny, poważniejszy niż zwykle. Na koniec obozu był w rozterce.

Czy wracać z nami do kraju, czy jechać do Grecji pożegnać ukochaną matkę i braci”.

Pojechali do Warszawy. „Zdążyliśmy rozegrać jeszcze jeden mecz, w którym rozgromiliśmy Legię 6:0. Podzieliśmy się golami – Jurek, ja i Kaziu Bocheński” – wspominał Makowski. W końcu Jurek postanowił jechać do matki, do Grecji. Na dworzec odprowadzili go koledzy. „Żegnajcie, niedługo wrócę!” – krzyknął na pożegnanie.

Po powrocie był mocno zniesmaczony postawą Greków, z których część sprzyjała Hitlerowi. Obok drzwi wejściowych do swojego domu umieścił napis: „Zabrania się słuchać niemieckich stacji w tym domu”. Jurek należał do ludzi nieprzeciętnych. Odważny, mężny, gorący patriota. Polskę kochał nad wszystko. Nie mógł pogodzić się z tym, że możemy przegrać wojnę z Niemcami” – mówił Tadeusz Makowski w Polskim Radiu.

► Organizator przerzutów do Francji

Na wieść o tym, że Niemcy zaatakowały Polskę, złożył w polskim konsulacie podanie o wcielenie do wojska polskiego. To nie było zbyt szybko wykonalne. W efekcie podjął współpracę z polską misją wojskową w Salonikach. Pomagał polskim żołnierzom, którzy trafiali do Grecji z rumuńskich i węgierskich obozów. Organizował ich przerzut do Francji, gdzie powstało polskie wojsko. Podjął nawet oficjalnie pracę w konsulacie.

Ale sam też chciał wstąpić do polskiej armii. Gdy jesienią 1940 roku Grecja została zaatakowana najpierw przez Włochy, a kilka miesięcy później Niemcy, Jerzy opuścił Saloniki i przez morze dotarł do Palestyny, będącej pod mandatem Wielkiej Brytanii, by walczyć w Drugim Korpusie generała Władysława Andersa.

Polscy dowódcy nie do końca byli pewni, z kim mają do czynienia – z chłopakiem o rosyjskich korzeniach i nazwisku oraz dużym międzynarodowym obyciu... Sprawdzano, czemu trudno się dziwić, czy nie jest agentem obcego wywiadu. Oczekiwał na skierowanie do Brygady Karpackiej. W regularnym polskim wojsku służył ponoć tylko 49 dni.

► „Pełnoprawny i pełnokrwisty agent 033 B”

Bo w końcu jego możliwościami zainteresował się polski wywiad. Wprowadził go do niego prawdopodobnie Tadeusz Szefer, który, jak pisała Gabriela Jatkowska, autorka książki „Przerwane igrzyska. Niezwykły sportowcy II Rzeczypospolitej”, miał mu wydawać polecenia w ramach Ekspozytury wywiadu „Ateny”. Z kolei major Edmund Piechowiak (zastępca szefa Ekspozytury „T”) informował, że Szajnłowicza

zwerbowano w 1940 roku. Wykonywał początkowo zadania kontrwywiadowcze.

Według Jatkowskiej, kiedy Niemcy w kwietniu 1941 roku przypuścili atak na Grecję, Jerzy wsiadł na pokład statku „SS Warszawa” płynącego do Jerozolimy. Wysiadł w Hajfie. Ta podróż możliwa była dzięki ścisłej współpracy Brytyjczyków z polskim Oddziałem II.

Jak pisze Jatkowska, 5 lipca 1941 roku baza w Kairze informowała, że Szajnłowicz po przybyciu do Palestyny trafił do Ekspozytury „T” i został poddany intensywnemu szkoleniu pod kontrolą majora Piechowiaka, który miał przekazać mu wiedzę z zakresu organizacji armii niemieckiej: „Szefer uczył go umiejętności z zakresu techniki pracy wywiadowczej i łączności. Szkolenie prawdopodobnie trwa trzy miesiące i obejmuje zagadnienia z sabotażu, dywersji i umiejętności pozyskiwania informacji operacyjnych”.

7 września 1941 roku Iwanow złożył przysięgę, że zachowa tajemnicę, dyscyplinę i będzie należycie wykonywać swoje obowiązki. 8 września uczestniczył w odprawie i przyjął pseudonim „Athos”. „Przekazano mu adres meliny o kryptonimie »Przychyl-na«, adresy kontaktowe, znaki rozpoznawcze, hasła, szczegóły dotyczące szyfru. Ostatecznie »Athos« otrzymuje numer ewidencyjny 2882. 21 października ląduje w okolicach Salonik. Wszystko w oparciu o ścisłą współpracę z Secret Intelligence Service (SIS). Najprawdopodobniej też w strukturach brytyjskich funkcjonuje jako pełnoprawny i pełnokrwisty agent 033 B” – stwierdza Jatkowska.

Jednym z jego zadań zleconych przez Brytyjczyków była likwidacja źródeł zaopatrzenia aprowizacyjnego i wojskowego dla Afriki Korps. Miał im także przekazywać informacje o miejscu pobytu sił niemieckich i włoskich.

► Stworzyć siatkę wywiadowczą w urzędach włosko-niemieckich

Pewnym problemem w opisanu działań Iwanowa-Szajnłowicza jest fakt, że źródłami, z których muszą korzystać piszący o nim autorzy, są siłą rzeczy książki... komunistycznych autorów. W pewnym momencie władze PRL zdecydowały bowiem, że w PRL mogą ukazać się pozycje na temat Iwanowa-Szajnłowicza, rzecz jasna naświetlające jego historię z czerwonej strony. Cóż, zginął na tyle wcześniej, że nie zdążył zaznać ani represji władz PRL, ani wygnania. Co zdecydowało o tym, że wolno było o nim pisać? Być może pewien wpływ miał na to fakt, że choć był „reakcjonistą” i „agentem imperializmu”, był też w połowie Rosjaninem... Nie wiemy.

W każdym razie obszerną książkę „Leonarda i jej synowie” napisał o nim Janusz Przymanowski, ten

od „Czterech pancernych i psa”, wraz z żoną Marią, a drugą Stanisław Strumph-Wojtkiewicz (książka „Agent nr 1”), któremu władze z jakichś powodów pozwalały pisać o historii II RP, wielokrotnie oskarżany przez innych autorów o mitomanię... Niemniej nie są mi znane zarzuty, by autorzy ci mataczyli akuraty w sprawie Iwanowa-Szajnowicza.

Jak pisze Jatkowska, Iwanow powrócił do Aten z konkretnymi planami: „Łąduje u państwa Janatos (Marianny i Dimitrosa), ci oddelegowują go do swojego szwagra dr. Kostasa Janatosa. Ma za zadanie stworzyć swoją siatkę wywiadowczą, »pragnie umieścić zaufanych ludzi we wszystkich ważniejszych urzędach włosko-niemieckich«. Na pierwszy ogień idzie hotel »Grand Bretagne«, gdzie siedzibę swoją ma sztab Luftwaffe. Człowiekiem, który wśród niemieckich oficerów wdziera się do gmachu hotelu i wynosi tajne informacje, jest Athanasios Moschonas – członek tajnej ochrony króla greckiego Jerzego II. Właściciel hotelu, Szwajcar o nazwisku Szmidt, przyjmuje Moschonasa do ochrony jako agenta bezpieczeństwa. Iwanow wchodzi w ten sposób w posiadanie bezcennych informacji – na przykład, jakie towary ładuje się na które statki, w którym kierunku będą płynąć, kiedy, o której godzinie”.

► Polak szykuje zamach na Mussoliniego

Potem Iwanow-Szajnowicz brał udział w przygotowaniu i organizacji ataku bombowego na gmach NSDAP i urzędu gestapo w Atenach, który mieścił się przy ulicy Pattison. Akcja przyniosła śmierć kilku osób, straty odnotowano także po stronie Greków: „Zamiarem bezpośrednim było wystraszenie wierchuszki hitlerowskich władz, co w konsekwencji spowodowało odwołanie zapowiadanej dużo wcześniej wizyty Heinricha Himmlera”.

O udanym zamachu było głośno w całej Europie. Jak pisze Jatkowska: „kolejnym na liście do odstrzału, tym razem dosłownego, był sam duce Mussolini, który w czasie odwiedzin w Atenach miał nocować w »Grand Bretagne«, gdzie Agent 033 miał swoich współpracowników. Plan był dopięty na ostatni guzik, dynamit – przygotowany, Mussolini jednak, znany ze swojej podejrzliwości (cecha zresztą charakterystyczna dla wszystkich dyktatorów), w ostatniej chwili zmienił plany”.

Jak pisał Waldemar Kowalski, Jurek w akcjach często uczestniczył osobiście. Jako doskonały pływak pod osłoną nocy przebywał bardzo długie dystanse i umieszczał na niemieckim sprzęcie wojskowym miny magnetyczne, które powodowały ogromne zniszczenia. W lipcu 1942 roku przedostał się do fabryki Malziniottich w Nowym Faleronie, w której montowano silniki lotnicze: „Część z nich poczęto nadziewać chemikaliami, co spowodowało uszkodzenie lub rozbicie w ciągu czterech

miesięcy około 400 samolotów i okresowy paraliż Luftwaffe w Afryce właśnie w lipcu 1942 r., podczas dramatycznej bitwy pod El Alamein”. Do współpracy zwerbował robotników fabryki, która naprawiała silniki niemieckich maszyn. Mieli oni umieszczać w nich tajemnicze drobne ziarenka, które zawierały substancję rozkładającą olej. Dla silnika – zabójczą, ale dla Niemców – trudną do wykrycia.

Według Jatkowskiej Iwanow pracował także przy fortyfikacjach przeciwinwazyjnych w Maratonie. Przekazywał Brytyjczykom dokładny rozkład umocnień: „Royal Air Force dzięki tym informacjom dokonuje nalotu i bombarduje niemieckie pozycje, wznoszone pieczołowicie miesiącami. Następnie Jerzy pracuje przy budowie niemieckich łodzi podwodnych w Salaminie. Wieczorami, wykorzystując swoje niezwykłe umiejętności pływackie, dostaje się pod okręty, do których przyczepia ładunki wybuchowe”. Jak pisze autorka, „najbardziej spektakularne będzie wysadzenie w powietrze dumy floty greckiej, zagrabionej przez marynarkę wojenną III Rzeszy – statku »Król Jerzy«, przemianowanego na niemiecki niszczyciel »ZG 3«”.

► Brytyjczycy: warty więcej niż dywizja wojska

Jak informacje, które obciążone są pewnym ryzykiem komunistycznej konfabulacji, mają się do ustaleń IPN? Profesor Jerzy Eisler na łamach pisma IPN „Pamięć” stwierdza: „Według niektórych ocen, Jerzy Iwanow-Szajnowicz był najsukcesowniejszym sabotażystą, jaki w trakcie wojny pracował dla aliantów. Brytyjcy wojskowi, wprowadzeni wówczas w kulisy jego działalności, oceniali, że on jeden był więcej wart niż dywizja wojska, wspierana czołgami i artylerią”. Przypomina, że Iwanow-Szajnowicz walczył „na »niesłusznym« – z punktu widzenia komunistów rządzących Polską przez 45 lat – śródziemnomorskim teatrze działań wojennych”.

Eisler pisze także o filmie „Agent nr 1” z 1972 roku w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego i ze scenariuszem Aleksandra Ścibor-Rylskiego: „nałży przypomnieć, że zrealizowano go w charakterystyczny dla PRL oszczędny, skromny sposób. Plenerowe zdjęcia w Grecji, jak to zwykle wówczas bywało, ograniczono do niezbędnego minimum i wykonano niemal konspiracyjnie. Nie było mowy o żadnym »charakteryzowaniu« ateńskich ulic i nadawaniu im wyglądu okupacyjnego [...] Plenery przypominające Grecję znaleziono natomiast głównie w Bułgarii i do współpracy włączono sofijskie Studio Filmów Fabularnych. Bułgarzy odpowiadali również za tzw. zdjęcia kombinowane (np. filmowali modele statków i okrętów wysadzanych i podpalanych przez Jerzego Iwanowa-Szajnowicza)”. Eisler nie ma jednak wątpliwości co do ogromnych zasług Polaka: „Trudno tym

bardziej zrozumieć, dlaczego tak rzadko przypominamy o tym człowieku, mającym tak wyjątkowe dokonania”.

► Za jego głowę 500 000 drachm

Co spowodowało, że Niemcy w końcu wzięli do niewoli najbardziej skutecznego dywersanta II wojny światowej? Jatkowska pisze: „Pewnego dnia 1941 roku Jerzy Iwanow-Szajnowicz spotyka na ateńskiej ulicy przyjaciela z dzieciństwa Tinosą Pandosa (Kostantina Pandosa). Ten już wcześniej niezmiernie był zainteresowany nagłym zniknięciem Jerzego – o przyczyny próbował dowiedzieć się u źródła”.

Jak stwierdza, Jerzy złamał zasady konspiracji, podał bowiem dawnemu przyjacielowi swój adres. Ale szybko zreflektował się, jakie mogą być tego skutki: „Tknięty jednak złym przeczuciem znika z mieszkania pół godziny przed wtargnięciem gestapo. Udaje się do domu Pandosa dla potwierdzenia, czy to faktycznie on zdradził. Tam jednak pułapka też została zastawiona – schwytany przez gestapo, trafia do więzienia Averof”.

Ale „polskiemu Jamesowi Bondowi”, co nieprawdopodobne, udało się uciec. „To rozsierdza Niemców; następnego dnia całe Ateny przyglądają się życiu miasta oczami Szajnowicza. Jego podobizna jest wszędzie. Superagent trafia na wszystkie słupy ogłoszeniowe i elewacje domów Aten – oto gestapo wyznaczyło za jego głowę 500 000 drachm” – pisze Jatkowska.

List gończy z 12 grudnia 1941 roku głosi: „Georgios Iwanof (lub Nikolaos Ksenoglou) urodzony w Warszawie 14 XII 1911 jest ścigany za popełnione zbrodnie. Ukrywa się w Atenach lub okolicy. [...] Ryś: wzrost 170–72. Szczupły. Twarz pociągła z wystającymi kośćmi policzkowymi. Oczy niebiesko-szare. Nos prosty. Włosy ciemnoniebieskie, zaczesane do tyłu, lekko sfalowane”. Częścią listu gończego jest zdjęcie, które Jerzy podarował Pandosowi.

Szajnowicz zapuszcza wąsy, zmienia kolor włosów na ciemniejszy, zniekształca też sylwetkę za pomocą wkładki poduszkiowej imitującej brzuszec. Ukrywa się pod pseudonimem „Andreas Condrouopoulos” i usiłuje zbiec do Turcji. Plan ucieczki na kutrze przemycnym płynącym do Afryki jednak się nie powiódł. Brytyjski wywiad próbował ewakuować swojego agenta. Ale bez powodzenia. Jesienią 1942 roku ostatnia kryjówka Polaka została otoczona przez włoską policję i Iwanow-Szajnowicz wpadł w jej ręce. W jego sprawie interweniował metropolita ateński Damaskinos. Bez skutku.

► „W rzeczywistości jestem wysłannikiem Polski”

Na ścianie celi, w której był więziony, Polak wyrzył napis: „Niech żyje Polska. Jeszcze Polska nie zginęła.

Jerzy Iwanow”. Gestapowcy traktowali go z okrucieństwem – bili, zmuszali do morderczych ćwiczeń, pobawiali snu.

Przed sądem stanął 2 grudnia 1942 roku. Przyznał się do wszystkich zarzucanych mu ciężkich przestępstw: szpiegostwa, sabotażu, posiadania broni i stacji nadawczej oraz próby zabójstwa. „Byłem wstrząśnięty słysząc, jak ten człowiek, wytworny i sympatyczny, udziela w sposób naturalny i swobodny odpowiedzi twierdzących, z których każda stanowi dostateczną podstawę dla wyroku śmierci” – relacjonował obrońca z urzędu wyznaczony do jego obrony. Iwanow powiedział też: „Wysłali mnie Anglicy. W rzeczywistości jednak jestem wysłannikiem tej Polski, która nigdy nie ustanie w walce z waszym nazizmem”. Sąd skazał go na potrójną karę śmierci.

W Boże Narodzenie 1942 roku jego matka przełamała opłatek przed fotografią syna. Z kolei Jerzy ozdobił gałązkę, którą ktoś dostarczył do więzienia, polską i grecką flagą ze szmatek.

4 stycznia, w dniu egzekucji, podjął próbę ucieczki. Udało mu się zrzucić kajdanki. Niemiec strzelił do niego. Wtedy zaczął protestować ksiądz, który go wypowiadał, i krzyknąć, że prześladowcy okryją się hańbą, rozstrzelując rannego. Jerzy zdążył jeszcze krzyknąć „Niech żyje Polska!”.

► Virtuti Militari i Order Najwyższego Bohaterstwa

Gdy zginął, miał 32 lata. Stał się w Grecji symbolem walki o niepodległość, a jego grób na III cmentarzu w Atenach miejscem odwiedzanym przez pielgrzymki, zwłaszcza młodych ludzi. W lipcu 1945 roku marszałek Harold Alexander ogłosił podziękowanie dla Iwanowa w imieniu Narodów Sprzymierzonych, a królowa Elżbieta II kilka lat po śmierci agenta przekazała rodzinie zmarłego 1000 funtów w uznaniu jego zasług. Jego imieniem nazwano m.in. do niedawna największą halę sportową Salonik, jego macierzystego klubu Iraklis.

W czerwcu 1946 roku osądzony został ten, który go zdradził – przyjaciel z lat szkolnych, niemiecki agent Tinos Pandos. Dostał karę śmierci, ostatecznie zamienioną na ciężkie więzienie na wyspie Egina. Polski rząd emigracyjny odznaczył Jerzego Iwanow-Szajnowicza Virtuti Militari. 25 maja 1976 roku prezydent Grecji odznaczył go pośmiertnie Złotym Orderem Najwyższego Bohaterstwa. Jego legenda w Grecji trwa do dziś. W Warszawie upamiętniają go dziś dwie tablice: w kościele św. Aleksandra, gdzie była jego pierwsza parafia, oraz ta na murze jednej z kamienic na Nowym Świecie, gdzie mieszkał. ■

PRZESZŁOŚĆ NIE MA KOŃCA

Dariusz Jarosiński



Polacy mogą być dumni nie tylko ze zwycięstw nad bolszewikami sprzed stu lat, lecz także z interesującej literatury powstałej na kanwie wydarzeń związanych z wojną polsko-bolszewicką. Autorami niemal wszystkich utworów, powieści, opowiadań, wierszy, reportaży są żołnierze – pisarze, korespondenci wojenni.

Mamy do czynienia z literaturą, której czas nie przeminał. To, co po kilkudziesięciu latach najbardziej w niej zasługuje na uznanie i jest jej wartością nieprzemijającą, poza artyzmem, to przekazane świadectwo o tamtym czasie, kiedy Polacy bronili przed bolszewią ojczyzny, cywilizacji łacińskiej. Literatura ta była zakazana w czasach Peerelu. W III RP nie była dobrze widziana, bo naruszała tabu poprawności politycznej, a przecież przesłanie ideowe tej literatury pozostaje aktualne, bo aktualne jest zagrożenie ze strony bolszewii czerpiącej swoje zatrute soki z ideologii marksistowskiej. Dzisiejsi bolszewicy, rzekomo zmagający się z faszyzmem, ksenofobią, rasizmem, brakiem tolerancji, tak jak przed stu laty ich prekursorzy, walczą z religią chrześcijańską, prywatną własnością, niszczą rodzinę, wielowiekową tradycję. Jednym z głoszonych haseł przez międzynarodówkę bolszewicką jest: „Nie jesteśmy tutaj, aby się podobać. Jesteśmy po to, aby zniszczyć społeczeństwo”. Czasy się zmieniły, lecz cele pozostały te same.

► **„Precz stąd! Precz!”**

Zofia Kossak-Szczucka miała 28 lat, kiedy do progu jej domu dotarła rewolucja bolszewicka. Jej mąż, Stefan Szczucki, był administratorem majątku Potockich w Nowosiółkach niedaleko Starokonstantynowa na Wołyniu. W 1922 roku Kossak-Szczucka wydała powieść autobiograficzną „Pożoga. Wspomnienia z lat 1917–1919”. Opisała z dbałością o szczegóły, z dużym talentem literackim – a była to jej książka debiutancka – jak rodził się bolszewizm na Kresach I Rzeczypospolitej, jak radykalizowali się do niedawna spokojni ukraińscy chłopcy pod wpływem bolszewickiej ideologii, jak rabowali, palili polskie dwory, odzierali ze skóry właścicieli majątków. Polacy tworzyli oddziały partyzanckie, by bronić się przed zbolszewizowanymi ukraińskimi chłopami. Piśarka zarejestrowała też silne zaangażowanie młodzieży i biedoty żydowskiej w ruch bolszewicki. Kiedy w centralnej Polsce, w Warszawie, cieszone się z odzyskanej niepodległości, na wschodzie, na Kijowszczyźnie i Podolu, Polacy przeżywali tragedię.

Podobnych wstrząsających scen pogromów polskich dworów jest w książce Kossak-Szczuckiej więcej: „Noc ostatnia przed pogromem w znajomym dworze w okolicy Płoskirowa. Wieś zbuntowana stoi na nogach i od rana pije, czekając chwili ruszenia na dwór. We dworze starym, białym, cała rodzina zebrana przy łóżku konającej matki właściciela. Z bohaterską pogodą, wiedząc o zamiarach wsi, kryją przed chorą faktyczny stan rzeczy [...]. Dzikie wrzaski i śpiewy już blisko, już w ogrodzie, dają znać, że pogrom się zbliża. Zaniepokojona starszuszka podrywa się wtedy z łóża śmierci, chwytając w ręce krucyfik i w koszuli nocnej wychodzi na ganek do tłumu

mu: »Ludzie! – woła. – Ja na sąd Boga już idę! Ja za godzinę z Bogiem będę mówić! Jemu samemu na was się poskarżę!... Ja straszyć po śmierci was będę, wygubie wszystkich... Precz stąd! Precz!... Słyszycie!«.

Majątek Nowosielce na Wołyniu, podobnie jak setki innych polskich majątków, dworów, zaścianków położonych na dawnych Kresach I RP, po traktacie ryskim w 1921 roku znalazł się w granicach Związku Sowieckiego. Granice II RP na wschodzie kończyły się mniej więcej w zasięgu drugiego zaboru. Do ojczyzny zdołało ewakuować się niewiele ponad milion rodaków. Ponad półtora miliona Polaków pozostało w granicach Związku Sowieckiego. Spotkał ich okrutny los – musieli znosić upokorzenia, głód, byli wysiedlani, prześladowani, mordowani tylko dlatego, że byli Polakami. Zwycięstwo odniesione przez Piłsudskiego na polach bitew zostało zniweczone przez polityków przy stole negocjacyjnym w Rydze. Traktat ryski był klęską dyplomatyczną polskiej strony. Pokonani w wojnie bolszewicy zagarnęli polskie Kresy I RP; mimo zobowiązania nigdy nie wypłacili Polsce odszkodowania w wysokości 30 mln rubli w złocie, nie zwrócili też zagrabionych dóbr kultury. Bolszewizm został uratowany.

► Pisarz niewygodny

Bezsprzecznie najważniejszą książką podejmującą temat wojny polsko-bolszewickiej jest powieść „Lewa wolna” Józefa Mackiewicza, wydana w Londynie w 1965 roku. Autor miał niepełne 17 lat, gdy poszedł na ochotnika na wojnę z bolszewikami. Spotkało go wielkie szczęście, że trafił do kawalerii rotmistrza Jerzego Dąmbrowskiego ps. „Łupaszko”, wybitnego dowódcy, zagończyka, nieustraszonego pogromcy bolszewików. Doświadczenia wojenne miały duży wpływ na późniejszą twórczość Mackiewicza.

Szkoda, że powieść „Lewa wolna” jest ciągle traktowana po macoszemu, że sposób myślenia tego pisarza o polityce, historii nie znajduje wśród naszych polityków, historyków zbyt wielkiego zrozumienia, uznania, że nie potrafi się zakorzenić. Nadal, jak w Peerelu, Mackiewicz jest pisarzem niewygodnym, i to niemal dla wszystkich środowisk politycznych, dla każdego z innego powodu.

Profesor Włodzimierz Bolecki, znawca twórczości autora „Lewej wolnej”, w artykule „Antykomunizm Józefa Mackiewicza – realizm czy idealizm?” dotknął ważnej kwestii:

„[...] autor »Lewej wolnej« wydarzeniom z lat 1919–1920 stawia pytania ważne z perspektywy następnych dziesięcioleci. Józef Mackiewicz-pisarz nie był bowiem historykiem-kronikarzem, który rekonstruuje »suche« fakty, żeby opowiedzieć jedynie o tym, jak było. Był raczej historiozofem, który na wydarzenia realnej historii

patrzył z perspektywy własnej wizji porządku dziejów. W faktach zrealizowanych widział przede wszystkim zmarnowane szanse, w tym, co osiągnięto – to, co zostało zatracone».

► Jedna z najstraszniejszych nocy

Znakomite świadectwa literackie z walk z bolszewikami pozostawił po sobie Stanisław Rembek. Jego powieści „Nagan” (1927) i „W polu” (1937) cieszyły się dużą popularnością przed rokiem 1939. Rembek był żołnierzem 10. Kaniowskiego Pułku Artylerii Polowej, w którego szeregach walczył od sierpnia 1919 do stycznia 1921 roku. Przez wielu znawców literatury uważany był za batalistę równego Żeromskiemu i Sienkiewiczowi. Po 1945 roku komuniści skazali go na infamię i biedę, choć jeszcze w 1947 roku udało mu się wydać powieść o zdradzie „Wyrok na Franciszka Kłosa”, zekranizowaną 20 lat temu przez Andrzeja Wajdę. W wydanych po raz pierwszy w 1997 roku „Dziennikach. Rok 1920 i okolice”, pod datą 1 sierpnia 1920 roku, a więc kilkanaście dni przed bitwą warszawską, kiedy jeszcze ważyły się losy Rzeczypospolitej, Stanisław Rembek zapisał:

„Dziś niedziela, więc wierzymy, na podstawie ciągłych doświadczeń, że nasza bateria powinna dostać ciągi od bolszewików, jest to bowiem dla nas dzień feralny. W niedzielę wyjeżdżaliśmy z Mejszagoly, gdzieśmy mieli bardzo dobrze, w niedzielę napadli nas Kozacy pod Mytem i w niedzielę ostrzeliwano nas na drodze do Sokółki. [...] Wczoraj [...] zasnęłam w namiocie, bo deszcz lał bez przerwy. Obudzono mnie zaraz, bo bateria szykowała się do odwrotu. Bolszewicy odparli 30. pułk strzelców kaniowskich i przeszli Narew w bród, niedługo jednak odparł ich 29. pułk. Zostaliśmy więc na noc, ale nie mieliśmy już namiotów. Deszcz bił wściekle. Staaliśmy więc przemoczeni do suchej nitki, po kolana w błocie, wokół ognisk, które paliliśmy wbrew zakazom. W nocy miałem wartę. Tak mi się chciało spać, że po ukończeniu służby zasnęłam stojąc. Zbudzono mnie jednak niedługo, bo uciekaliśmy. Bolszewicy byli już w naszej wsi. [...] To jedna z najstraszniejszych nocy. [...] Buty rozlaży mi się od wilgoci zupełnie, tak że musiałem je zdjąć. Wokół kostek mam głębokie rany, wyżarte przez wszy”.

Twórczość Rembeka porównywana jest czasami do twórczości Izaaka Babla, sowieckiego pisarza pochodzenia żydowskiego. Babel jako oficer polityczny brał udział w wojnie 1920 roku w szeregach 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego. Oskarżony m.in. o działalność trockistowską, szpiegostwo, zdradę, został zamordowany przez NKWD w 1940 roku. Pozostawił po sobie wiele znakomitych opowiadań, m.in. te z cyklu „Armia konna”. Babel w czasie wojny polsko-bolszewickiej prowadził, podobnie jak Rembek,

„Dziennik”. Zobaczmy, co zapisał pod datą 1 sierpnia 1920 roku, tą samą co Rembek:

„Grzymałówka. Leszniów. Boże, sierpień, śmierć blisko, niepokromione okrucieństwo ludzkie. Sytuacja na froncie pogarsza się. Strzelanina za opłotkami. Wypierają nas z okolic przeprawy. Wszyscy wyjechali, zostało paru sztabowców, moja taczanka czeka koło sztabu, nasłuchuję odgłosów bitwy, jakoś mi dobrze, niewiele nas, nie ma taborów, nie ma sztabowej administracji, spokojnie, lekko, Timoszenko [jeden z dowódców I. Armii Konnej obok Budionnego i Woroszyłowa – przyp. DJ] bardzo opanowany. Kniaga [dowódca I. brygady 6. dywizji – przyp. DJ] apatyczny; Timoszenko: jeżeli ich nie wyprze, to rozstrzelam, powtórz mu to sam; a jednak się uśmiecha. Przed nami droga wzdęta od deszczu, cekaemy wytryskają w rozmaitych punktach, niewidzialna obecność nieprzyjaciela w tym szarym i nieważkim niebie. Npl zbliża się do wsi. Przeprowadź przez Styr stracona. Jedziemy na utracony Leszniów, który to raz? [...] W Leszniowie strasznie, wpadamy na 2 godziny, administracja sztabu ucieka, mur nieprzyjacielski wyrasta dookoła nas. Bitwa pod Leszniowem. Nasza piechota w okopach, to wspaniałe; wołyńskie, bose, głupkowate chłopaki [...] i właśnie oni naprawdę walczą z Polakami, z pańskim uciskiem. Brak karabinów, amunicji nie dowożą, a ci chłopcy snują się w upale po okopach, przerzucają ich z jednej wysuniętej pozycji na drugą”.

Stefan Żeromski, który był korespondentem wojennym, jest autorem reportażu z 1920 roku „Na probostwie w Wyszku”. W Peerelu opowiadanie to było naturalnie zakazane. W Wyszku tzw. Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski (Polrewkom), na czele z Julianem Marchlewskim, oczekiwał w sierpniu 1920 roku na wjazd do zdobytej Warszawy przez bolszewików. Ale się nie doczekał, bo Polska Armia dała łupnia Armii Czerwonej. Polrewkom musiał salwować się ucieczką. Wszelkie narady Polrewkomu, który miał reprezentować władzę sowiecką na terenach zdobytych przez bolszewików, były toczone w języku jidysz. Żeromski dotarł do probostwa w Wyszku tuż po ucieczce niedoszłych władców Polski. Jego reportaż żyje w świadomości wielu Polaków jako symbol zdrady i kolaboracji.

► Gdzie polarna gwiazda świeci

Twórczość Eugeniusza Korwin-Małaczewskiego, choćby na tle wspomnianych pisarzy, jest prawie nieznaną. Jego książki w 1945 roku zostały usunięte z bibliotek. Przeżycia wojenne, choroby, a zwłaszcza gruźlica, której nabawił się w Archangielsku, spowodowały, że zmarł w młodym wieku, zaledwie 25 lat – w 1922 roku. Sama jego historia życia, przygód wojennych jest doskonałym materiałem na powieść. Czasami nie chce się

wierzyć, że w tak krótkim okresie życia może się tyle zdarzyć.

Niestety wiele faktów z życia pisarza jest nieznanych. Najczęściej podawaną datą urodzenia jest 1 stycznia 1897 roku, choć znaleźć można w jego biografjach również inne daty. Przyszedł na świat na dawnych Kresach I Rzeczypospolitej w zaścianku Kiwaczówka nieopodal Humania na Podolu. Pochodził z rodziny szlacheckiej od stuleci osiadłej na Kresach. To dworki drobnej szlachty zaściankowej jak Małaczewskich, rozsiane licznie po Podolu, wschodnich Kresach, przechowały, mimo rozmaitych przeciwności, polską tożsamość, kulturę, tradycję.

Eugeniusz ukończył szkołę miejską w Humaniu odpowiadając poziomem edukacyjnym gimnazjum. Z Humanem związani są nasi wybitni poeci Seweryn Goszczyński, Bohdan Zaleski, którzy uczyli się u o.o. bazylianów. Po śmierci ojca podjął pracę jako dependent (pomocnik) adwokata Mirosława Sawickiego. W owym czasie czytał bardzo dużo książek, m.in. korzystając z księgozbioru mecenasu Sawickiego. Poznał XIX-wieczną literaturę polską i rosyjską, zainteresował się twórczością Józefa Marii Hoene-Wrońskiego, przedstawiciela polskiej filozofii mesjanistycznej.

Wedle jednej wersji Eugeniusz w 1915 roku wstąpił jako ochotnik do wojska, do rosyjskiej piechoty, wedle innej został wcielony do armii carskiej w 1914 roku. W 1915 roku złożył egzamin maturalny w Woroneżu, a w roku następnym ukończył szkołę podchorążych w Kijowie. Po szkole trafił na front. Ze swoim oddziałem „zwiedził” niemal wzdłuż i szerz europejską część Rosji, walczył na Bukowinie, Grodzieńszczyźnie, pod Mołodiecznem uległ poważnemu zatruciu gazami bojowymi.

Po wybuchu rewolucji bolszewickiej, po rozpadzie armii carskiej, postanowił jak najszybciej dotrzeć do którejś z polskich formacji wojskowych tworzących się na terenie Rosji. W Moskwie został brutalnie pobity w listopadzie 1917 roku przez pijanych bolszewików. Po wyjściu ze szpitala, gdzie trafił po pobiciu, udało mu się zebrać grupę Polaków, podobnie jak on lekko szalonych. Zdobytym pociągiem dotarli do stacjonującego niedaleko Mińska Korpusu I gen. Dowbor-Muśnickiego. Eugeniusz walczył też krótko w III Korpusie dowodzonym przez gen. de Henning-Michaelisa. W końcu znalazł się w tzw. Żelaznej Brygadzie gen. Józefa Hallera. Po przegranej bitwie pod Kaniowem (11 maja 1918 roku), gen. Haller wydał rozkaz żołnierzom przedostania się na północ Rosji, gdzie miały powstać u boku wojsk koalicji polskie oddziały. Droga do Murmańska nie dość, że liczyła 12 tys. kilometrów, to była pełna niebezpieczeństw – szalała bolszewicka dzicz. Lew Trocki nakazał rozstrzeliwać każdego napotkanego Polaka. Wielu żołnierzy zginęło po drodze.

Eugeniusz słynął wśród kolegów żołnierzy z fantazji, odwagi i pomysowości. Okazało się też, że miał duży talent aktorski – na przykład udawał w czasie drogi bolszewika, przyszło mu nawet wystąpić w roli instruktora szkolącego żołnierzy Czerwonej Armii. O swoich przeżyciach w czasie drogi przez mękę napisał w liście do państwa Sawickich (12 czerwca 1919 roku). List został po śmierci pisarza opublikowany w „Myśli Narodowej” nr 23 z 1937 roku.

„[...] na Murmań dostałem się nietłatwo. Wpierw odsiedział się we wszystkich więzieniach miejskich, jakie są po drodze od Jarosławia do Archangielska. Spacerowało się po ulicy pod »widelcami« (bagnetami). Było się pod sądem wojennym, sądem polowym. Poznało się całą, rzeczywiście b.(ardzo) mądrą i sprężystą administrację policyjną Sowieców. Było się w końcu skazanym na rozstrzelanie. Ale kręćtwo, do którego się przypatrzył za młodu w kancelariach mecenasów, wybawiło mnie z tych opresyj. Umiałem się bronić słowem (gdy chodzi o własne gardło – człek przemawia za siebie ogromnie przekonująco), gdzie to nie pomagało, kogoś się przetrąciło jego własną kolbą i jazda dalej na północ śladem Hallera, gdzie polarna gwiazda świeci. W połowie lipca dotarłem do Archangielska. I stałem nad Białym Morzem z głupią miną, nie wiedząc, co dalej robić”. (cytat z tekstu Krzysztofa Polechońskiego „Zapomniana legenda. O Eugeniuszu Małaczewskim”).

Eugeniusz Małaczewski z garstką Polaków, podobnie jak on cudem ocalałych od śmierci z rąk bolszewików, zaczął niezwykle brawurowo swoją epopeję murmańską – od rozbicia więzienia w Archangielsku, w którym przebywali Polacy. Uwolnieni więźniowie dołączyli do polskiego oddziału. Wspólnymi siłami zaatakowali bolszewików i wyparli ich z miasta.

Wojska koalicji stanowiły sporą mieszaninę narodowościową, byli to głównie Brytyjczycy, ale też Francuzi, Amerykanie, Kanadyjczycy, Serbowie, biali Rosjanie. Walka z bolszewikami trwała w ekstremalnych warunkach klimatycznych. Żołnierze polskiego batalionu, zwani murmańczykami, z rozbitych polskich wschodnich korpusów, wyróżniali się niezłomną postawą, dużym sprytem, zyskali miano od jednego z angielskich dowódców „Lwów Północy”.

► „Muśnicki grzmoci szwabów”

Eugeniusz Małaczewski poświęcił kilka swoich opowiadań przeżyciom na Murmanii, m.in. „Blokhaus pod Syrenką”, „Dzieje Bałki Murmańskiej. Historia Białej Niedźwiedzicy”, „Wielka bitwa narodów”.

„Blokhaus pod Syrenką” to opowieść o Wigili 1918 roku polskich żołnierzy tułaczy.

„Za stołem długi czas panowało milczenie. Nie wieczerza to była, lecz raczej msza dusz polskich, w pół tylko obecnych tam, gdzie ciało. Kto by to widział, nie dostrzegłby nic, prócz pewnego skupienia na twarzach biesiadników. Ale wszystkie piersi rozpięła smętna wielkość rozrękanego tułactwa w imię Tej, co nie zginęła, a zmartwychwstać miała”.

W czasie Wigilii toczyły się rozmowy polityczne, pojawiały się wątpliwości, czy należy dłużej walczyć u boku Anglików „za podły rum i marynowaną małą”, czy nie powinni walczyć pod dowództwem gen. Józefa Hallera. Tę smutną wieczerzę, smętną dyskusję przerwał im ich dowódca i spowodował, że nastroje zmieniły się diametralnie. Przyszedł z wiadomością, że powstało wymodłone, ale też wywalczone Państwo Polskie:

„Komendant Piłsudski w Warszawie. – Jest rząd. – Sztubacy porozbrajali Niemców w całej Kongresówce. – Armia maszeruje na Wilno. – Poznań nasz. – Muśnicki grzmoci szwabów. – Polska będzie od morza do morza!”.

Wiadomo, co się działo z żołnierzami murmańczykami po tej wiadomości – szaleli z radości. „Słowem powariowali. I wariowali tej nocy do rana: śpiewając, krzycząc, śmiejąc się, płacząc, tańcząc po śniegu, przepijając do malowanej Syreny, chodząc po blokhauzie i dookoła niego na rękach, na głowach... Była to w ich życiu Wigilia najpiękniejsza”.

„Dzieje Bałki Murmańskiej” to historia niedźwiedzia polarnego przyhołubionego przez murmańczyków. Oswojona niedźwiedzica stała się maskotką oddziału. Opiekę nad Bałką powierzono kapralowi Smorgońskiemu. Bałka przeszła cały szlak bojowy z murmańczykami, razem z nimi wróciła do wolnej Polski. Nie lada sensację wywołała, biorąc udział w defiladzie w 1919 roku w Warszawie na placu Saskim. Zasalutowała przed Józefem Piłsudskim, naczelnikiem państwa, po czym podała mu łapę. Niestety Bałka źle skończyła. Kiedy zażywała kąpieli w Wiśle pokrytej krami lodowymi nieopodal Modlina, zerwała się z łańcucha i popłynęła na drugi brzeg rzeki. Na drugim brzegu dotarła do wioski. Przestraszeni chłopcy zadźgali ją widłami. Kiedy żołnierze – przyjaciele niedźwiedzicy – dopłynęli do wioski, chłopcy już ściągali z Bałki skórę. Wypchana niedźwiedzica trafiła jako eksponat do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

► Powrót do wolnej Polski

Na początku 1919 roku Anglicy zlikwidowali front północny. Eugeniusz Małaczewski został awansowany do stopnia podporucznika. Żołnierze batalionu polskiego przewieziono drogą morską do Francji, gdzie tworzy-

ła się Polska Armia, zwana błękitną, pod dowództwem gen. Józefa Hallera. Po przeszkoleniu, w kwietniu 1919 roku, gen. Haller stawiał się w ojczyźnie ze świetnie wyposażoną i wyszkoloną armią. Małaczewski był przez pewien czas adiutantem generała. Wziął udział w walkach o Galicję Wschodnią.

Jesienią 1919 roku stan zdrowia młodego żołnierza uległ pogorszeniu. Odezwwały się dolegliwości nabyte w czasie walk na dalekiej północy, pojawiły się stany depresyjne. Coraz częściej przesiadywał przy biurku i poświęcał czas na pracę literacką – pisał utwory poetyckie, opowiadania. Publikował w „Rzeczpospolitej”, „Bluszczu”, „Straży nad Wisłą”. Nadrabiał też zaległości w czytaniu książek. W czasie wojny polsko-bolszewickiej wszedł w skład Komitetu Organizacyjnego „Żołnierza Polskiego”, współpracował z wydziałem propagandy Inspektoratu Generalnego Armii Ochotniczej Hallera. Poznał wówczas pisarzy różnych generacji, o różnym dorobku literackim. Byli to: Stefan Żeromski, Wacław Berent, Adam Grzymała-Siedlecki, Stanisław Miłaszewski, Emil Zegadłowicz, Edward Ligocki, Kornel Makuszyński, Włodzimierz Perzyński.

Eugeniusz Małaczewski zyskał dużą popularność w środowisku literackim, owiany był legendą walk na dalekiej północy. Z dużą życzliwością traktowali go starsi koledzy po piórze – Jan Kasprzowicz i Stefan Żeromski. W 1921 roku Małaczewski wydał debiutancki tom dzieśnięcy opowiadań „Koń na wzgórzu”. Wszystkie dotyczyły zmagania zbrojnych polskich żołnierzy z bolszewią – zarówno w niedługim czasie po wybuchu rewolucji, jak i w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Debiut książkowy przyjęty został entuzjastycznie.

Jako że Eugeniusz nie znał pojęcia „poprawność polityczna”, więc w opowiadaniu „Państwo ponurej anegdoty” napisał: „Anegdotowo wyobrażał sobie Europejczyk Rosję carską. Rosja bolszewicka nie przestając być wielką wciąż anegdotą, wyponurzyła się w coś strasznego, niby dowcip sarkastyczny zbrodniarza prowadzonego na stryczek. Potomkowie proroków bożych: Jeremiaszów, Izajaszów i Ezechieliów, współcześni Żydzi międzynarodowi wzięli w krwawy pacht naród wielomilionowy, wpięrowy uwiódłszy go fałszywym prorostwem Żyda Marksa. Rzucili w tłum dynamizujące piękne hasła, zasypali go frazesami uroczymi o proletariackiej wolności, równości i braterstwie. Lecz na obliczu każdego wcielenia tych haseł w czyn wyszczerza się potworny grymas Antychrystowego Szatana Dziejów i zamiar pozornie piękny staje się ponurą anegdotą”. Małaczewski pokpiwa sobie z haseł „wyzwolonej sztuki” czy „wyzwolonej pedagogii”. Wyzwolona pedagogia ma polegać na usunięciu z systemu wychowawczego wpływów rodziny i religii, aby „na przyszłość urobić dla państwa kadry „„istinnych” komunistów”.

► Umarł chłopiec bohaterski, co miał serce przeczyste

Organizm Małaczewskiego coraz bardziej niszczyła gruźlica, której nabawił się w Archangielsku. Kornel Makuszyński namówił go do zamieszkania w zakopiańskim pensjonacie Sanato. Do kurortu pod Giewontem przyjechał na początku grudnia 1921 roku, o ile mu tylko zdrowie pozwalało, siadał przy biurku i pisał. Pięć miesięcy później, w kwietniu 1922 roku, zmarł. Ksiądz Jan Humpola, kapelan wojskowy, nauczyciel, taternik, przyjaciel artystów, wypowiedział przed śmiercią Małaczewskiego i dokonał sakramentu ostatniego namaszczenia.

Po śmierci Eugeniusza Małaczewskiego Artur Oppman pisał: „Był cichy, pracowity, górny; był w sercu promienny, a w myślach dziewczęco biały. Walczył za Polskę, śpiewał dla Polski i umarł z myślą o Polsce”. Z Kornelem Makuszyńskim łączyła autora „Konia na wzgórzu” serdeczna przyjaźń. „Młodzieńcza jego dusza – pisał Makuszyński – była jak gorejący krzak i tak sobie myślę, że gdyby nie był umarł od ran i gruźlicy, której się dorobił w bagnach pod Archangielskiem, byłby się stawiał prędzej czy później od tego wewnętrznego żaru, co w nim płonął nieustannie. [...] Umarł cichutko, z pogodnym uśmiechem na ustach, kiedy ostatnie śniegi zakwitły krokusami. Umarł jeden z najszlachetniejszych prozaików polskich, chłopiec bohaterski, co miał serce przeczyste, a duszę gorejącą płomieniem tak jasnym i złotym, jakim niezmierna płonie miłość”. Ceniony reportażysta, Ksawery Pruszyński, zamieścił niezwykle dedykację do książki „W czerwonej Hiszpanii” (1937): „Poświęcam tę pracę śp. EUGENIUSZOWI MAŁACZEW-SKIEMU, autorowi »Konia na wzgórzu«, człowiekowi, który zrozumiał wojnę, rewolucję i Rosję i który najlepiej z nas wszystkich rozumiałby dziś Hiszpanię”.

Prymas Kardynał Stefan Wyszyński musiał niezwykle cenić Korwin-Małaczewskiego, bo kilkakrotnie w swoich kazaniach odwoływał się do tego pisarza. Krzysztof Polechoński w teście „Zapomniana legenda. O Eugeniuszu Korwin-Małaczewskim” pisał: „Na zakończenie rekolekcji dla młodzieży akademickiej 22 III 1972 r. w kościele św. Anny w Warszawie Prymas Polski mówił m.in.: »Nieraz idąc ulicą Świętojańską w stronę placu Zamkowego, widzę na Krakowskim Przedmieściu pijaną młodzież. Myślę sobie: I oni idą ku Nowemu Światu... Nowa Polska? Czy ona naprawdę idzie ku 'nowemu światu'? Czy będzie z nich to 'nowych ludzi plemię', tak upragnione przez Eugeniusza Małaczewskiego w jego niezapomnianym nigdy przeze mnie 'Koniu na wzgórzu'«?”.

Kiedy dzisiaj obserwujemy coraz bardziej agresywne, zidiociałe środowiska bolszewickie, to nieodzwrotnie pojawia się myśl, że przeszłość nie ma końca. ■

Pilot Franciszek Żwirko (z prawej)
i konstruktor lotniczy Stanisław
Wigura przed samolotem RWD-4.

SKRZYDŁACI RYCERZE POLSKI MIĘDZYWOJENNEJ

Agnieszka Kowalczyk

**Początki
II Rzeczypospolitej
to zarazem początki
polskiego lotnictwa.
W trudnej powojennej
rzeczywistości nie
brakowało wśród Polaków
pionierskich dusz, którym
marzyło się opanowanie
przestworzy na
podniebnych maszynach
własnego pomysłu.
Z pasją zgłębiali arkana
aerodynamiki, szkolili się
w pilotażu i konstrukcjach
lotniczych, próbując swoich
sił jako budowniczo-
wie pierwszych polskich
szybowców i awionetek
oraz jako nieustraszeni
piloci, gotowi bić światowe
rekordy w najbardziej
prestżowych zawodach.**

Najzdolniejsi i najbardziej zdeterminowani konstruktorzy, wśród których prym wiodli studenci Politechniki Warszawskiej, skupili się wokół Centralnych Warsztatów Lotniczych, gdzie zaledwie kilka miesięcy po odzyskaniu wolności zaczęto budować pierwsze samoloty. Do legendy polskiego lotnictwa przeszła maszyna RWD, która swe miano wzięła od pierwszych liter nazwisk jej twórców – Stanisława Rogalskiego, Stanisława Wigury i Jerzego Drzewieckiego.

► Podniebny tryumf Polaków

W sierpniu 1932 roku cała Polska z zapartym tchem śledziła przebieg Międzynarodowych Zawodów Samolotów Turystycznych, w których wystartowali m.in. pilot Franciszek Żwirko i inżynier Stanisław Wigura. Podczas tej pasjonującej olimpiady lotniczej Challenge oceniano poziom techniczny samolotów, próby osiągnięcia maksymalnej prędkości oraz lot okrężny wokół Europy, wiodący przez Niemcy, Polskę, Czechosłowację, Austrię, Jugosławię, Włochy, Szwajcarię, Francję, Holandię, Danię i Szwecję. Śmiałkowie biorący udział w tym słynnym rajdzie dookoła Starego Kontynentu lecieli nad morzem i łańcuchami górskimi na wysokości do 2700 metrów. Z berlińskiego lotniska wystartowało w sumie 41 samolotów, które miały pokonać w ciągu sześciu dni drogę powietrzną liczącą ponad 7300 kilometrów. Zawodnicy wzbijali się w przestworza zawsze wraz ze wschodem słońca, a swój dzienny lot kończyli, gdy świat ogarniał zmrok. Po wylądowaniu musieli jeszcze sprawdzić maszynę i po krótkim śnie startowali na nowo, by pokonać wyznaczoną na każdy dzień trasę: Berlin–Rzym (2497,4 km), Rzym–Paryż (2464 km), Paryż–Berlin (2401,2 km). W związku z tym, że na pokładzie usadowieni byli jeden za drugim albo jeden obok drugiego, w zależności od tego, jak siedzenia pilotów rozmieścił konstruktor, każda taka „dwójka” stawała się w powietrzu jednością. „Dwóch – jedna myśl wspólna, byle dalej, byle prędzej, byle przed innymi. Jeden wpatrzony w przestwór przed nim, w teren po nim, w busole, w mapę, w liczniki, manometry i zegary. Drugi – wsłuchany w oszałamiający warkot silnika, czuły na każdy takt maszyny, sprawdzający po raz setny i tysięczny każdy ton, każdy szelest powietrza i benzyny w silniku, złączony jednym rytmem własnego pulsu silnika. Pilot i mechanik” – pisała o nich międzywojenna prasa.

Kolejne dni wyścigu miały zawodnikom w zawrotnym tempie. Z gry wypadło 16 samolotów i razem 32 ludzi: wszyscy Włosi, część drużyn niemieckich, czeskich, szwajcarskich i francuskich, a także jedna załoga polska kapitana Bolesława Or-

lińskiego. Pozostałe cztery nasze zespoły pomyślnie pokonywały przedostatni odcinek powietrznej drogi, lądując przed czasem w Staaken pod Berlinem. Wśród szczęśliwców byli Żwirko i Wigura – obaj promieniujący radością, choć wyczerpani do granic szesciodniowymi, iście cyrkowymi akrobacjami, w tym widowiskowymi skokami przez taśmę. Znalazłszy się w Staaken, przez cały czas myśleli o wytrzymałości motoru, prawdziwego serca maszyny – byle nie zawiódł na kolejnej próbie prędkości. Nie tracąc ani chwili, udali się więc do hangaru, by przygotować samolot do ostatniej konkurencji, decydującej o tym, kto w Europie stanie się królem przestworzy. Faworytem był przecież Niemiec Wolf Hirth, „oczko w głowie całego Berlina”. Przy jego maszynie pracowała jeszcze długo w nocy specjalna ekipa mechaników fabrycznych.

Żwirko wystartował jako pierwszy, a tuż za nim Hirth, Robert Fretz, Fritz Morzik i Otto Cuno. Emocje sięgały zenitu. Trzy minuty potem polski pilot przeleciał nad lotniskiem Tempelhof, zrzucił woreczek meldunkowy na punkt kontrolny i mknął na wschód, w stronę Frankfurtu nad Odrą i Kirchheim, skąd kierował się ku mecie. Wszyscy wstrzymali oddech... Przyszły pierwsze meldunki: „Żwirko prowadzi, Poss tuż za nim. Hirth z najsilniejszym motorem zaczyna następować im na pięty... Wysuwa się Morzik i szwajcarski porucznik Fretze. Pomiędzy tą piątką rozgrywa się walka”. Na lotnisku Tempelhof dziesiątki tysięcy ludzi w najwyższym napięciu czekały na zwycięzcę, głowa przy głowie, wszyscy wpatrzeni w niebo, z bijącym sercem wsłuchani w słowa płynące z głośników. Różnica punktów między rywalami nie była duża, o zwycięstwie miały zdecydować nie minuty, lecz sekundy. „Żwirko prowadzi dalej – kontynuuje sprawozdawca sportowy – Hirth minął Possa. Jest coraz bliższy Żwirki. Z czasów przelotów wynika jednak, że Żwirko zwiększa szybkość i wykorzystuje maszynę do ostatnich granic. Za Hirthem leci Morzik i Fretz. Reszta już się w tej chwili nie liczy. Ostatni kwadrans był chyba kwadransem najdłuższym. Oczy zdają się wyskakiwać z orbit... Wszyscy wpatrują się w południową stronę lotniska. Jeżeli tam, nad kominami ukaże się samolot o górnych płatach – zwycięży Żwirko, jeśli z chmur wynurzy się dolnopląt – puchar zostanie w Berlinie. Wreszcie na horyzoncie zjawia się punkt. 10 000 ust wymawia nazwisko Żwirki – wyraźnie już widać srebrzysty górnośląski polski. Zwycięstwo! [...] Żwirko na wysokości 10 metrów przelatuje oszalałym pędem przez linię mety, wystrzela w górę i ląduje”. Zostawia daleko w tyle tytowanego na zwycięzcę Hirtha, któremu do mety zabrakło dosłownie pięciu kilometrów. Niezawodny zdawałoby się silnik niemieckiej maszyny,

z takim pietyzmem skonstruowany przez jego brata Helmutha Hirtha – tym razem nie wytrzymał. Słynny niemiecki lotnik w otoczeniu współczujących mu szczerze rodaków wydawał się niewzruszony, ale jego brat-konstruktor – płakał...

► Śmierć w walce z żywiołem

A Żwirko? Żwirko tryumfował – uśmiechał się, gdy niesiono go na rękach, gratulował Morzikowi i Possowi, wreszcie, stając przed niezliczonymi mikrofonami, zwrócił się do tłumów ze swoim charakterystycznym wileńskim akcentem, z łagodnym spokojem i flegmatyczną uprzejmością.

A szalejący z radości Polacy? Trudno opisać, co działo się w ich sercach i co wtedy czuli, bo było to „zwycięstwo polskiej maszyny, polskiego konstruktora, polskiego pilota, polskiego robotnika i polskiego materiału. Triumf siły polskich nerwów, mięśni i woli – tryumf polskiego ducha”. Ta lotnicza olimpiada z udziałem Żwirki i Wigury nie była jedynie wysiłkiem, w którym liczyła się wyłącznie szybkość. Oceniano wszystko – warunki techniczne startu i lądowania, osiąganą prędkość, bezpieczeństwo, wyposażenie wewnętrzne, a nawet komfort w kabinie. Niezależnie więc od osobistych zasług porucznika Żwirki zwycięstwo w wyścigu Challenge było wspólnym dziełem Polaków, którzy wyprowadzili w tej dziedzinie inne narody, bo „w tej konkurencji naukowej, fabrycznej, konstruktorskiej [...] aparaty w Polsce i przez polskich młodych inżynierów skonstruowane, dzierżyły prym od początku, zdobywały maksymalne ilości punktów i pozostawiły daleko, bardzo daleko w tyle samoloty, będące dziełem techników o takiej renomie, jak niemieccy, włoscy i francuscy”.

Miesiąc po tym wielkim zwycięstwie Polskę poraziła hiobowa wieść – oto porucznik Żwirko oraz inżynier Wigura zginęli śmiercią lotników. 11 września o godzinie 8.30 ponieśli oni śmierć w katastrofie samolotowej, lecąc RWD 6, tym samym, którym odbyli wyścig dookoła Europy. Jak się bowiem okazało, obaj lecieli na rajd gwiazdzysty do Pragi i o godzinie 8.15 wpadli w sferę lokalnej trąby powietrznej w okolicy Cierlicka (14 km od Cieszyna). Piloci, próbując lądować, zostali strąceni przez wir powietrzny i spadli według relacji naocznych świadków z wysokości około 100 metrów. Samolot runął na las i uderzył o drzewo. Lotnicy zginęli na miejscu. Żwirko doznał ciężkich obrażeń całego ciała, a zwłoki Wigury zostały zupełnie zmasakrowane. Poświęcając tragicznie zmarłym swój artykuł „Żywioł i człowiek”, „Gazeta Polska” pisała: „Żwirko i Wigura zginęli [...]. Krótka burza, która nie wiadomo skąd przyszła – jak gdyby czyhała na ich drodze, przyczajona cierpliwie, [...] drapieżna i zła – wtedy, kiedy lecieli ci właśnie, z który-

mi już szara masa ludzka związała wiarę z tryumf nad żywiołem. Piękną jest śmierć w tej największej walce przez ludzkość prowadzonej [...]. Życie to znaczy panować żywiołom. Nawet jeśli w walce z nimi trzeba ginąć”.

► Coraz dalej...

Sensacyjnym wydarzeniem w historii światowego lotnictwa był wyczyn Amerykanina Charlesa Lindberga, który w 1927 roku jako pierwszy przeleciał nad Atlantykiem. Tego samego pragnęli dokonać i polscy piloci – Ludwik Idzikowski i Kazimierz Kubala. Już w sierpniu następnego roku wystartowali z paryskiego lotniska Le Bourget, by poszybować nad przestworiami oceanu samolotem SECM Amiot nazwanym imieniem Józefa Piłsudskiego. Miał on potężny silnik o mocy 650 KM oraz dodatkowe zbiorniki na ponad 6 tysięcy litrów paliwa, które wystarczało na 48 godzin lotu. Ale nawet wtedy, gdy po dwudziestu godzinach utrzymywania się w powietrzu doszło do uszkodzenia silnika i piloci zmuszeni byli wodować na oceanie, nie poddali się jednak i niespełna rok później podjęli kolejną próbę pokonania Atlantyku. Okazała się ona równie pechowa. W połowie drogi, w okolicy Wysp Azorskich, zdarzyła się podobna awaria, w wyniku której zdecydowali się wylądować na skalistej wyspie Graziosa. Ten niebezpieczny manewr zakończył się tragedią. Samolot stanął w płomieniach. Kubala jakimś cudem ocalał, ale Idzikowski zginął na miejscu. Odtąd w Polsce obowiązywał absolutny zakaz podejmowania jakichkolwiek powietrznych eskapad transatlantyckich.

Wśród polskich pilotów znalazł się jednakże człowiek, który w tajemnicy postanowił zmierzyć się z Atlantykiem. Był nim kapitan Stanisław Skarżyński, ten sam, który zdobył już w kraju sławę króla przestworzy, gdy w 1931 roku odważył się wraz z Andrzejem Markiewiczem odbyć długodystansowy lot dookoła Afryki. Razem pokonali wtedy 25 000 km, lecąc z Warszawy przez Ateny, Kair, Lagos, Casablanca, Paryż, by z powrotem poszybować nad Wisłę, gdzie witano ich jako zwycięskich „powietrznych rycerzy II Rzeczypospolitej”. Tym razem Skarżyńskiemu, który nigdy niesyty był ekstremalnych wrażeń, zamarzyło się w 1933 roku pokonanie powietrznych przestrzeni nad Oceanem Atlantykiem.

Prawdziwym wyzwaniem dla polskich inżynierów stało się zbudowanie maszyny, która sprostałaby podniebnej transatlantyckiej wyprawie z Warszawy do Brazylii. W czasie, gdy konstruktorzy mieli pełne ręce roboty, pracując nad RWD-5 bis, Skarżyński całymi dniami oddawał się mozołnym przygotowaniom do lotu. W godzinach porannych odbywał kurs „ślepego latania” w oszklonej matowymi szybami kabinie, ucząc się pro-

wadzenia samolotu wyłącznie w oparciu o wskaźniki przyrządów nawigacyjnych, a przede wszystkim „nieoceanionego sztucznego horyzontu”. Ćwiczenia były pomocne w przewyżczeniu trudności związanych z długotrwałym lotem w chmurach i we mgle, kiedy niczego nie widać, a maszynę trzeba utrzymać w równowadze. Po „ślepych lotach” przychodził czas, by zająć się na Okęcie i tam prześledzić postępy w budowie płatowca, zapoznając się z jego konstrukcją na wypadek awarii, kiedy to pilot zdany jest wyłącznie na własne siły. Popołudnia i wieczory wypełniało Skarżyńskiemu studiowanie sprawowanych z Paryża map Brazylii i zachodnich wybrzeży Afryki, opracowywanie szczegółowej trasy lotu, czytanie książek francuskich o nawigacji transatlantyckiej... Na duchu podnosiła go świadomość, że zawsze może liczyć na swoją zgraną ekipę, a zwłaszcza na Niemcelewskiego, adiunkta Głównej Wojskowej Stacji Meteorologicznej, którego prognozy „o godzinach rozpoczęcia deszczów i burz zenitalnych, powstawania i rozpraszania się mgieł sprawdzały się, co do joty”.

Jakże wielką była radość kapitana Skarżyńskiego, gdy 28 marca z Doświadczalnych Warsztatów Lotniczych na Okęciu wyszedł tak oczekiwany przezeń RWD-5 bis z niezawodnym silnikiem angielskim typu Gipsy-Major i dodatkowymi zbiornikami paliwa. Wiadomość o locie została utrzymana w największej tajemnicy, a polski pilot odpowiadał wszystkim ciekawskim, że chce pobić rekord długości lotu bez lądowania w linii prostej na trasie Lyon–Saint Louis. Pokonanie tej przestrzeni i tak byłoby nie lada wyczynem, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę skaliste wybrzeża Hiszpanii, górskie grzbiety Atlasu czy pustyńne brzegi Rio de Oro, gdzie można natknąć się na bandy grasujących Arabów. Taką właśnie wersję utrzymywano oficjalnie, powiadamiając Aeroklub Francji o próbie ustanowienia nowego rekordu i prosząc o wyznaczenie komisarzy sportowych.

► Podstęp wychodzi na jaw

W końcu nadszedł dzień wielkiej próby – 27 kwietnia 1933 roku. Gdy w montażowni na Okęciu uwijający się jak w ukropie mechanicy sprawdzili już wszystko po trzy razy, a robotnicy wytoczyli maszynę z hali i zaciągnęli na lotnisko, samolot był gotów do startu. Wystarczyło teraz, by pilot wskoczył do środka, zatrasnął za sobą drzwi, uruchomił odpowiednie urządzenia i oderwał się od ziemi. Stosując się do wszystkich tych wymogów, Skarżyński kątem oka widział jeszcze, jak inżynier Rogalski fotografuje RWD-5 bis ze wszystkich stron – w końcu był to pamiętny moment w dziejach polskiego lotnictwa. „Ustawiam maszynę pod wiatr i daję pełny gaz – opisywał potem swoje pierwsze minuty w kabinie. – Start idzie świetnie, samolot z rozmachem nabiera wysokości.

Zataczam wielką rundę, przechodzę nad głowami żegnających mnie machaniem kapeluszy przyjaciół i biorę kurs na Poznań. Opanowuje mnie dziecięca radość, że wszystkie trudy przygotowań, tak wyczerpujące nerwy są poza mną, że nareszcie lecę”.

Pogoda była wyśmienita. Drogę do grodu Przemysła znał Skarżyński na pamięć, potem kierował się na Lipsk, minął Frankfurt nad Menem i przez „bramę wylotową” koło Karlsruhe wszedł w przestrzeń powietrzną Francji. Sunął doliną Renu na Strasburg, cały czas mając się na baczności, by nie przelecieć nad gęsto rozszanymi strefami zakazanymi. Pod nim ciągnęły się niebotyczne góry porośnięte lasami. Rozkoszował się piękną pogodą i z zadowoleniem wsłuchiwał w rytmiczny warkot silnika. W końcu po 16 godzinach i 45 minutach skończył pierwszy etap swej wyprawy, lądując w Bron pod Lyonem. Tego dnia w 8 godzin i 40 minut przebył 1500 kilometrów, uzyskując pomimo przeciwnych wiatrów bardzo dobrą szybkość 173 km/h.

Kolejny etap drogi to odcinek Lyon-Casablanca, a więc 2200 kilometrów do pokonania. Choć pogoda była fatalna, zdecydował się wsiąść do swej maszyny i wystartować. Nie uniknął, rzecz jasna, zmagania z mgłą, niskim pułapem chmur, siarczystym deszczem i silnym wiatrem czołowym, który jak na złość uniemożliwiał rozwinięcie większej prędkości. Im dalej na południe, tym gorzej. Postanowił zatem lądować w Perpignan. Była to zabita dechami dziura i tam też musiał wegetować samotnie przez całą niedzielę. Ulewny deszcz nie ustawał, wszyscy poukrywali się w domach. Dobrze, że pozostało jeszcze kino. Puszczała „14 lipca”, film, który oglądał już w Warszawie, ale trzeba jakoś zabić czas. Były ponadto do obejrzenia zdjęcia z afrykańskiego lotu Ernsta Udet, asa niemieckiego myślistwa, z którym spotkał się przed dwoma laty w Malakalu. Z samego rana postanowił kontynuować lot do Casablanki, nie przypuszczając nawet, jak ciężkie zapasy przyjdzie mu stoczyć z powietrznym żywiołem. Szczęśliwie minął Walencję i Kartaginę, ale w okolicach Malagi pogoda się załamała. Niespodziewanie nadciągnął front burzowy. Skarżyński, ufny w „wytrzymałość jednego z najlepszych samolotów turystycznych świata”, usiłował dać odpór szalonemu wichrowi, który wiał z tak ogromną siłą, że szybkość RWD-5 bis spadła do 100 km/h. Przedarłszy się jakoś przez tę nawalnicę, wszedł w kolejne, nie mniej gwałtowne, lecz w starciu z żywiołem maszyna radziła sobie znakomicie, mknąc wprost do Casablanki, a stamtąd do Senegalu.

Wkrótce stracił z oczu ostatnie ślady cywilizacji i szymbował nad bezkresami pustyń, wzbijając się na wysokość 1500 metrów, tak by nie zostać zaatakowanym przez dzikich synów tej ziemi. Na lotnisku w okolicach Saint Louis czekał już na niego pan de Vieux, komisarz sportowy

delegowany z ramienia Aeroklubu Francji. Nie ukrywał zachwytu dla polskiego RWD, zwłaszcza gdy dowiedział się, że przebył z górą 6000 kilometrów w nieustannych zmaganiach z siłami natury. Podczas rozmowy w cztery oczy Skarżyński wyznał mu, że jego prawdziwy cel to Brazylia! „Oczy pocziwego Francuza zrobiły się okrągłe ze zdumienia i przerażenia. Zaniemówił na chwilę, a potem wybuchnął. – Jak można w takiej lupince lecieć przez ocean. Jak się pan będzie orientował w locie, bez radioaparatu? Nie ma pan spadochronu ani łodzi ratunkowej na wypadek katastrofy? Zupełne szaleństwo!”. Skarżyński miał jednak mocne argumenty, by przekonać pana de Vieux do swoich racji. Spadochron w locie nad Atlantykiem na nic mu się nie zda, a składaną łódkę gumową zastąpi spokojnie powietrzna poduszka, którą jest wyłożone siedzenie pilota. Wmontowanie radioaparatu niechybnie zwiększyłoby ciężar samolotu i zmniejszyło zapas paliwa. Zamiast tego Skarżyński dysponował dwiema busolami, a nade wszystko precyzyjnymi obliczeniami i wskazaniami opracowanymi przez Główną Wojskową Stację Meteorologiczną w Warszawie, która poczyniła dokładne pomiary, na jakiej wysokości dane go odcinka może bezpiecznie lecieć. Czy Francuza znów wyszły z orbit, ale tym razem z podziwu dla wiedzy i profesjonalizmu Polaków.

► Skarżyński nad Atlantykiem!

Nadszedł moment startu – 7 maja, godzina 23. „Jest przepiękna noc podzwrotnikowa. Nieboskłon usiany gwiazdami, które skrzą się żywym blaskiem jak diamenty. Srebrny dysk miesięczny prześwieśla i nasycza wszystko seledynową mgiełką. Krajobraz staje się uroczą wizją fantastycznej ferii”. Jeszcze sekundy, a zapłoną miały reflektory na krańcach senegalskiego lotniska i Skarżyński miał wzbic się w te rozgwieżdżone afrykańskie przestworza, by poszybować nad Atlantykiem. Lecąc na wysokości 500 metrów, korzystał z największej siły wiatru, ale pogoda psuła się z „przerządzającą szybkością”, tak że horyzont znikł w zagęszczających się kłębach mgły. „Widziany świat zacieśnia się nagle do szczupłych rozmiarów kabiny samolotu. Oczy wpatrują się w fosforyzujące wskazówki przyrządów i męczą się prędko. Jednostajny warkot silnika działa usypiająco, a zegary odmierzają czas z niezwykle skąpstwem”. Organizm domagał się choćby najkrótszej drzemki. Skarżyński czuł, że głowa opada mu na piersi, a oczy same się zamykają. Dlatego co jakiś czas, mimo silnego rzucania, schodził niżej, na 50 metrów, by choć przez chwilę oglądać zbawieną linię horyzontu. Potem znów wzbijał się w górę i nurkując wśród chmur, odbywał ów dziwny „ślepy lot”, którego arkana zgłębiał w Warszawie. Teraz okazało się to bezcenną umiejętnością.

„Noc zdaje się nie mieć końca, ale jednak wskazówki zegarów posuwają się. Jeszcze tylko godzina, do świtu (jakże długa!) jeszcze tylko pół!” – odliczał włokące się minuty. W pewnym momencie mgła rozproszyła się, zaczęło silnie padać. To sfera ciszy, w której znalazł się o pół godziny za wcześniej z powodu wiejących pasatów. Teraz już mógł wzbicić się powyżej tysiąca metrów i lecieć pomiędzy chmurami. Zaczął rodzić się świt i mimo że wciąż lało, gdzieś tam przebiegały świetliste promienie słońca. Za chwilę miał ujrzeć dwie skaliste wysepki – to Roche S. Paulo. Nie zblądził więc i był na dobrej drodze, a zatem wskazówki z Warszawy okazały się niezawodne. Po jedenastej dostrzegł pierwsze okręty leniwie posuwające się ku brazylijskim wybrzeżom. Po stoczeniu jeszcze kilku powietrznych bitew z burzami wylądował w Maceió, mając za sobą 20 godzin i 30 minut nieprzerwanego lotu, w tym 17 godzin i 15 minut nad oceanem. Mógł więc powiedzieć o sobie, że był pierwszym Polakiem, który przeleciał nad Atlantykiem 3582 kilometry, ustanawiając międzynarodowy rekord odległości samolotów turystycznych o wadze do 450 kilogramów.

Nikt na tym tak rzadko uczęszczanym brazylijskim lotnisku nie mógł uwierzyć w sukces polskiego pilota i jego niepozornej maszyny. Podobne sensacje wzbudzał w Caravellas, Rio de Janeiro i Buenos Aires. Wszędzie witano go tłumnie i owacyjnie, z wielkim zdziwieniem spoglądając na RWD-5 bis i z jeszcze większym na nietypowy strój polskiego lotnika, który zamiast kombinezonu miał na sobie przez cały czas... garnitur. Na Skarżyńskim natomiast największe wrażenie wywarło spotkanie z rodakami, którzy nie mogli oderwać oczu od malutkiego samolotu, co „przybył tu, aby przynieść im pozdrowienie i zachętę do wytrwania w polskości. W oczach radość i łzy wzruszenia, i tęsknoty za Ojczyzną”. Kapitan dobrze wiedział i rozumiał, co dzieje się w polskich sercach.

► Wśród wirtuozów lotniczego świata

Lotnictwo zdawało się najlepiej chyba odpowiadać romantyzmowi polskiej duszy, bo przecież podniebny lot to synonim absolutnej wolności, to akt mierzenia się z potęgą natury i pokonywania wszelkich ograniczeń, to wreszcie spełnienie odwiecznego marzenia ludzkości o wzbiciu się w przestworza. Jakże wielki entuzjazm musiał więc ogarnąć rzesze miłośników lotnictwa, gdy to właśnie Polsce przypadło w udziale zorganizowanie międzynarodowej olimpiady Challenge'u w 1934 roku. Na tę okoliczność w Państwowych Zakładach Lotniczych skonstruowano pięć samolotów wyścigowych typu PZL-26 z amerykańskim silnikiem, a w Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych powstało sześć nowych egzemplarzy RWD-9. Trasa lotu była

niezwykle widowiskowa, bo prowadziła m.in. przez Berlin, Paryż, Madryt, Casablancę, Algier, Tunis, Rzym, Wiedeń, Pragę, Lwów i Wilno.

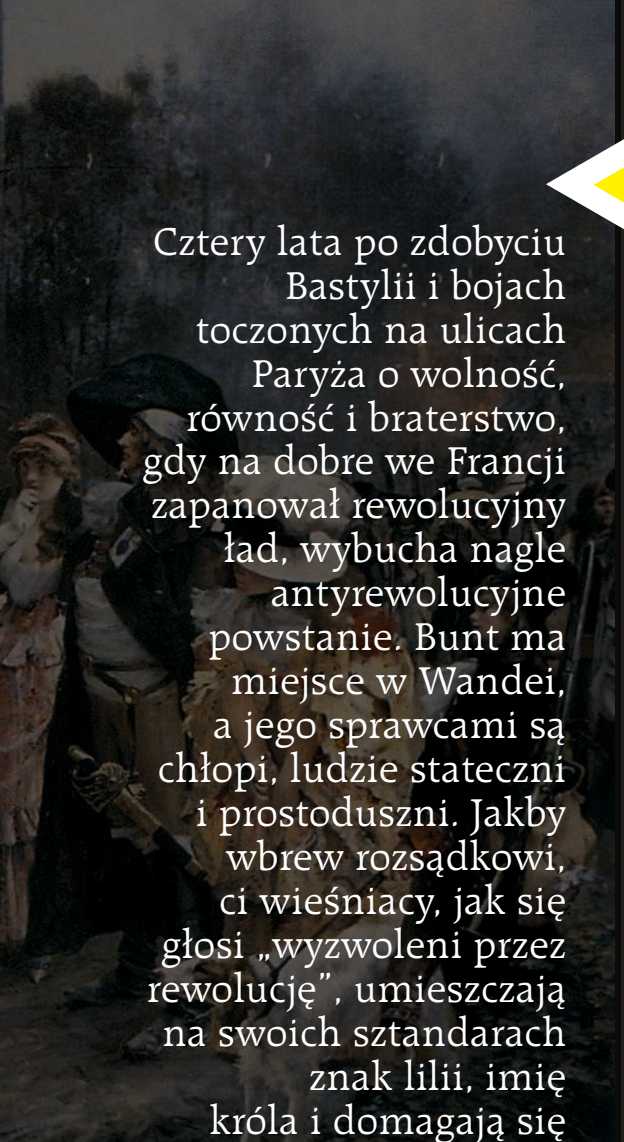
Polskę reprezentować miało na olimpiadzie jedenastu szczęśliwców – Dudziński, Bajan, Gedgowd, Grzeszczyk, Balcer, Włodarkiewicz, Buczyński, Florianowicz, Karpiński, Płonczyński i Skrzypiński. Znajdujący się wśród nich kapitan Piotr Dudziński rok wcześniej wziął udział w Międzynarodowym Austriackim Locie Alpejskim, pokonując rekordową trasę: Warszawa–Charków–Leningrad–Lwów–Wiedeń i zajmując pierwsze miejsce w klasyfikacji ogólnej zlotu gwiazdzystego i w próbie szybkości. Beniaminkiem publiczności okazał się Jerzy Bajan, najpopularniejszy polski pilot akrobatyczny. Jego „słynna »trójka« na wielu pokazach i meetingach budziła zawsze entuzjazm i dreszcze emocji u widzów”, on sam zaś startował już w dwóch poprzednich Challenge'ach, a oprócz tego zwyciężył w międzynarodowych zawodach w Zagrzebiu (1931), okazując się najlepszym w najtrudniejszych powietrznych pokazach. Nie można też zapomnieć o Stanisławie Płonczyńskim i Tadeuszu Karpińskim, najbardziej utalentowanych pilotach „LOT-u”. Pierwszy podczas zawodów challenge'owych (1930) wykazał wielką wytrwałość i ambicję sportową, osiągając najlepszy wynik ze wszystkich zawodników polskich, a drugi zasłynął jako pionier rodzimego szybownictwa i mistrz akrobacji.

Otwierająca zawody konkurencja, która była egzaminem sprawności technicznej maszyn, odbywała się na warszawskim Okęciu i Lotnisku Mokotowskim. Podczas prób technicznych samolot RWD znalazł się w czołówce, a pilotujący maszynę Bajan zdobył opinię „pierwszego wirtuoza lotniczego świata”. W powietrznym rajdzie obok Polaków prym wiedli Niemcy i Czesi. Dopiero jednak końcowy wyścig miał wyłonić ostatecznego zwycięzcę. I oto w decydującym momencie sprawozdawcy obwieścić mogli wszem i wobec, że jako pierwsi wylądowali Polacy – Bajan, a za nim Płonczyński i dopiero po nich... Niemiec Seideman. Wszystko to działo się „wśród szalonego entuzjazmu publiczności wiwatującej, bijącej brawo, machającej chorągiewkami i kapeluszami, wśród ryku sygnałów samochodowych i dźwięku marszu lotników, powtarzanego przez wszystkie megafony”. Był to bez wątpienia jeden z najwielkich tryumfów polskich pilotów i inżynierów II Rzeczypospolitej. Challenge 1934 okazał się przede wszystkim konkursem maszyn i wyścigiem pracy konstruktorów, a jednak trudno nie zgodzić się z powszechnie panującą wówczas opinią, że maszynę musi ożywiać twórczy czyn człowieka i to od jego umiejętności, zimnej krwi i oponowania techniki zależy zwycięstwo, bo „samolot i pilot to jakby ciało i dusza”. ■



Józef Palkiewicz

Uratować honor Francji: Wandea 1793



Cztery lata po zdobyciu Bastylii i bojach toczonych na ulicach Paryża o wolność, równość i braterstwo, gdy na dobre we Francji zapanował rewolucyjny ład, wybucha nagle antyrewolucyjne powstanie. Bunt ma miejsce w Wandei, a jego sprawcami są chłopci, ludzie stateczni i prostoduszni. Jakby wbrew rozsądkowi, ci wieśniacy, jak się głosi „wyzwoleni przez rewolucję”, umieszczają na swoich sztandarach znak lilii, imię króla i domagają się przywrócenia monarchii i praw Kościoła. Godzą w nowy porządek, który przecież „zerwał więzy i okowy narzucone im podczas ancien régime'u”, kiedy Francją rządzą „królowie-tyrani, wespół ze szlachtą i klerem”.

Co sprawiło, że spokojny lud rzucił swe pługi, by sięgnąć po broń? W czym uchybiła im rewolucja, której na pewnym etapie zrywu niemal nie roznieśli na kosach i szablach, niweczając wszystko, do czego doprowadzili wielkim móżdżkiem jej wyznawcy?

O przyczynach tego, mogło by się wydawać, irracjonalnego i paradoksalnego powstania przedstawicieli „stanu trzeciego” w odległej od centrum Wandei oficjalna historia najczęściej milczy. Tymczasem rozpoczęło ono krwawą wojnę domową o niesłychanie dramatycznym przebiegu. To zaś, co nastąpiło po jej zakończeniu, rewolucjoniści starali się za wszelką cenę ukryć. Do dziś ich ideowi spadkobiercy spuszczaają zasłonę milczenia na dramat Wandei.

► Kraina tysiąca ścieżek

Wandea była jednym z osiemdziesięciu trzech departamentów, na które podzielono terytorium Francji dekretem z grudnia 1789 roku. Powstanie ogarnęło jednak obszar większy, nazywany „Wandą wojenną” (Vendée militaire), rozciągał się on na granicy Bretanii i Poitou, od wybrzeży Atlantyku aż do linii biegnącej na południe od miasta Angers, na północy jego granicę stanowiła Loara, a na południu sięgał niemal rzeki Charentte. Ten region gęsto porastały lasy; pola, łąki i wrzosowiska poprzecinane były siecią żywopłotów, grubą na trzy-cztery metry warstwą ostrokrzewu i głogu; taki krajobraz, typowy dla północno-zachodniej Francji, nosi nazwę bocage. Tylko dwie drogi były przejezdne: z Nantes do La Rochelle i z Saumur do Les Sables, obie zresztą nieukończone. Wandejczycy używali więc niezliczonych ścieżek wijących się w istnej płataninie, nadających się tylko dla regionalnych pojazdów o wąskim rozstawie kół. Handel rozwijał się tu słabo, ale były idealne warunki do prowadzenia partyzantki.

Mieszkańcy Wandei zajmowali się przede wszystkim hodowlą i uprawą ziemi, choć urodzajnej ziemi było tu niewiele. Żyli skromnie, lecz nie ubogo. Wy różniało ich silne utożsamienie się z ziemią, przywiązanie do wolności, dumna i niezależna postawa oraz wesołość i zadziorny humor. Z radością poświęcali się codziennym pracom, żyjąc na uboczu wydarzeń politycznych. Rewolucja nie pozostała jednak przez niech niezauważona, zwłaszcza że w pewnym momencie szczególnie mocno ich dotknęła.

► „Wyzwoliciele” kleru

Wandejscy chłopci byli przywiązani do wiary i Kościoła. O ich religijności świadczyły widoczne na każdym kroku kapliczki i kalwarie oraz powszechny zwy-

czaj odmawiania Różańca czy działalność licznych bractw religijnych. Ta pobożność w dużej mierze została im zaszczepiona przez ks. Ludwika Marię Grignon de Montfort, wędrownego kaznodzieję, który przemierzał zachodnią Francję, przeprowadzając misję i głosząc rekolekcje. Śladem tego przyszłego świętego podążyli księża mulotyni, członkowie Towarzystwa Maryi, Zgromadzenia założonego przez Ludwika. Nazwa „mulotyni” pochodzi od jednego z dwóch najbliższych jego towarzyszy, ks. René Mulota, który po jego śmierci kierował Zgromadzeniem (obecnie częściej mówi się o Montfortianach).

Prawdziwym wstrząsem było więc dla Wandejczyków wprowadzenie konstytucji cywilnej kleru przyjętej 12 lipca 1790 roku przez Konstytuante, która wyrzuciła do góry nogami życie religijne we Francji. Zgodnie z poprzedzającym jeszcze samą konstytucję dekretem o nacjonalizacji dóbr kościelnych z listopada 1789 roku Kościołowi odbierano wszelką własność. Majątek kościelny, w tym same budynki świątyni, przejmowało państwo. Konfiskata ta miała między innymi pokryć państwowe etaty, na które, według zapisów konstytucji, mieli przejść księża, by w ten sposób stać się „urzędnikami kultu” wynagradzanymi przez państwo. Co więcej, konstytucja wprowadzała demokrację do Kościoła od wieków opartego na zasadzie hierarchii. Biskupi i proboszczowie mieli być wybierani przez elektorów, w tym innowierców i świeckich. Jednocześnie dokument pozwalał księżom na porzucenie stanu duchownego, gdy tylko tego zapragnęli.

27 listopada Zgromadzenie Narodowe postanowiło, że wszyscy duchowni pod karą zakazu sprawowania funkcji i utraty państwowej pensji mają obowiązek złożenia przysięgi, która głosiła, że będą przestrzegać i podtrzymywać konstytucję cywilną kleru. „Wymagana przysięga jest jednak paradoksalna” – jak zauważa Reynald Secher w książce „Ludobójstwo francusko-francuskie”. „Jednym z motywów ataku na katolicyzm były śluby zakonne i stąd wziął się zakaz zniesienia zakonów [na mocy innego dekretu – z lutego 1790 roku – przyp. J.P.]. Tymczasem teraz żąda się, jako podstawy nowego ładu, świeckiej przysięgi będącej tylko karykaturą tamtej¹. Francuscy duchowni w znacznej większości nie godzili się na konstytucję i przysięgę. Spośród czterdziestu czterech biskupów zaledwie dwóch ją zaakceptowało. Konstytucja została oficjalnie potępiona przez Piusa VI. Papież wskazywał, że ustawa była heretycka i schizmatycka, a jedynym jej celem było unicestwienie religii. Mimo to w Kościele francuskim doszło do rozłamu. Część duchownych (mniejszość) złożyła przysięgę na konstytu-

cję; pozostali stali się „nielegalnymi” (księżmi niezaprzyśniętymi). Spadły na nich różne represje. Propaganda rewolucyjna głosiła, że w swym zadufaniu sprzeciwili się woli całego narodu, bo przecież to jego reprezentacja w Paryżu przyjęła konstytucję; że nie okazywali posłuszeństwa państwu, choć byli takimi samymi obywatelami jak inni, wreszcie że byli fanatykami i dążyli do sprokrowania wojny domowej. Księża zastraszano, szykanowano, później zakazało się im sprawowania sakramentów, wreszcie wyrzucono ze stanowisk, wydalano z parafii, skazywało na wygnanie albo wtrącało do więzień.

Wszystko to miało miejsce również w Wandei. Oporni księża ukrywali się jednak i pozostawali wśród ludu. Wgnani z własnych parafii, wracali w rodzinne strony i tam pełnili swoją posługę. Jednocześnie do wandejskich parafii przybywali nowo desygnowani księża zaprzysiężeni, spotykali się jednak z bojkotem, a nawet oznakami wrogości; dla chłopów byli zdrajcami, „udawanymi kapłanami”, intruzami (mówiło się o nich także trutoni – les trutons). Wandejczycy jednocyli się wokół księży opornych, otwierali przed nimi swoje domy, zbierali się na odprawiane przez nich w zakonspirowanych kryjówkach msze i nabożeństwa. W ten sposób tworzyły się struktury Kościoła podziemnego. Kapłani, którzy musieli opuścić parafie i nie mogli się ukryć wśród swoich wiernych, powróciwszy w rodzinne strony, trafiali w samo serce wspólnot – rodzinnych, sąsiedzkich. Umacniali je w wierze i wierności prześladowanemu Kościołowi. One zaś, jednocząc się wokół swoich pasterzy, gotowe były do największych poświęceń. Wiele parafii było jednak pozbawionych kapłanów. Z tego powodu – obok prześladowań, jakie spadały na niezaprzyśniętych księży (ci, którzy nie zostali jeszcze spacyfikowani, byli nieustannie tropieni i osadzani w więzieniach) – wzrastał gniew i sprzeciw Wandejczyków. Zarówno wobec władz urzędujących w Paryżu, jak i administrujących na miejscu.

Wzburzenie ludu wywoływały również nadużycia władz lokalnych, związanych z nią środowisk oraz zwolenników rewolucji wywodzących się głównie z miasteczek – „republikanów” albo „patriotów” czerpiących korzyści ze swojego uprzywilejowanego stanowiska oraz, jak pisze Secher, prowokująco wynoszących się ponad innych.

► „Skąd macie pieniądze, bezczelni złodzieje?”

Iskrą do otwartego buntu stało się dla Wandejczyków ogłoszenie przez rząd poboru do armii 300 tysięcy mężczyzn. Mieli oni zostać wysłani na dalekie fronty, żeby walczyć za rewolucję z armiami koalicji antyfrancuskiej albo być wcieleni do oddziałów ścigających

¹Reynald Secher, „Ludobójstwo francusko-francuskie”, Warszawa, 2003.

niezaprzysiężonych księży. Ze służby wojskowej zwolnieni byli funkcjonariusze i urzędnicy gminni.

To prawda, że wandejscy chłopci z początku przyjęli z nadzieją zmiany, jakie rewolucja obiecywała przeprowadzić i rzeczywiście przeprowadziła – między innymi zniesienie przywilejów feudalnych: poddaństwa i pańszczyzny. Odrzucili jednak dalsze działania rewolucji, która rozpętała wojnę z religią i Kościołem oraz monarchią (21 stycznia 1793 roku odbyła się egzekucja Ludwika XVI), do której chłopci również byli bardzo przywiązani i w której upatrywali ostoję swoich najcenniejszych praw. Ich prawdziwą hierarchię ważności spraw pokazują cytowane przez Reynalda Secher fragmenty raportu jednego z komisarzy Zgromadzenia Narodowego o sytuacji w Wandei w przeddzień powstania. Wandejczycy mówią tu m.in.: „Nie pragniemy innej łaski, jak tylko mieć księży, do których mamy zaufanie”. Komisarz komentuje: „Liczni mieszkańcy wsi przywiązują tak wielką wagę do ich (kapłanów) obecności pośród siebie, iż zapewniają nas, że zapłaciliby podwójne podatki, aby pośród nich pozostali”². O pragnieniu przywrócenia pasterzy świadczą też sformułowane już w zdecydowanym i gniewnym tonie zwrotki pieśni śpiewanej przez Wandejczyków podczas powstania:

*To wy wygnaliście
naszych drogich biskupów,
wikariuszów, proboszczów,
Całe duchowieństwo.
Posprzedawaliście
całe mienie Kościoła,
stąd macie pieniądze,
bezczałni złodzieje
Świątokradcze ręce
bez podstaw i racji
podnieśliście nawet
na sam stan kapłański³.*

Wandejczycy przestali się łudzić co do rewolucji, gdy wyciągnęła „świątokradcze ręce” przeciw Kościołowi, nawet jeśli przedtem wydawały się one rękami wyzwalającymi i przywracającymi sprawiedliwość.

► „Jeśli się cofnę – zabijcie!”

Jedne z pierwszych strzałów padły 12 marca 1793 roku w Saint-Florent, gdzie miał zostać przeprowadzony pobór do armii pod osłoną Gwardzistów Narodowych, którzy zresztą uciekli po krótkiej walce. W wielu innych miejscach dochodziło do podobnych starć. Chłopci wcho-

dzili do merostw, wyrzucali republikańskich urzędników, palili dokumenty, przepędzali trutonów, darli w strzępy trójkolorowe sztandary i kokardy. Nie wiedzieli jednak, co dalej, potrzebowali przywództwa. W Pin-en-Mauges powstańcy udali się do szanowanego w okolicy Jakuba Cathelineau. Ten 34-letni woźnica, ojciec jedenaściorga dzieci, stał się wkrótce głównym dowódcą powstańców i jednym z największych bohaterów wojny wandejskiej, ukochanym i czczonym przez żołnierzy niemal jak święty. Do chłopów dołączała okoliczna szlachta. Było wśród niej wielu wojskowych, którzy służyli w armii jeszcze za panowania króla: to oni obejmowali najczęściej dowodzenie nad formującymi się oddziałami. Niekiedy jednak chłopci musieli bardzo usilnie prosić panów, by włączyli się do powstania i brali nad nimi komendę, czasem siłą wyciągali ich z zamków i pałaców, gdzie tamci, zabarykadowani, odmawiali włączenia się do walki. Tak stało się w przypadku innego późniejszego bohatera Wandei – Franciszka Atanazego de Charette de La Contrie, byłego oficera marynarki. Gdy powstańcy przyszedli do jego zamku, miał schować się pod łóżkiem, potem zaś starał się zniechęcić ich do walki. „Wtedy usłyszał, że to wstyd, by oficer królewski odmawiał walki przeciw wrogom Boga i króla. Odrzekł wówczas: »Dobrze, pójdę z Wami, ale trzeba mnie słuchać. Kto mnie nie usłucha temu rozwałę łeb!«”⁴. Był to, można by rzec, pierwszy zagończyk i ułan armii wandejskiej, który też okrył się największą sławą w tej wojnie, objawiając wyjątkowy talent w taktyce partyzanckiej. Wśród innych dowódców trzeba wymienić bohaterskiego Karola de Bonchamps, Ludwika de Lescure, Jana-Mikołaja Stofflet czy Maurycego d’Elbée, a także Antoine Philippe de La Trémoille, księcia de Talmont. Jednym z najdzielniejszych i najbardziej rycerskich dowódców był Henryk de La Rochejacquelein. Przyjmując dowództwo, powiedział do powstańców: „Jeśli będę szedł naprzód – idźcie za mną, jeśli się cofnę – zabijcie, jeśli umrę – pomścicie”.

Od marca do czerwca 1793 roku powstańcy odnosili serię zwycięstw: od Fontenay na południu po Saumur na północnym wschodzie. Rozbijając oddziały republikańskie, zdobywając zamki i ufortyfikowane miasta, Wandejczycy pozyskiwali karabiny, amunicję i działa. Po zwycięskim oblężeniu Saumur oficerowie zebrali się na naradę, podczas której jednomyślnie powierzyli główne dowodzenie Jakubowi Cathelineau. Wkrótce prowadzona przez niego Wielka Armia Katolicka i Królewska zdobyła Angers; zwycięstwo to otworzyło powstańcom drogę ku stolicy. Gdyby pomaszerowali wówczas na Paryż, co postulował Rochejacquelein, losy rewolucji i Francji mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej.

²Ibid., str. 94.

³Ibid., str. 116

⁴Marek Robak, Wanda 1793: W obronie Boga i króla. Poznań, 1996, str. 16

Plan zakładał zdobycie miasta, którego nie broniły wówczas żadne znaczące siły, rozprawienie władz rewolucyjnych, odnalezienie syna zgilotynowanego Ludwika XVI – Ludwika XVII – i koronowanie go na króla. Oficerom nie udało się jednak zmobilizować żołnierzy do dalszego marszu – chłopci nie widzieli sensu walki w nieznanym im terenie, chcieli powrócić do domów i dopilnować nadchodzących sianokosów. W ten sposób została zmarnowana największa szansa powstania na zwycięstwo. Ostatecznie, żeby nie dopuścić do całkowitego rozejścia się wojska, Cathelineau skierował ofensywę na Nantes – miasto łączące Wandę z Bretanią, gdzie panowały wojenne nastroje, była szansa na kolejne powstanie. Mimo silnego oporu Niebieskich (tak nazywano żołnierzy republikańskich) powstańcy przedarli się do centrum i miasto było prawie przez nich zdobyte. Gdy zbłąkana kula trafiła ich wodza – Cathelineau zmarł niedługo później wskutek odniesionej rany – Wandejczycy wycofali się, unosząc na ramionach ukochanego generała.

► Odwrót

Tymczasem w Paryżu zapadały decyzje o całkowitym zdławieniu powstania i rozprawieniu się bez jakichkolwiek skrupułów z walczącymi i wszystkimi, którzy ich wspierali. Usankcjonowane zostały gwałty, rabunki, podpalenia, by całkowicie zniszczyć rebelię. Do Wandei kierowano nowe siły, w tym osławioną Armię Moguncką (przez cztery miesiące broniła Moguncji przed czterokrotnie przeważającymi wojskami Prusaków i Austriaków, została jednak zupełnie rozbita przez powstańców w bitwach pod Entrammes i Château-Gontier) oraz żołnierzy gen. Westermanna, który wkrótce zyskał przydomek „Rzeźnik Wandejczyków”. Niebieskich było w sumie jest 150 tysięcy. Wojna toczyła się ze zmiennym szczęściem dla powstańców; odnosili znakomite zwycięstwa, ale ponosili też dotkliwe straty w krwawej i nierozstrzygniętej bitwie pod Cholet. Śmiertelnie ranni zostali dowódcy Bonchamps i d'Elbée. Nowym głównodowodzącym został 21-letni Henryk de la Rochejacquelein. Pod jego komendą, jednak wbrew jego radom, powstańcy rozpoczęli długi marsz ku morzu (Virée de Galerne) – spodziewali się połączyć tam z oddziałami angielskimi. Szlak Armii Katolickiej i Królewskiej, za którą podążali na wozach ranni i rodziny walczących, znały znowu zaskakujące zwycięstwa, jednak jej siły topniały. Żołnierzom doskwierała zimno i jesienna słońca, brakowało żywności, szerzyły się choroby, nie nadeszła też oczekiwana pomoc angielska. Nękani cały czas przez wroga powstańcy wycofali

się ku Wandei. Droga powrotna była prawdziwą gehenną. Wreszcie dotarłszy nad Loarę, 23 grudnia ponieśli klęskę pod Savenay. Był to praktycznie koniec powstania, choć walki dalej trwały, a później odyżły – prowadzone przez Franciszka de Charette, który jako partyzant bił się aż do 1796 roku – militarna porażka była już jednak przesądzona.

► To będzie zapomniane jak tyle innych rzeczy!

Już podczas samej wojny dochodziło ze strony republikańców do rzezi, mordowania jeńców i ludności (m.in. rzeź w Le Mans czy „wyczyny” Westermanna). To prawda, że zdarzały się także odwety powstańców, jednak trzeba powiedzieć, bez uprawiania hagiografii Wandejczyków, że należały one do rzadkości i były skutkiem zaniedbań dowódców. Zarówno oni sami, jak i chłopci dawali natomiast zadziwiające wyrazy wielkoduszności wobec żołnierzy wroga, pochwyconych nieraz tuż nad ciałami zamordowanych bliskich. Jednym z takich wielkich czynów było oswobodzenie przez konającego Karola de Bonchamps 5 tysięcy jeńców, wśród których wielu dopuściło się wcześniej najgorszych zbrodni. „Dowódcy republikańscy chcieli zataić czyn Bonchamps. Wysłannik Konwentu Merlin de Thionville pisał do Komitetu Ocalenia Publicznego: »Niektórzy ocaleni dali się wzruszyć temu dowodowi nieprawdopodobnej hipokryzji. Przemawiałem do nich i zrozumieli wkrótce, że nie powinni być Bandytom wdzięczni... ludzie wolni przyjmują życie z rąk niewolników! To nie po rewolucynemu. Trzeba pogrzebać w niepamięć ten nieszczęsny czyn. Nie mówić o tym nawet Konwentowi. Bandyci nie mają czasu pisać i wydawać gazet, to będzie zapomniane jak tyle innych rzeczy». Niezupełnie się to jednak udało – wśród ocalonych wówczas jeńców był żołnierz, którego syn, Dawid d'Angers, został później wybitnym rzeźbiarzem. W podzięce za ocalenie ojca wyrzeźbił on wspaniały posąg Karola de Bonchamps na jego grobowcu w Saint-Florent, który można oglądać do dzisiaj”⁵. Innym aktem miłosierdzia, który przeszedł do historii mimo wysiłków propagandystów rewolucji, było „Ojciec nasz d'Elbée'go”. Gdy jego żołnierze po krwawej, lecz zwycięskiej bitwie z wojskami Republiki, rozdrażnieni ich oporem, chcieli kilkuset jeńców zgładzić, Maurycy d'Elbée nakazał im uklęknąć i odmówić „Ojciec nasz”. Przy słowach „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” zawołał: „Jakże to ośmielacie się prosić Boga o wybaczenie, kiedy sami nie potraficie wybaczyć?”. Jeńców puszczono wolno, a sam d'Elbée został niebawem rozstrzelany przez rewolucjonistów.

⁵Ibidem, str. 26

► Zemsta

Tymczasem po zadaniu ostatecznego ciosu Wandejczykom władze w Paryżu przygotowywały krwawą zemstę za powstanie. Celem było całkowite wyniszczenie Wandejczyków i Wandej. Pojawiały się różne pomysły eksterminacji: arszenik, materiały wybuchowe, puszczenie z dymem wszystkich ludzkich siedzib. Przyjęte zostało „rozwiązanie” gen. Turreau, które zakładało koncentrację dziesięciu dywizji rozstawionych na granicach Wandej i ich marsz w głąb kraju z rozkazem totalnego niszczenia wszelkich śladów życia napotkanych po drodze. Oddziały tych żołnierzy-katów przeszły do historii jako „kolumny piekielne” (*colonnes infernales*). Rodzaj oraz skala furii i sadyzmu, jakiego wtedy doświadczyli Wandejczycy, były przerażające. Trudno przytaczać te opisy sposobów, w jakie rewolucyjni żołnierze zadawali im śmierć. Wydaje się jednak, że uczczenie ofiary tych mężczyzn, kobiet i dzieci wymaga podania choćby w pewnej części, jak bardzo cierpieli. Oprócz „zwykłego” rozstrzeliwania czy gilotynowania albo palenia żywcem w domach czy kościołach, ludzi masowo topiono – zwłaszcza w Nantes na Loarze: ofiary były gromadzone na starych łodziach zabitych deskami, które następnie zatapiano, przywiązane kobiety do drewnianych elementów były wcześniej gwałcone (było to tzw. małżeństwo republikańskie). Wpadający do domów oprawcy cięli ludzi na kawałki, kobiety w ciąży były trawione albo rozcinane – ich dzieci nadzieevano na bagnety, niektórych Wandejczyków zakopywano w ziemi po szyję i zabijano, rzucając w głowę kamieniami. Z ciał zamordowanych wytapiano „tuszcz ludzki” albo zdzierano skórę i syto z niej spodnie do konnej jazdy dla oficerów, o czym można się dowiedzieć z raportu autorstwa samego Saint-Just’a⁶. „Kolumny piekielne” zostały odwołane po pięciu miesiącach mordowania, od stycznia do maja. Było to pierwsze w historii ludobójstwo, które pochłonęło kilkadziesiąt tysięcy istnień ludzkich. Dokładna liczba zabitych w wyniku eksterminacji nie jest znana, wiadomo natomiast, że podczas jej trwania i podczas wojny poległo w sumie 117 tys. Wandejczyków, czyli 15 procent całej populacji.

► Milczenie

Historia Wandej, a szczególnie dokonanej tam zbrodni, jest mało znana. Gdy już zabiera się na ten temat głos podczas debat, zajęć uniwersyteckich i szkolnych, na łamach książek czy podręczników, holokaust Wandejczyków jest relatywizowany albo

wręcz podważany. Reynald Secher jest we Francji jednym z nielicznych badaczy Wandej i pisarzy przybliżających jej prawdziwą historię. Wielu francuskich historyków nie uznaje ludobójstwa z 1794 roku. (Niedawno byłem uczestnikiem studenckiej konferencji romanistów, nie organizowanej co prawda we Francji, lecz w Polsce, podczas której jeden z prelegentów, przekonywał, że „złe rzeczy” działy się w Wandej w takiej samej mierze po obu stronach konfliktu).

Ta zafalszowana narracja, którą bez wątpienia jedni szerzą celowo, a inni po prostu biernie powtarzają, wynika z tego, że wandejska karta w żaden sposób nie wpisuje się w obowiązującą poprawną politycznie wersję historii powszechnej. Jej twórcy, przeważnie uczniowie Marksa, usiłują dowieść, że sprawcą wszelkiego ucisku, prześladowań i błędów, jakie miały miejsce w historii, był Kościół i oparte na chrześcijańskich zasadach państwo i społeczeństwo. Oprócz przysłowiowych „krzyżowców” i „kolonizatorów” piętno winnych zyskują „biali”, mężczyźni, rodziny, mieszkańcy wsi (sic!), którzy „złe głosują”. Rewolucja francuska jest w tej opowieści ukazywana jako triumf nad „starym porządkiem” i kamień milowy na drodze do postępu. O jej zbrodniach mówić więc nie wolno. Co więcej obecny ład polityczny i społeczny, zwłaszcza we Francji, opiera się właśnie na rewolucyjnych dokonaniach. Jakkolwiek wzmianka o Wandej musi być więc połączona z jej krytyką.

Czy zatem powstanie poszło na marne, skoro zakończyło się klęską, pociągnęło za sobą masowe mordy, jego historię się zniekształca, zaś dekrety zlecające eksterminację nie zostały unieważnione i do dziś figurują w repertuarze praw republiki francuskiej? Nie! Świadectwo wiary Wandejczyków – jak pisze Jacek Kowalski – nie da się niczym zmierzyć. Jest bezcenne. [...] Co więcej ich opór wywołał mimo wszystko otrzymanie i refleksję. Sam Napoleon Bonaparte (który jako rewolucyjny generał świadomie wykręcił się od uczestnictwa z tej »brudnej wojnie«) wyznawał pod koniec życia, że »Wandea musiała się wydarzyć, aby uratować honor Francji«. On sam też doprowadził Republikę do zawarcia konkordatu ze Stolicą Apostolską. [...] Rozumiał [...] niewątpliwie między innymi dzięki Wandej! – że katolikom należy się wolność kultu⁷. Tę wolność, jakże cenną, katolicy we Francji do dziś mają, choć muszą jej bronić. Istnieje ona także w wielu innych miejscach. Nie udało jej się odebrać, choć również tamtędy przeszli siewcy rewolucji. Często dzięki zrywom podobnym do tego z 1793 roku albo z powodu samej tylko obawy przeciwników, że podniesienie na nią ręki kosztowałoby zbyt wiele. ■

⁶Fragment raportu cytuje Krzysztof Masłoń w swoim artykule: «Żyć będziesz jeden dzień», Rzeczpospolita, 01 stycznia 2004

⁷Jacek Kowalski, «Wszyscy jesteśmy Wandejczkami», Nasz Dziennik, 27 lipca 2020

Krótkie urywki dotyczące Rosji z „Memoriału dla Napoleona III” napisanego przez Zygmunta Krasińskiego (1812–1859), jednego z trójki wieszczów polskiego romantyzmu, krążą od jakiegoś czasu po internecie. Jednak nie oddają one całości argumentacji, którą polski poeta chciał przekonać świeżo proklamowanego cesarza

Francuzów do wskrzeszenia Państwa Polskiego oraz „doprowadzenia do zupełnej niemocy” owej „plagi” ludzkości, jak nazywał Krasiński Rosję. Wszystko to pozostaje aktualne, co zresztą Krasiński przewidział, stwierdzając, że Rosja dobrowolnie nie wyrzeknie się swych metod. Obszerne fragmenty „Memoriału dla Napoleona III” poniżej.

Zygmunt Krasiński

Memoriał dla Napoleona III

Rosja jest wytworem i zbiorem pierwiastków najbardziej złowrogich i najbardziej rozkładowych, jakie są w historii. Zepsucie, wyrafinowane ostatnich czasów Bizancjum, przeszło w jej kościół i w jej dyplomację. Srogość nieubłagana a zimna chanów mongolskich stała się sprężyną jej administracji. Urządzenia gminne pierwotnych Słowian przechowały się u jej ludu. Rosja jest wielkim komunizmem, rządzone przez władzę zarazem wojskową i teokratyczną; ta władza zaś, równa terrorowi z roku 1793 w okropności, jest od niego nierównie wyższą w swojej organizacji i w swojej zdolności trwania. Danton, Marat, Robespierre to figury blade, jeżeli się je postawi obok rewolucjonistów takich jak Iwan Groźny, jak Piotr Wielki, jak Mikołaj I.

[...] Rosjanie to istoty najniezwyklejsze na świecie, a przez to i najprzewrotniejsze; bo nadmiar nieszczęścia podnosi tylko wielkie dusze, ale ogół ludzi zawsze w końcu ogłupia. Rosjanie to są potępienci tego świata i jak potępienci, mają tylko jedną pociechę, swoją pychę. W skrytości serca oni sobie przyznają swoją głęboką degradację; ale nie mają ani dość rozumu, ani dość godności ludzkiej, żeby jej położyć koniec. Wolą wynosić ją do rzędu jakiegoś ideału niewolnictwa, a roszczać sobie i marzą, że prędzej czy później cały świat bę-

dzie poddany tej niewoli tak, jak oni. Stąd ten u nich namiętny popęd podbojów; on jeden pozwala im zapominać o własnych mękach, bo im daje nadzieję ucisku i cierpienia drugich. Idea monarchii uniwersalnej to jest w Rosji milczący pakt zawarty między rządem a poddanymi; za tę cenę dana jest pierwszemu moc złamania wszelkiego oporu w drugich. To jest prawdziwa zasada konserwatywna tego strasznego stanu rzeczy; to jest tajemnica i dusza tego cesarstwa. Niech się nikt nie spodziewa, że wyrzeknie się jej kiedy czy ten rząd, czy ten lud; nie wyrzekną się, bo to jest raz i forma ich bytu i racja ich bytu.

Jeżeli Rosja ma przestać być plagą, gotową zawsze spaść na Kościół, na cywilizację, na świat, to jest na to jeden tylko sposób, doprowadzić ją do zupełnej niemocy. Wszelki pokój, zawarty przed tym ostatecznym rezultatem, pogorszy tylko sytuację i popchnie nieprzyjaciela do nowych i straszniejszych wysiłków. Upokorzony, ze zdartą maską, ale nieosłabiony, chwyci się on innej broni i zanim powtórzy swój chybiony zamach na Konstantynopol, przygotowuje sobie inne drogi, ciemniejsze a skuteczniejsze. Poda rękę wszystkim tajnym stowarzyszeniom, wszystkim konspiracjom i skrytym

konszachom. Będzie je opłacał swoim złotem, a popierał swoimi intrygami. Jednym słowem, odda całą swoją potęgę na usługi rewolucji socjalnej, by obalić trony tych dynastii, co świeżo zerwały z nim przymierze, albo nim wzgardziły.

Jeżeli mi kto zarzuci, że rząd rosyjski zbyt często, zbyt uroczyście głosił przed całym światem swoje zasady, iżby mógł zwrócić się w tę stronę, temu odpowiem, że jedyną zasadą tego rządu jest nie mieć żadnej zasady. Odpowiedziałbym nadto, że jest i było zawsze ukryte a głębokie pokrewieństwo między duchem rosyjskim a duchem rewolucyjnym. Te dwa duchy zdają się odpychać i walczyć z sobą wzajemnie, ale nie dlatego, jakoby różniły się od siebie istotą swojej natury, tylko dlatego właśnie, że oba dążą do tego samego celu, a każdy chciałby osiągnąć ten cel sam dla siebie. Bo istotnie, tę rolę, jaką gra stronnictwo demagogiczne w każdym narodzie europejskim z osobna, Rosja gra od dawna względem wszystkich narodów razem wziętych.

Ona także zapowiada erę nową, nieznaną; ona także obwieszcza nowego Boga, nowy kościół, przyjście nowego społeczeństwa, religię poddaną w niewolę świeckiej władzy, duszę poddaną ciału, zniesienie wszelkiej arystokracji, wymazanie indywiduum ludzkiego z księgi żywota, równość absolutną — (osiągniętą co prawda przez najohydniejszą tyranię, ale ona inaczej osiągniętą być nie może) — wreszcie zapowiada wyrzucenie zasad własności z organizacji pracy. Na ukoronowanie zaś całego tego systemu obiecuje używanie zwierzęce na jedyną pociechę rodu ludzkiego [...].

Polska była naprawdę dziełem mądrości boskiej i boskiego przewidywania, postawionym przez Opatrzność pomiędzy ludźmi różnego pochodzenia i różnych popędów, Turkami, Moskalami i Niemcami, na to, by trzymała na wodzy pierwszych w ich zamachach na chrześcijaństwo, drugich w ich zamachach na cywilizację, trzecich w ich zamiarach nieprzyjacielskich względem plemienia słowiańskiego. To też widzi się ją przez wieki, zawsze i wszędzie, pełniącą tę potrójną misję kosztem swojej najczystszej; krwi: czy to kiedy w Prusach druzgocze nieznośny ucisk krzyżackiego zakonu, czy bierze do niewoli księcia z austriackiego domu, czy wchodzi do Moskwy i zmienia w niej dynastię carów, czy pod murami Wiednia zadaje cios śmiertelny potęgze Islamu. Położona pośród tych państw różnych, oddzielała je od drugich, przez to utrzymywała każde w jego właściwych granicach i w naturalnej,

uprawnionej sferze jego działania. Głęboko katolicka, a zarazem zachwycona tradycjami starożytności rzymskiej, w nieustannych stosunkach z Włochami i z Francją, ona odpierała barbarzyństwo ze wszystkich stron, pracowała bez przerwy nad unią schizmy z kościołem rzymskim, a powstrzymując nienasyconą chciwość germańską, rozszerzała na Słowiańszczyznę cywilizację Zachodu. To było prawdziwe dzieło porządku, to było wykonywanie systemu zachowawczego na ogromną skalę. To też od tego zamachu, co wymazał Polskę z listy państw, nie było już nigdy porządku, nie było stanu rzeczy prawdziwie stałego w Europie. Nie widziało się nic, tylko albo rewolucje wewnętrzne, albo wojny między ludami w celu wzajemnego ujarzmnienia. [...]

Oskarżano nieraz Polaków, a zwłaszcza w tych ostatnich czasach, o rewolucyjne usposobienie i popędy: widziano ich na wszystkich barykadach, nawet na takich, gdzie nie było ani jednego, jak to było do wódnie wykazanych. To oskarżenie jest błahie, dziecinne. Tak samo można by żołnierzowi, przesytemu ranami i konającym na polu bitwy, wyrzucić, że z gorączki stracił przytomność. Podnieś tego żołnierza, ratuj go, pielęgnuj, a jak go ocalisz, przekonasz się, że obłęd nie był jego naturalnym stanem, tylko anormalnym symptomem męczarni konania. Nie przeczymy jednak, że jakaś gorączkowa choroba krąży we krwi każdego Polaka, ale ta gorączka czym jest? To jest cały ogrom, cały świat niesprawiedliwości i niegodziwości, który go przygniata i miażdży bez przerwy i bez wytchnienia. Ta gorączka to ojczyzna, to wiara i religia, to sama nawet mowa ojczysta skazana na zagładę i prześladowana w tym człowieku. Ta gorączka to droga historii, przebyta w górę pochodem długich pokoleń, którą przemoc, nieprzyjaciółka wszelkiego postępu, każe mu odbywać wstecz, na dół, wydzierając mu wszystkie duchowe dobra, idee, prawa cywilizacji, zdobyte potem i krwią jego ojców. Ta gorączka to brak wszelkiego życia publicznego, a w jego miejsce nic, tylko więzienie albo wygnanie. Ta gorączka to ognisko domowe, dla Polaka splamione szpiegostwem, to najsłodsze związki rodzinne zatruć albo zerwane najohydniejszą tyranią. Ta gorączka więc to nie jest rewolucja przez Polaka samego wytworzona: to rewolucja, którą mu narzucano, a której on zmuszony jest poddać się, z tem wszystkim, co czuć i miłować jest jego najświętszym obowiązkiem [...]

Październik 1854.

Przedruk za: „Zygmunt Krasiński, Pisma. Wydanie jubileuszowe, Kraków-Warszawa 1913, tom VII, Pisma polityczne i filozoficzne”. Tłum. St. Tarnowski.

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

SŁOWACCY NOSICZE

– tatrzańscy twardziele

W polskiej części Tatr już ich raczej nie zobaczysz. Wszak do każdego z tutejszych schronisk prowadzi dziś jakaś utwardzona droga. Da się wjechać samochodem, kładem, skuterem. W Tatrach Słowackich już jednak tak kolorowo nie jest. Nadal funkcjonuje tu sześć schronisk, do których nie prowadzi żadna przejezdna droga. To Chata pod Rysami, Chata Tery'ego, Zbójnicka, Zamkowska, Kamienna oraz Rainerowa. Całą żywność, wszystkie napoje, butle z gazem oraz wszelki potrzebny sprzęt – wszystko to trzeba wnieść. Na plecach. Są tacy, którym podobna profesja nie jest straszna. Słowacy nazywają ich nosiçami.





Za stworzeniem Muzeum Nosiczków stoi postać Petra Petrasa, nauczyciela z Kieżmarku. Zarazem nosicza

Stało się to tak szybko. Nie wiem, kiedy nas minął. Przeszedł i tyle go widzieliśmy. Wysoki szczupły chłopak. Długie nogi, sportowa sylwetka. Miał nie więcej niż 25 lat. Szedł ze spuszczoną głową. Cicho i niepostrzeżenie. Jakby nie chciał, aby ktokolwiek go zobaczył. Robił mu zdjęcia. Może zaczepiał. Przecież ma robotę do wykonania. Musi się iść dalej. Musi się spieszyć.

Pamiętam, jak otworzył sobie dyskretnie drewniany szlaban blokujący wejście do bocznej odnogi szlaku. Nielegalnego skrótu. I pognął dalej w dół wzdłuż błotnistej ścieżki. Objuczony drewnianym stelażem wystającym przynajmniej metr nad jego głowę wyglądał trochę jak przysłowiowa pracowita mrówka mocująca się z kilkukrotnie większym od niej listkiem. Chłopak niósł przynajmniej dwie skrzynki butelek. Umocowaną na nich kilkudziesięciolitrową butlę gazową. I bodaj dwa plecaki na samym szczycie ładunku. Tyle przynajmniej zdążyłem zauważyć. To pierwszy nosicz, jakiego spotkałem na Słowacji. Na szczęście wkrótce okazało się, że nie ostatni.

► W poszukiwaniu legendy

– Serio? Przyjechałeś specjalnie dla niego? – potężnych rozmiarów mężczyzna szeroko otwiera

oczy, gdy opowiadał mu historię Petera Petrasa, słynnego na Słowacji nosicza, którego nazwisko pojawia się w każdym tutejszym przewodniku tatrzańskim. Trudno się zresztą dziwić. To właśnie temu nauczycielowi z Kieżmarka niewielka chata w Dolinie Zimnej Wody zawdzięcza swe ocalenie. Nikomu niepotrzebny schron niechybnie dawno już by nie istniał. Gdyby nie zapal tego człowieka.

– Tak, chciałbym zrobić o nim materiał... – odpowiadam zupełnie szczerze. – Znasz go?

Mężczyzna tylko delikatnie się uśmiecha. Po chwili podchodzi do przygotowanego przez siebie drewnianego stelaża, by ukucnąwszy na wysokości jego szelek, przygotować się do podźwignięcia ciężaru.

– A to... To może ty jesteś Peter? – pytam podejrzliwie, nie ukrywając zdumienia.

– Owszem, mam tak na imię – odpowiada z uśmiechem mężczyzna. – Ale nie jestem tym, którego szukasz. Jedyne jego synem. Szkoda, że nie przyszedłeś jutro. Tata będzie stał za barem.

Drewniany budynek, przed którym w tej chwili stoimy, to słynna Rainerowa Chata. Jedna z wymienionych wcześniej miejscówek w Słowackich Tatrach, do których nie prowadzi żadna utwardzona droga. Choć akurat do tej jest względnie najbliżej od



Codzienna praca nosicza nie należy do najprostszych

cywilizacji. Do pobliskiego Smokowieckiego Siedelka (zwanego przez Słowaków Hrebienokiem) jest stąd zaledwie 20 minut spacerkiem. Zaś na samo Siedelko można już przecież wjechać kolejką. W niczym nie zmienia to jednak faktu, że stojący w tym miejscu tatrzański schron pod koniec XX wieku był w bardzo opłakanym stanie. I nie było chętnego, aby się nim zająć. Poza wspomnianym Petrasem.

Mężczyzna wydzierżawił schron i rozpoczął jego przebudowę. Ze zwykłej chatki mającej w założeniach być punktem odpoczynku dla przybywających do okolicznych Wodospadów Zimnej Wody turystów powstało niewielkie schronisko. A właściwie górską karczmą. I coś jeszcze. Muzeum.

► Rodzina na plecach

Wchodząc do środka chaty pocujemy sympatyczną woń. To grzane wino. Błaznany gar nadal stoi na piecu, czekając tylko na kolejnego spragnionego. Delikatny półmrok daje wytchnienie oczom od jaskrawego ostrego słońca na zewnątrz. Wąska stróżka pojedynczej lampy rzuca światło na wiszącą pod sufitem skórzaną uprząż. Zaraz obok niej wiszący górski but. Są też tatarnicze raki. I czekan. A to przecież dopiero początek atrakcji. Na przeciwległej

kamiennej ścianie wiszą kolejne artefakty. Liny, drewniane stelaże, fotografie. Wszystko, co stanowi pamiątkę po jednym ze starszych zawodów, jaki obecny jest w paśmie między Gerlachem a Łomnicą. Po zawodzie tragarzy. Słowacy wolą nazywać ich noszczami. Rainerowa Chata to dziś ich muzeum. Jedyne na świecie.

Trudno się dziwić, że Peter Petras, sam dorabiając do nauczycielskiej pensji jako nosicz, nadał wydzierżawionej przez siebie chatce taki wyraz. Chciał, by zachodzący tutaj turyści poznali lepiej trud i codziennosc pracy jego oraz jego kolegów.

„Noszę to dla siebie” – powtarzał zmarły niedawno Laco Kulanga, jeden z najsłynniejszych słowackich noszczów. I choć nie ma podstaw, aby nie wierzyć nieodżałowanemu gospodarzowi niewielkiej Skalnatej Chaty, ośmioosobowego schroniska pod Łomnicą, to trzeba mieć przy tym wszystkim świadomość, że zawód nosicza przez całe lata stanowił dla wielu słowackich rodzin jedyne źródło utrzymania.

Zawód tatrzańskiego tragarza górskiego był z początku znany po obu stronach granicy. Wszak w początkowym okresie turystyki w Tatrach przewodnik był niejako zobowiązany do noszenia bagażu turysty, którego prowadził po szlaku. Oczywiście wszyst-

MOJE TATRANSKÉ CESTY

OD ROKU 1968 PO SÚČASNOŠŤ

ŽIVOTNÉ ŠTANDY TATRANSKÉHO RODÁKA LAČA KULANGU

- > V MLADOSTI DOBRÝ ATLÉT-BEŽEC
- > PRÁCA HORSKÉHO NOSIČA SA STALA POVOLANÍM
- > REKONŠTRUKCIA ZAMKOVSKÉHO CHATY
- > ZALOŽENIE RODINY, NARODENIE SYNA PÁLKA
- > OBNOVA ZABUDOVANEJ SKALNATEJ CHATY
- > REKORDNÁ VYŇAŠKA 207,5 KG NA ZAMKOVSKÉHO CHATU
- > DOTERAZ VYNESENÝCH : VIAC AKO 1 000 000 KG

LAČO KULANGA

NOSIČ A CHATÁR NAR. 20.8. 1949



ZEMNÁCKA CHATA
1980 14 M



TERÝHO CHATA
2018 14 M



ZAMKOVSKÁ CHATA
1978 14 M



ZAMKOVSKÁ CHATA
1978 14 M

Pamiętkowa tablica po zmarłym niedawno Laco Kulandze, legendzie tatrzańskich nosiczków

ko było wcześniej ustalone: dopuszczalny maksymalny ciężar, długość trasy etc. Jednak to właśnie były początki utrwalonego dziś za naszą południową granicą zawodu. Zawodu, którego historycznym początkiem była budowa pierwszego schroniska ulokowanego w wyższym piętrze parku: Chaty Terý'ego. Budowa obiektu znajdującego się w mniej dostępnym skrawku Tatr: na granicy Doliny Małej Zimnej Wody i Doliny Pięciu Stawów Spiskich rozpoczęła się jeszcze pod koniec XIX wieku. Słowacy bardzo szybko zorientowali się, że bez pomocy silnych tragarzy schronisko nie powstanie. Na szczęście chętnych nie zabrakło.

Wynoszeniem materiału budowlanego trudniło się 125 mężczyzn z Wielkiego Sławkowa, Starej Leśnej i Rakus. Panowie trzy razy dziennie wynosili ładunek o ciężarze od 50 do 60 kilogramów ze Słowackiego Siedelka do Doliny Pięciu Stawów Spiskich. Pewnie nikt z nich nie miał wtedy świadomości, że stają się zarazem pionierami nowego zawodu w tatrach. Zajęcia, które bardzo szybko okazało się coraz bardziej potrzebne. Choćby w latach 30. Gdy wznoszono pierwszą część kolejki pod

Łomnicę. Tragarze znów okazali się ludźmi, bez których nie da się obejść. Z czasem więc nosiczków zaczęto coraz sówicziej wynagradzać.

► Żona, studenci i komunizm

Legendą tamtego okresu, o której wciąż głośno mówi się po słowackiej stronie Tatr, jest Ondrej Hudáček. Nosiczk z Lendaku, który przeciętnie wynosił na większe wysokości towar o przeciętnej wadze 70 kilogramów. Kroniki podają, że Hudáček pracował jako tragarz aż do 62. roku życia. Zmarł w 1990 roku jest dziś często nazywany „królem tatrzańskich nosiczków”. Wszystko przez długo utrzymujący się rekord wyniesienia ze Smokowieckiego Siedelka do Zamkowskiej chaty pieca o wadze... 137 kg.

Co ciekawe, nosiczk okazał się inspiracją dla własnej żony. Maria Hudáčková również trudniła się przez pewien czas zawodem męża. Jej ładunki zanożone do górskich schronisk oscylowały wokół 30 kilogramów.

Jednak małżeństwo Hudáčków było jednym z ostatnich reprezentantów generacji nosiczków, dla

których zawód ten był jedynym źródłem utrzymania. Nowe pokolenie tatrzańskich tragarzy wywoziło się już zwykle spoza Tatr i dla nich noszenie ciężkich towarów na skaliste turnie stanowiło jedynie dodatkowe źródło utrzymania. Często typowo wakacyjne. Tak było choćby w przypadku studentów, którzy w panującym wówczas na Czechosłowacji systemie politycznego ucisku szukali dla siebie wentylu dającego choćby najmniejszy powiew wolności. Odnajdywali go właśnie na tatrzańskich szlakach. Pod kilkudziesięciokilogramowymi ładunkami.

► Smutna chata na Skalnатыm Pleso

Na Skalnатыm Pleso od rana piękna pogoda. Jedynie kalendarzowa kartka wskazuje, że to już jesień. Tymczasem słupek rtęci dawno przekroczył już plus 23 stopnie. Lato zrobiło sobie kilkudniowy bis. Słońce zreszcie podkreśla poharataną sylwetkę południowego stoku srogiej Łomnicy.

Wszystko na Skalnатыm Pleso zdaje się dziś krzyżać z radości. I tylko zamknięta na cztery spusty niewielka chatka oddalona kilkaset metrów stąd jest jakaś inna. Smutniejsza.

W oknach chatki wiszą kartki ze zdjęciem. Na nim sympatyczny uśmiechnięty mężczyzna. To Ladislav „Laco” Kulanga. Dotychczasowy gospodarz tego miejsca. Niewielkiego schroniska pod Skalnатыm Pleso. Dziś jednak jego Skalnata Chata pozostaje zamknięta. Gospodarza bowiem już tutaj nie ma. Zmarł kilka dni temu.

Nieco obok zdjęcia widać kolejną kartkę. Na niej dwa krótkie teksty. Jeden w języku słowackim, drugi po angielsku. Ktoś przeprasza za to, że dziś schronisko jest nieczynne. Wyjaśnia w kilku słowach, że obsługa domu jest dziś szczególnie pogrążona w smutku i żałobie. Po odejściu kochanego męża, ojca, dziadka, przyjaciela. Tak, dziś w Skalnatej Chacie zdecydowanie kogoś brakuje.

► Rekordzista

Ladislav „Laco” Kulanga urodził się w 1949 roku w Ostrawie. Już jako dorosły młodzieniec podejmował się wielu zajęć. Pracował m.in. jako górnik czy operator dźwigu. Jednak sławę oraz powszechną sympatię wśród Słowaków zdobył jako tatrzański nosicze.

Kulanga wspominał, że pierwszy raz pojawił się w Tatrach w nowej dla siebie roli nosicza w roku 1968, gdy miał 17 lat. Z czasem zajęcie zaczęło pochłaniać go na tyle, że postanawiał brać na plecy coraz więcej. I więcej...

Lista wyczynów musi robić wrażenie. Ze Smokowieckiego Siodółka do Zbójnickiej Chaty Kulanga wnosił swego czasu ładunek ważący 139 kilogramów. Wkrótce potem do Chaty Tery'ego wdrapował się ze stelażem, na którym umocowano 151 kilogramów ładunku. Rekord, o którym dziś z lubością piszą media, dotyczy jednak innego szlaku. Chodzi o trzykilometrowe podejście z Hrebienoka do Chaty Zahorskiego. Kulanga pokonał trasę – którą oficjalne turystyczne wyliczenia wyceniają na 55 minut – o łącznej sumie podejść 310 metrów – z 207,5 kilogramami na plecach! Do dziś nikomu nie udało się pobić tego rekordu.

Na swoją emeryturę wybrał spokojny żywot chatara (czyli gospodarza) niewielkiej Skalnatej Chaty pod Skalnатыm Pleso. Ci, którzy mieli szczęście go tam spotkać, wspominają jego gawędziarskie dykteryjki traktujące o uprawianej przez lata profesji. Opowiadane przy piwie (wódki czy też śliwownicy ponoć nie tykał), z charakterystyczną swadą. Podobno do końca swoich dni był widywany, jak spacerował po okolicznych szlakach. Z tą różnicą, że teraz zamiast kilkusetkilogramowego ładunku nosił na ramionach swój plecak.

► Herbata na wysokości 2250 m n.p.m.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze ich tu zobaczę... – Idący za mną Paweł jest zaskoczony widokiem mknącego przed nami nosicza. To już kolejny, jakiego dziś widzimy. Chłopak podreptał żwawym krokiem kilkadziesiąt kroków wspólnym szlakiem razem z resztą turystów, by po chwili odbić na półlegalną ścieżkę.

Rzeczywiście, trzeba mieć dziś troszkę szczęścia, by zobaczyć ich w pracy. Objuczonych ciężarami. Przygotowujących się do wymarszu. Skracających sobie drogę, gdzie to tylko możliwe. Czujących się w górach jak w domu. Gdy jednak spędzimy w Słowackich Tatrach kilka dni, nasze szanse na spotkanie z nosiczem zdecydowanie wzrosną. Zwłaszcza jeśli udamy się na szlak wczesną porą. Albo gdy będziemy wracali, cyrkując na ostatni tego dnia autobus. Nosicze lubią bowiem skrajności. Taka specyfika profesji.

Dla lubiących taką skrajność na koniec dobra informacja. Nosiczy nadal potrzebują. Praktycznie każdego dnia. Pewnie dlatego pracownicy Chaty pod Rysami wynagrodzą każdego, kto wniesie im do schroniska nawet niewielką ilość ładunku (powiedzmy do 10 kg). Za takie poświęcenie wolontariusz otrzyma na miejscu herbatę. Macie pojęcie, jak taka herbata smakuje?

Podpowiem. Wybornie. ■

Hubert Kowalski

Rock przeciwko Łukaszence. Białoruskie zakazane piosenki

Antyreżimową muzykę rockową przez wiele lat tworzył białoruski zespół Ljapis Trubieckoj. Obecnie natomiast przekaz rozwiązanej grupy kontynuuje kapela Brutto, na czele której stoi założyciel dawnych „lapisów”.

► Wojownicy światła

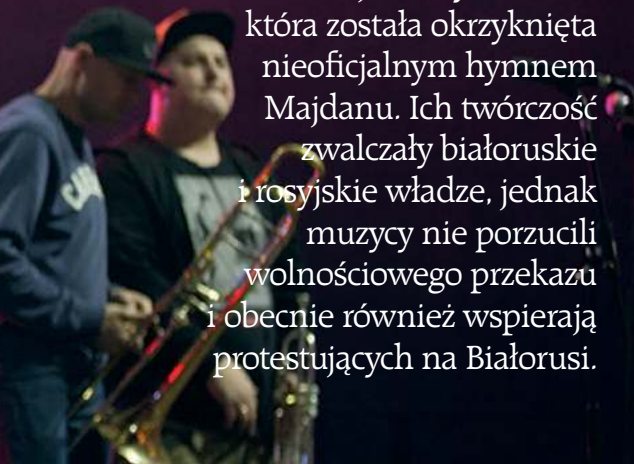
Na przełomie 2013 i 2014 roku pojawili się na scenie kijowskiego Majdanu, by wesprzeć walczących o wolność Ukraińców. Muzycy nieistniejącej już białoruskiej grupy rockowej Ljapis Trubieckoj zagrali piosenkę „Wojownicy światła”, która została okrzyknięta hymnem walczącego Kijowa. „Bij, barabanie – bam, bam! Barykady, przyjaciele, szum, gwar. Wojownicy światła, żołnierze dobra ochraniają lato, biją się do rana” – śpiewał wraz z muzykami tłum na Majdanie. Ljapis Trubieckoj powstał w 1990 roku w Mińsku i zyskał dużą popularność wśród fanów muzyki rockowej z państw byłego ZSRS. Co istotne, grupa tworzyła utwory krytyczne wobec rządów Aleksandra Łukaszenki. Piosenka „Hraj” wyraża krytykę białoruskiego reżimu, który stosuje przemoc wobec opozycji. Z kolei utwór „Komandir” przedstawia putinowską wizję państwa i jego agresywną politykę wobec sąsiadów.

Z nie do końca jasnych przyczyn w 2014 roku muzycy podjęli decyzję o rozwiązaniu grupy. Oni sami twierdzili, że po 24 latach przyszedł czas na nowe projekty. Po występach zespołu na Majdanie jego działalność była utrudniana również w Rosji, gdzie mieszkał Białorusin Siarhiej Michałok, lider Ljapis Trubieckoj. W sierpniu w Petersburgu odbył się pożegnalny koncert zespołu, podczas którego rockmani Ljapis Trubieckoj nie mogli zagrać słynnej piosenki „Wojownicy światła”. Rosyjska milicja domagała się zablokowania utworu przez właścicieli klubu, w którym odbywała się impreza. Jak jednak relacjonowali uczestnicy koncertu, piosenkę a capella odśpiewał kilkutysięczny tłum zgromadzonych fanów. We wrześniu 2014 roku Siarhiej Michałok założył nowy zespół Brutto, który nawiązuje do Ljapis Trubieckoj. Nowa grupa kontynuuje przekaz wolnościowy i niepodległościowy. Również obrona wschodniej Ukrainy przed prorosyjskimi separatystami w 2015 roku zainspirowała muzyków. Nagrali piosenkę „Garri” o młodym Ukraińcu, który porzucił dotychczasowe życie, by bronić ojczyzny przed „dzikimi psami”.

► Emigracja

Działalność zespołu Brutto utrudniały jednak białoruskie władze. Wykonawcy praktycznie nie

W swoich utworach ostro krytykują Łukaszenkę i Putina, sprzeciwiają się rosyjskiej agresji na Ukrainę. Są autorami piosenki „Wojownicy światła”, która została okrzyknięta nieoficjalnym hymnem Majdanu. Ich twórczość zwalczały białoruskie i rosyjskie władze, jednak muzycy nie porzucili wolnościowego przekazu i obecnie również wspierają protestujących na Białorusi.



mieli możliwości koncertowania na Białorusi, a wcześniej zaplanowane imprezy odwoływano. Co więcej, tamtejsza prokuratura obserwowała ich, doszukując się rzekomego łamania prawa. Siarhiej Michalok wystąpił więc o zgodę na pobyt stały na Ukrainie, którą otrzymał w maju 2015 roku. Lider zespołu stwierdził wówczas, że na Białorusi odbywa się „kulturowe ludobójstwo”. Jednak Michalok był na tyle popularny wśród fanów rocka z byłego bloku wschodniego, że bez problemu udawało mu się organizować liczne koncerty poza Białorusią. Brutto grało głównie na Ukrainie, lecz kilka koncertów odbyło się również w Polsce, m.in. w Białymstoku, gdzie na koncerty przychodziła przede wszystkim społeczność białoruska.

► Wentyl bezpieczeństwa?

Sytuacja nieco zmieniła się w drugiej połowie 2016 roku, kiedy reżim Łukaszenki starał się otworzyć na środowiska artystyczne. Białoruski wydział ds. pracy ideologicznej i spraw młodzieży z Homla zezwolił na zorganizowanie koncertu Brutto w tym mieście. Impreza odbyła się 29 października 2016 roku. Był to pierwszy koncert tego zespołu na Białorusi. Z kolei pierwsza białoruska trasa koncertowa

odbywała się w lutym i marcu 2017 roku. Jej głównym punktem był koncert w Minsk-Arenie, największej hali w stolicy Białorusi. 12,5 tysiąca fanów Brutto z biało-czerwono-białymi flagami wypełniło obiekt po brzegi. Uczestnicy imprezy mówili, że wydarzenie było niesamowitą eksplozją energii i prawdziwym powiewem wolności. „Powróciłem, zmarły wstałem i do domu twego zastukałem. Otwierajcie drzwi, »dzień dobry« mówcie mi!” – mówił do fanów Michalok. Muzycy Brutto mają swój specyficzny styl zarówno muzyczny, jak i wizerunkowy. Są bowiem krótko obstrzyżeni, wysportowani, zazwyczaj występują w sportowym strojach, dzięki czemu ich ostre punkowe brzmienie niesie dodatkową energię fanom, którzy podkreślają, że muzyka i mocny styl Brutto idealnie współgrają z wolnościowym przekazem.

Co ciekawe, Siarhiej Michalok w lipcu 2017 roku wystąpił nawet w reklamie państwowych linii lotniczych Belavia. Motywy, którymi kierowała się wówczas białoruska władza, ograniczając cenzurę, nie są do końca znane. Prawdopodobnie jednak zdjęcie Brutto z „czarnej listy” miało być elementem swego rodzaju wentylu bezpieczeństwa. Białoruska władza mogła uznać, że jeśli pozwoli na artystyczną ekspresję o charakterze wolnościowym, to ograniczy nastroje antyrządowe. Z podobnego założenia wychodziła niegdyś PRL-owska bezpieka, która inwigilowała muzyków z festiwalu w Jarocinie, jednak pozwalała na działalność, skupiając się na poszukiwaniu opozycyjnych struktur i bagatelizując nieco przekaz płynący ze sceny. Duża część polskich komunistów wyrażała wówczas przekonanie, że „młodzież musi się wyszaleć”, by nie czuła potrzeby protestowania na ulicach. Białoruska odmówił jednak dobiegła końca, co widać w brutalnej postawie władz wobec protestujących.

► „Żądamy nowych wyborów”

Siarhiej Michalok zabrał głos w sprawie niedawnych wyborów prezydenckich na Białorusi. Członkowie grupy Brutto nagrali oświadczenie, w którym wyrazili poparcie dla protestujących. Lider zespołu podkreślił, że nie uznaje wyników wyborów, które najprawdopodobniej zostały sfalszowane. „Uważamy, że Łukaszenka nie jest pełnoprawnym rządcą naszym krajem. Żądamy nowych, uczciwych i sprawiedliwych demokratycznych wyborów” – mówił Michalok, który odniósł się również do skandalicznego zachowania „wściekłych psów”. „Uważam, że ci, którzy podnieśli rękę na własny naród, kto bił starców, kobiety, dzieci, robotników, tych którzy ich karmią, powinni siedzieć na ławie oskarżonych i za kratami” – podkreślił. Obecnie zespół Brutto koncertuje głównie na Ukrainie. ■



Krzysztof Karnkowski

W pętli „Dark”

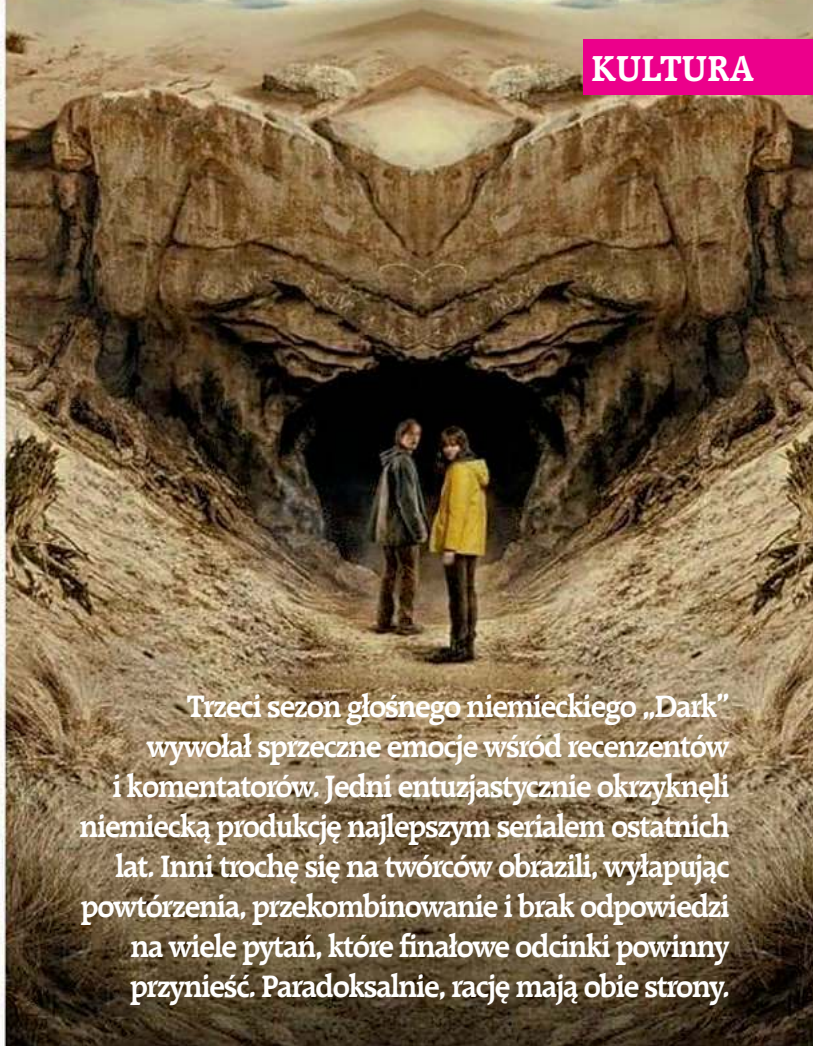
Wiele elementów serialu sprawia, że możemy nazwać go arcydziełem. Choć jednak trzeci sezon jest dla fanów pozycją obowiązkową, która nie schodzi poniżej pewnego poziomu, niektóre rozwiązania sprawiają, że widz, zwłaszcza mający już ostro rozbudzony po 18 odcinkach apetyt, może poczuć się lekko rozczarowany. Może, ale przecież nie musi, bo, jak już wspomniałem, zdania są tu podzielone. Zastanówmy się, czemu na pozór sprzeczne oceny są w tym przypadku uprawnione. Co więcej, w pewnym sensie wpisują się w logikę serialu, w którym istnieją dwa światy i dwie główne wersje historii, rozdzielające się na mnóstwo mniejszych wariantów.

► Skok na głęboką wodę

Kiedy pierwsi recenzenci dostali od Netfliksa możliwość obejrzenia trzeciego sezonu „Dark” na kilka dni

przed oficjalną premierą, większość z nich popadła w entuzjazm. Równocześnie jednak niemal wszyscy ostrzegali fanów, którzy poczekać musieli kilka dni dłużej, że do nowych odcinków, poza telewizorem lub komputerem, potrzebować będą również kartki i długopisu. Nie ma w tym cienia przesady. Już poprzednie sezony wymagały posilkowania się tworzonymi przez fanów schematami rodzinnych i uczuciowych więzi między bohaterami, a rozróżnianie (bądź przeciwnie – skojarzenie ich ze sobą) utrudnione było przez funkcjonowanie wielu postaci w początkowo trzech, a później nawet pięciu planach czasowych. Większość głównych bohaterów odgrywana jest więc przez trójkę aktorów w różnym wieku. Trzeba oddać twórcom serialu, że w większości przypadków faktycznie bardzo do siebie podobnych.

I tak od razu rzucamy się na głęboką wodę, a przecież na brzegu mogli zostać widzowie, których fenomen „Dark” całkowicie ominął. Każde streszczenie bę-



Trzeci sezon głośnego niemieckiego „Dark” wywołał sprzeczne emocje wśród recenzentów i komentatorów. Jedni entuzjastycznie okrzyknęli niemiecką produkcję najlepszym serialem ostatnich lat. Inni trochę się na twórców obrazili, wyłapując powtórzenia, przekombinowanie i brak odpowiedzi na wiele pytań, które finałowe odcinki powinny przynieść. Paradoksalnie, rację mają obie strony.

dzie odkrywać zbyt wiele, lub przeciwnie – fałszować obraz w oparciu o mylące tropy, podrzucane nam na różnych etapach historii. Ograniczę się więc do najprostszego opisu.

W małym niemieckim miasteczku Winden w krótkim odstępie czasu dochodzi do zaginięcia dwóch chłopców. Niektórym mieszkańcom przypomina to podobne zdarzenie sprzed 33 lat, a coraz więcej tropów wskazuje na to, że sprawy się łączą. Stopniowo dowiadujemy się, że oprócz zwykłych sekretów małego miasta, mieszkańcom towarzyszą zjawiska bardziej tajemnicze. Przez ukrytą w pobliskim lesie grotę można podróżować w czasie, co sprawia, że coraz więcej przydarza się tajemniczych zaginięć i zaskakujących sytuacji, które coraz bardziej komplikują życie głównych bohaterów i akcję. Ta poczyna sobie coraz śmielej w kolejnych planach czasowych, w których spotykamy znane już osoby – starsze, młodsze, odmienione...

Za wszystkie te zakłócenia w zwykłym świecie zdaje się odpowiadać utrzymująca miasto przy życiu, lecz przeznaczona do zamknięcia elektrownia atomowa. Ukrywane przed światem awarie prowadzą w końcu do apokalipsy, jednak sam koniec drugiego sezonu przynosi informację, że obok znanego bohaterom świata istnieje również drugi. W pierwszym kluczową postacią jest podróżujący w czasie Jonas Kahnwald, w drugim – jego wieczna i nieszczęśliwa miłość Martha Nielsen. W momencie, gdy serial pojawił się na Netflixie, często porównywano go z innym wielkim hitem tego portalu „Stranger Things”, jednak „Dark” bardzo szybko wybił się na samodzielność.

► W gmatwaniu wątków

Specyfika i siła „Dark” tkwią w kilku mocnych punktach: bardzo dbałym o szczegóły i klimatycz-

nym oddaniu realiów poszczególnych epok, odczuwalnej sympatii do bohaterów i ich całkowitej, aż zaskakującej... normalności, wreszcie rzuceniem wyzwania intelektualnego poprzez zanurzenie serii w wielu nurtach filozofii, w tym, co nie jest przecież oczywiste w XXI wieku, etyce protestanckiej. W trzecim sezonie znajdziemy nawet dramatyczny epizod z wyraźnie antyaborcyjną wymową. Wielkie wrażenie robią rozpisane na całe dziesięciolecia dramatyczne, fatalne relacje między poszczególnymi bohaterami, nie tylko Jonasem i Marthą, lecz także ojcem Marthy, Ulrichem Nielsenem, a policjantem Egonem Tiedemannem, jego żoną Katheriną a jej matką czy te rozgrywane się między małżeństwem Nielsenów a matką Jonas a kochanką Ulricha – Hannah, Katherine i wreszcie ich koleżanką sprzed lat – Reginą. I wiele, wiele innych. Tak, zdecydowanie potrzeba kartki i długopisu. Dla polskiego widza dodatkowym walorem mogą być plenery i architektura. Serial powstawał na przedmieściach Berlina i w jego okolicach, co sprawia, że wszystko wygląda bardzo znajomo. „Dark” równie dobrze mógłby być nakręcony w Puszczy Kampinoskiej i, dajmy na to, Zalesiu Dolnym.

Trzeci sezon, z góry planowany jako ostatni, miał podomykać wątki i odpowiedzieć na pytania. O ile to pierwsze się udało, z tym drugim jest niestety gorzej. Niektóre rozwiązania zdają się wymykać logice dwóch, a finalnie nawet trzech światów. Marth i Jonasów jest w pewnym momencie zwyczajnie za dużo, a łatwe ich zabijanie też nie znajduje prostego uzasadnienia. Niektóre sprawy są nam tłumaczone z wykorzystaniem już nie tylko filozofii i klasyki literatury, lecz także fizyki i chemii. Tu wszystko jest na swój sposób jasne: próby zbyt ingerencji w świat i przeznaczenie, próby stworzenia raju na ziemi skazują nas na piekło, nawet jeśli tworzymy je sami. Każda próba zmiany prowadzi do nieszczęścia, w efekcie zaś powtórzenia tego, czego chcemy uniknąć. Chyba najbardziej poruszająco ukazuje to scena, gdy Jonas w drugim sezonie cofa się do dnia samobójstwa swojego ojca, od którego zaczyna się cały serial. Syn rozpoczyna rozmowę, która zamiast odwieść Michaela Kahnwalda do nieplanowanego wcześniej drastycznego kroku, skłania go do niego. Chociaż w „Dark” znajdziemy mnóstwo filozofii antycznej, pogańskiej, nietzscheańskiej, wszystko współgra z tak istotną w etyce protestanckiej wiarą w predestynację. „Czy wierzysz w przeznaczenie?” – to jedno z częściej padających na ekranie pytań.

Część akcji ostatniego sezonu rozgrywa się w świecie Ewy (w kontrolę do świata Adama), który poznajemy jednak słabiej. To na pozór lustrzane odbicie świata, w którym dorastał Jonas, tyle że bez je-

go samego i z kilkoma drobnymi przesunięciami. Świat ten jest ciemniejszy, zamglony, w nieokreślony sposób obcy i nieprzyjemny, choć nie ma to żadnego uzasadnienia ani wyjaśnienia. Tak jakby twórcom zabrakło tej ważnej wcześniej sympatii i empatii dla bohaterów. Jeszcze wyraźniej widać to w postaci występującego zawsze w trzech osobach w różnym wieku syna Jonas i Marthy, odpychającego (czemu?) zbiera od brudnej roboty o urodzie esesmana, który (znow – czemu właściwie?) nie ma imienia. Cały jego udział jest chyba najslabiej wyjaśnionym punktem sezonu, choć to walka o jego życie ma być motorem działań samej Ewy. Jego rola, kluczowa dla całej opowieści, na ekranie zostaje tylko zasugerowana. Czy po to, byśmy odkryli to sami?

► Otwarte zakończenie zamkniętej całości?

Tak jak życia bohaterów „Dark” odtwarzają się w pętli, tak i sam serial wymaga od widza takiego sposobu oglądania. Jeśli skończy się całość, ma się ochotę wrócić do początku, czując się pewniej i będąc uzbrojonym w znajomość wszystkich odcinków. Tylko że „to, co wiemy, jest kroplą, to, czego nie wiemy, jest oceanem”, jak za Newtonem powtarzają kilkukrotnie bohaterowie. Powtórki generują kolejne pytania, a im więcej jesteśmy w stanie powiedzieć o życiu bohaterów, tym więcej odsłania się przed nami rejonów niezbadanych, tym bardziej zastanawiać będziemy się, czy czegoś jeszcze nie przegapiliśmy. Sam na pewno przeoczyłem w tym tekście mnóstwo ważnych spraw – taka uroda tego tematu. W internecie znajdziemy niezliczoną ilość analiz, wyjaśnień i wątpliwości, uzupełniających vlogi, podcasty i dyskusje na temat tego dzieła. Samo to jest pewnym fenomenem i pokazuje, że już dawno żadna telewizyjna produkcja tak bardzo nie pobudzała do myślenia. Kto wciągnął się w ten świat, w internecie szukać może swojej nici Ariadny.

Zakończenie, którego nie zdradzę, zaczyna rysować się dopiero w ostatnich, prowadzonych w szaleńczym tempie odcinkach. Wszystkie poszukiwania Adama i Ewy okazują się oparte na fałszywych przesłankach, a służący do tej pory jako podwykonawca zegarmistrz okazuje się postacią o wiele istotniejszą. Wszystko zamyka się na dobre, choć ostatnia scena każe zastanawiać się, czy na pewno. Otwarte zakończenie zamkniętej całości? Jednak nie, bo twórcy serialu Baran bo Odar i Jantje Friese pracują już nad nowymi projektami. Może jednak kiedyś się skuszą, bo choćby niedopowiedziana historia przemiany Jonas w Adama i Marthy w Ewę czy historia świata tej drugiej – to materiał na kolejne kilkusezonowe spin-offy. Widz, jak bohaterowie, tak łatwo ze świata „Dark” już nie wyjdzie. ■



Marek Kalinowski

Pożegnanie mistrza

W wieku 94 lat zmarł wybitny dyrygent i kompozytor Jan Krenz. Zostawił po sobie ogromną spuściznę niezapomnianych nagrań, której fragmenty możemy wysłuchać na przygotowanym przez Polskie Radio dwupłytowym wydawnictwie, otwierającym serię „Diamentowe batuty”.

Dobrze się stało, że serię wydawniczą „Diamentowe batuty”, poświęconą najwybitniejszym polskim dyrygentom, laureatom nagrody Polskiego Radia, rozpoczął właśnie wykonania Jana Krenza. Los sprawił bowiem, że ukazały się dwa miesiące przed śmiercią tego wybitnego dyrygenta i kompozytora, honorując jego niezwykłą drogę artystyczną. Ogrom nagrań, które po sobie zostawił, musiał zaś przysporzyć nie lada kłopotów pomysłodawcom cyklu. Jak dokonać selekcji spośród tylu wartościowych wykonania i wybrać zaledwie kilka utworów, które zmieszczą się na dwupłytowym wydawnictwie?

Jan Krenz zwykł mawiać, że dyrygent powinien mieć możliwie jak najszerszy repertuar. Powinien być otwarty na różne epoki i ciekawy nowych partytur. Tę wszechstronność zainteresowań udało się na albumie pokazać, jest Koncert e-moll Chopina i zarejestrowany w 1968 roku I Koncert fortepianowy d-moll op.15 Johanna Brahmsa, z Witoldem Małcużyńskim przy fortepianie. Jest nawet Symfonia „Pożegnana” Josepha Haydna, mistrz rzadko już sięgał po wcześniejsze dzieła.

„Diamentowe Batuty” premiuje utwory z udziałem WOSPR, której Krenz był wieloletnim dyrektorem. Trzeba jednak pamiętać, że maestro ma na koncie występy z wieloma znakomitymi, także zagranicznymi zespołami. Współpracował z orkiestrami w Kopenhadze, Tokio i Amsterdamie, przez trzy lata pełnił funkcję Generalmusikdirektor miasta Bonn, a także dyrygował Berlińskimi Filharmonikami!

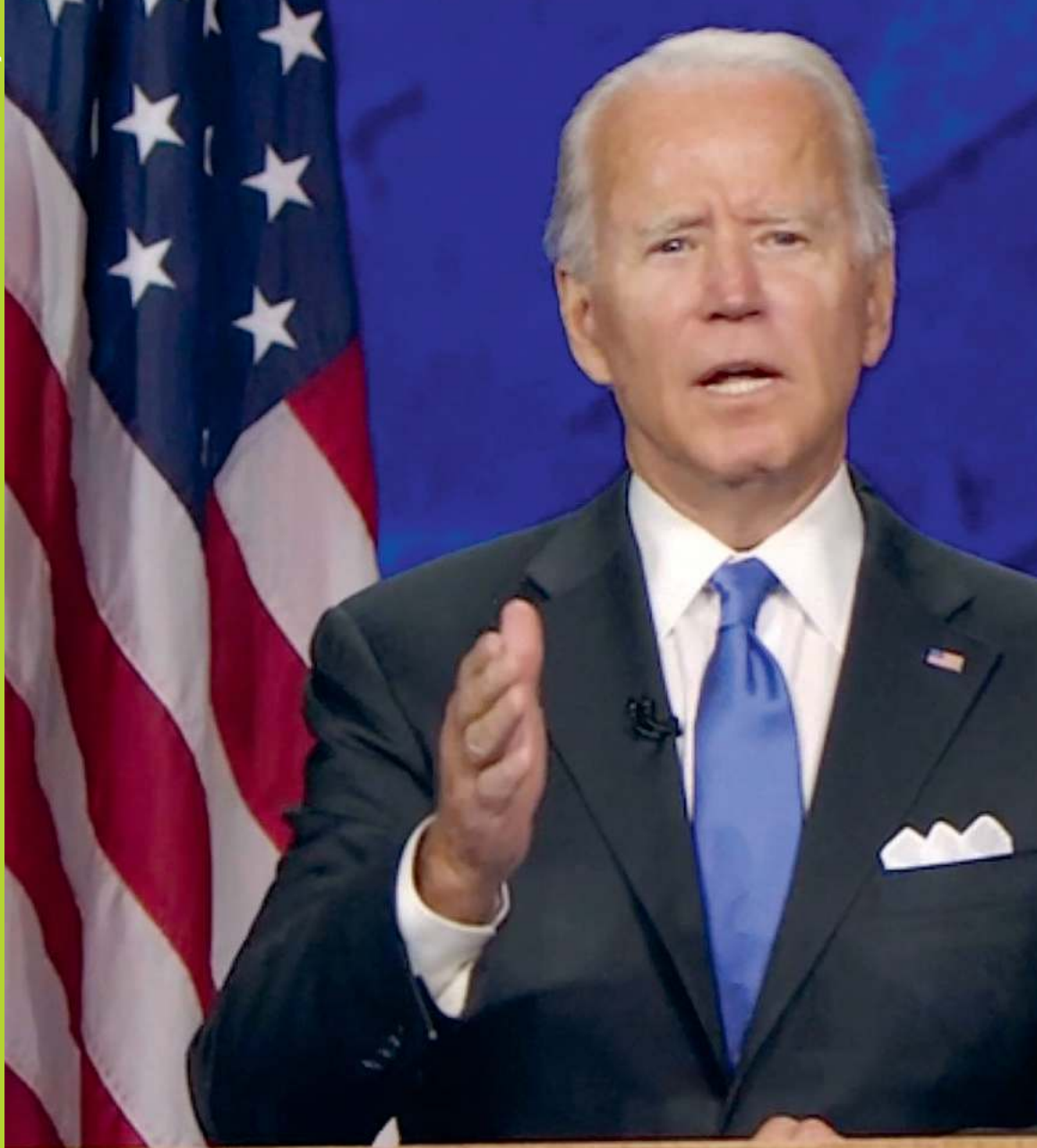
Niektórych utworów, jak „I Koncertu fortepianowego e-moll Fryderyka Chopina”, słucha się z już z naukową ciekawością. Są to wykonania historyczne dzieł, których nikt dzisiaj w ten sposób już nie gra, na dodatek, z postępami technicznymi, współczesne rejestracje brzmią też zupełnie inaczej. Nagranie koncertu z 1960 roku, w którym solistą jest legendarny pianista Artur Schnabel, z pewnością jednak nie mogło nie znaleźć miejsca na płycie.

Musimy też pamiętać, że w centrum zainteresowań Jana Krenza zawsze było komponowanie, choć zazwyczaj obowiązki dyrygenckie nie pozwalały mu przeznaczyć tyle czasu na pisanie, ile by sobie tego życzył. Maestro jest autorem muzyki do filmów Andrzeja Wajdy („Kanał”, „Popiół i Diament”), a także Andrzeja Munka („Zezowate Szczęście”, „Eroica”). W latach 80., kiedy rezerwował sobie letnie miesiące wyłącznie na twórczość kompozytorską, powstały też jego „Maski”, „Musica da camera” czy „Symfonia nr 2”. Działalność dyrygencka i kompozytorska zawsze sil-

nie na siebie oddziaływały. Z jednej strony jego wskazówki dla muzyków były perfekcyjnie czytelną, z drugiej – świetnie odczytywał intencje młodych, współczesnych kompozytorów, wyciągając z utworów często ukrytą melodię. Nie bez powodu sercem albumu „Diamentowe Batuty” pozostaje więc premierowe wykonanie „Livre pour orchestre” Witolda Lutosławskiego z 1969 roku, które tak bardzo oczarowało publiczność Warszawskiej Jesieni. Z warszawskim festiwalem muzyki współczesnej Jan Krenz był przez lata bardzo związany, sam był też jednym z jego inicjatorów. ■



JAN KRENZ. DIAMENTOWE BATUTY, Polskie Radio



W ostatnich tygodniach Joe Biden, kandydat Demokratów na prezydenta USA, przyjął ostrzejsze stanowisko wobec Chin. Jednak patrząc na relacje Bidena i jego rodziny z ChRL, nietrudno przyznać Donaldowi Trumpowi rację, gdy mówi, że jego rywal w wyborach prezydenckich jest zakładnikiem Pekinu i że jeśli zostanie wybrany, powróci do miękkiej polityki wobec KPCh z czasów Obamy.

Hanna Shen



CHIŃSKI JOE

FOT. DMOCHRA/EPRA

Podczas prawyborów prezydenckich Partii Demokratycznej Joe Biden nazwał prezydenta Chin Xi Jinpinga „bandytą”, ponieważ umieścił on „million Ujgurów” w obozach koncentracyjnych. Biden obiecał także „zakazać firmom amerykańskim współdziałać w represjach, wspierania policyjnego państwa Komunistycznej Partii Chin” oraz „nałożyć szybkie sankcje gospodarcze” na ChRL po tym, jak Pekin narzucił nowe prawo bezpieczeństwa narodowego Hongkongowi. Kandydat Demokratów był także jednym z pierwszych polityków amerykańskich, którzy pogratulowali prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen z okazji jej ponownego wyboru i inauguracji w tym roku.

► Dlaczego Biden zmienił zdanie

To duża zmiana w nastawieniu Joe Bidena do komunistycznych Chin, bo jeszcze niedawno negował on jakiegokolwiek zagrożenie ze strony ChRL. Na jednym z wieców wyborczych w połowie 2019 roku mówił: „Chiny nas pokonają? Na Boga, ludzie... Oni nawet nie mogą wykombinować, jak sobie poradzić z tym, że mają ten wielki podział między Morzem Chińskim a górami na wschodzie, tzn. na zachodzie. Nie mogą wykombinować, jak sobie poradzić z korupcją istniejącą w ich systemie. To znaczy, rozumiecie, to nie są źli ludzie. Ale wiecie, oni nie są, nie są konkurencją dla nas”.

Transformacja Joe Bidena w temacie Chin wynika z tego, że teraz, gdy wiadomo już, że Chiny są odpowiedzialne za rozprzestrzenienie się wirusa COVID-19 na cały świat¹, jakimkolwiek politykowi w USA trudno byłoby wygrać wybory, bagatelizując zagrożenie ze strony komunistycznego reżimu.

Opublikowane w lipcu bieżącego roku badanie amerykańskiego ośrodka badawczego Pew Research Center pokazało, że 73 proc. ankietowanych w USA źle ocenia Chiny. Liczba ta stanowi ogromny, 26-punktowy wzrost w porównaniu z rokiem 2018. Jest to najbardziej negatywny wynik, jaki Pew Research Center odnotował w ciągu 15 lat pomiarów w tym temacie. Ta sama anketa

wskazuje też, że 78 proc. Amerykanów za rozprzestrzenianie się COVID-19 na cały świat wini chińskie podejście na początku rozwoju wirusa w Wuhan.

Dziś na potrzeby wyborów Joe Biden mówi innym językiem o Chinach, ale związki jego i jego rodziny z Pekinem jasno pokazują, że jest kandydatem, którego wybór jest w interesie Komunistycznej Partii Chin (KPCh) i partia już wcale tego nie kryje.

► Chińskie media za Bidenem

6 września na stronie internetowej China Global Television Network (CGTN), tuby propagandy KPCh, ukazał się artykuł pt. „Miejsce Chin za prezydencji Bidena”, który przekonuje, że „wizja świata Bidena odpowiada dążeniom Pekinu do globalnej współpracy i stwarza nowe możliwości dla osiągnięcia zbieżności w polityce zagranicznej”. Artykuł podkreśla także, że Biden nie będzie tak konfrontacyjny jak obecny prezydent USA i że „nie podziela on entuzjazmu Donalda Trumpa w sprawie totalnej wojny handlowej z Pekinem”. Publikacja zakłada również, że kandydat Demokratów jest zainteresowany „pogodzeniem” USA z Komunistyczną Partią Chin i dlatego „nic nie powinno go powstrzymać przed przystąpieniem do stołu negocjacyjnego”.

To medialne poparcie KPCh dla Bidena wyrażane w chińskich mediach potwierdza tylko to, co opisano w wydanym w sierpniu bieżącego roku raporcie Krajowego Centrum Bezpieczeństwa Cybernetycznego (NCSC). Ten dokument amerykańskiej agencji ds. cyberbezpieczeństwa stwierdza, że komunistyczny rząd Chin woli, aby prezydent Donald Trump nie został ponownie wybrany. „Przed listopadem 2020 roku Chiny zwiększają swoje wpływy, aby kształtować środowisko polityczne w Stanach Zjednoczonych, wywierać presję na osobistości polityczne, które postrzegają jako prze-ciwne ich interesom” – czytamy w raporcie NCSC.

► Rodzinne interesy z komunistami

Prezydent Trump ma rację, gdy mówi, że były wiceprezydent jest zakładnikiem Pekinu, bo rodzina Bidenów od dawna była biznesowo powiązana z KPCh.

W książce „Profiles in Corruption: Abuse of Power by America's Progressive Elite” Peter Schweizer, autor innej głośnej pozycji „Clinton Cash”, ujawnił, że syn kandydata Demokratów, Hunter Biden, prowadzi interesy z chińskim biznesem kontrolowanym przez KPCh, a Bidenowie utrzymywali bardzo bliskie relacje z członkami chińskiej komunistycznej elity. W 2013 roku Hunter Biden podpisał wartą wiele miliardów dolarów umowę z Bank of China, jedną z głównych państwowych instytucji finansowych w ChRL. Umowa mówiła o utworzeniu przez Bank of China i Rosemont Seneca

¹Wirus w Chinach był już na pewno w listopadzie ub.r., lecz Pekin zaczął poważnie działać w sprawie koronawirusa dopiero pod koniec stycznia. Badanie naukowców z brytyjskiego University of Southampton, opisujące, jaki wpływ na ograniczenie epidemii miały niefarmakologiczne metody, w tym m.in. izolacja chorych, ograniczenia w podróży czy kordony sanitarne w Chinach, mówi, że gdyby ChRL wprowadziła podobne metody tydzień wcześniej, to byłoby o 66 proc. mniej przypadków zachorowań. Reakcja 2 tygodnie wcześniej oznaczać mogła aż 86 proc. mniej przypadków, a 3 tygodnie – 95 proc. mniej chorych na COVID-19. W prostej linii oznacza to, że nie mielibyśmy pandemii o światowym zasięgu.

Partners – firmę inwestycyjną założoną przez Huntera Bidena i Chrisa Heinza (pasierba byłego sekretarza stanu Johna Kerry'ego) – prywatnego funduszu kapitałowego Bohai Harvest RST (BHR), który miał inwestować chińskie pieniądze za granicą.

Ciekawy był moment, kiedy doszło do zawarcia dealu. Było to zaledwie 10 dni po tym, jak Hunter Biden odwiedził Chiny wraz ze swoim ojcem na pokładzie Air Force Two. Oficjalnie ówczesny wiceprezydent Joe Biden odwiedzał Państwo Środka w obliczu eskalacji napięć na wyspach na Morzu Południowochińskim. Schweizer twierdzi, że Chińczycy postawili na Huntera Bidena jako na swojego partnera biznesowego tylko ze względu na to, kim był jego ojciec: „wiceprezydentem USA” i „osobą kształtującą politykę Stanów Zjednoczonych wobec Chin” w administracji ówczesnego prezydenta Baracka Obamy.

o książkę Schweizera i z nim w roli narratora, pokazuje, że relacje biznesowe Huntera Bidena w Chinach służyły „strategicznym interesom” KPCh oraz Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChLW) i mogły stanowić zagrożenie dla amerykańskiego bezpieczeństwa narodowego.

Wśród transakcji omawianych w filmie jest ta z 2015 roku dotycząca utworzenia spółki joint venture między BHR i AVIC Auto – spółką zależną państwowego Aviation Industry Corporation of China (AVIC), która produkuje samoloty dla chińskiego wojska – w celu zakupienia amerykańskiego producenta części samochodowych Henniges Automotive, który także współpracował z armią USA.

Kiedy po raz pierwszy ogłoszono możliwość tej transakcji, w niektórych sektorach przemysłu obronowego w USA zawrzało. Przypominano, że AVIC był

6 WRZEŚNIA NA STRONIE INTERNETOWEJ CHINA GLOBAL TELEVISION NETWORK, TUBY PROPAGANDY KPCH, UKAZAŁ SIĘ ARTYKUŁ, KTÓRY PRZEKONUJE, ŻE „WIZJA ŚWIATA BIDENA ODPOWIADA DAŻENIOM PEKINU DO GLOBALNEJ WSPÓŁPRACY I STWARZA NOWE MOŻLIWOŚCI DLA OSIĄGNIĘCIA ZBIEŻNOŚCI W POLITYCE ZAGRANICZNEJ”.

Występując na tegorocznej konwencji Partii Republikańskiej była prokurator generalna Florydy Pam Bondi tak odniosła się do tej wyprawy Bidenów do Chin: „Joe Biden polecał do Chin Air Force 2 razem z Hunterem. Powiedzieli, że był tam tylko jako członek rodziny, ale wiemy, że to nieprawda. W Pekinie Hunter nie tylko zwiedzał. Spotykał się ze swoimi chińskimi partnerami bankowymi. Hunter nawet zaaranżował spotkanie swojego taty z jednym z partnerów. Dziesięć dni później ci chińscy bankierzy komunistyczni zgodzili się, by miliony trafiły do firmy Huntera, a owi bankierzy pracują dla Komunistycznej Partii Chin, która gnębi swój naród, oszukiwała amerykańskich pracowników przez dziesięciolecia i ukrywała śmiertelnego wirusa. Do dziś Hunter kontroluje 10 proc. udziałów w tej firmie”.

Od momentu powstania, BHR intensywnie inwestuje w projekty energetyczne i obronne na całym świecie.

► Biznesów ciąg dalszy

Zaprezentowany kilka tygodni temu film dokumentalnym pt. „Riding the Dragon: The Bidens' Chinese Secrets”, który powstał częściowo w oparciu

„prawdopodobnie zaangażowany w kradzież wrażliwych danych dotyczących amerykańskiego programu wielozadaniowego samolotu bojowego Joint Strike Fighter. AVIC miał włączyć skradzione know-how do chińskich myśliwców Chengdu J-20 i Shenyang FC-31.

Ostatecznie sprzedaż firmy Henniges została zatwierdzona przez administrację Obamy i jej Komitet ds. Inwestycji Zagranicznych w Stanach Zjednoczonych (CFIUS) 15 miesięcy po tym, jak USA publicznie dodały jedną ze spółek zależnych AVIC do czarnej listy Departamentu Handlu i kilka miesięcy przed wznowieniem przez administrację Obamy patroli na Morzu Południowochińskim z powodu wzmożonej agresji militarnej Pekinu w regionie, w której brały udział wojskowe samoloty AVIC.

Inny deal opisany w filmie to inwestycja BHR z 2014 roku w China General Nuclear Power Corporation (CGN). Gdy w grudniu 2016 roku FBI zatrzymało konsultanta CGN, chińskiego inżyniera Szuhsiunga „Allena” Ho, okazało się, że CGN jest zamieszczone w kradzież bardzo wrażliwej amerykańskiej technologii jądrowej i dostarczenie jej Komunistycznej Partii Chin.

Ho, naturalizowany obywatel amerykański, był odpowiedzialny za rekrutację sześciu inżynierów jądrowych, którzy przekazywali informacje do CGN przez samego Ho, a czasami bezpośrednio do CGN podczas podróży do Chin. W 2017 roku chiński inżynier przyznał się do winy i został skazany na dwa lata więzienia.

W filmie Schweizer opowiada również, jak Patrick Ho Chi-ping, dyrektor CEFC China Energy, został zatrzymany przez FBI w 2017 roku za przekupywanie urzędników w Afryce. Jednym z pierwszych telefonów, jaki Ho wykonał po zatrzymaniu, był ten do Jamesa Bidena, brata Joe Bidena. Zapytany o to przez „The New York Times” James Biden tłumaczył, że Ho próbował skontaktować się z Hunterem Bidenem i że podał mu dane kontaktowe do swojego siostrzeńca. Trudno nie zadać pytania, dlaczego Chińczyk pracujący dla komunistycznych władz w obliczu demaskacji próbował szukać pomocy u rodziny Bidenów?

W 2016 roku BHR dokonał kolejnej inwestycji wspólnie z chińską spółką państwową, China Molybdenum, która skupuje molibden i inne minerały ziem rzadkich, mające zastosowania wojskowe i jądrowe. Kooperacja przebiegała tu w następujący sposób: najpierw China Molybdenum ogłosiła, że kupuje ponad połowę kopalni miedzi Tenke Fungurume w Demokratycznej Republice Konga za 2,6 mld dolarów, a kilka miesięcy później BHR poinformował, że kupi kolejne 24 proc. udziałów w kopalni za 1,5 mld dolarów. Kopalnia dostarcza metale kluczowe dla transportu, komunikacji, budownictwa, komputerów, przemysłu medycznego i nowych technologii.

Schweizer zauważa, że umowa BHR z China Molybdenum pojawiła się po tym, jak w następstwie skarg ze strony USA, Unii Europejskiej i Japonii Światowa Organizacja Handlu orzekła przeciwko chińskim ograniczeniom eksportu minerałów „ziem rzadkich” – w tym molibdenu.

► Hojne „anonimowe” darowizny

19 września bieżącego roku amerykański portal The National Pulse ujawnił, że kandydat Demokratów na prezydenta otrzymał tysiące dolarów od pracowników chińskich firm kontrolowanych przez KPCh i ChLW. Sumy od kilkuset po kilka tysięcy dolarów są wsparciem dla kampanii Bidena. I tak na przykład mieszkańiec Pensylwanii Liu Jun, pracownik China Orient, przekazał na kampanię 750 dolarów. China Orient jest państwową spółką zarządzającą aktywami i bankiem handlowym, którego misją jest „realizacja wymagań rządu centralnego i ustaleń

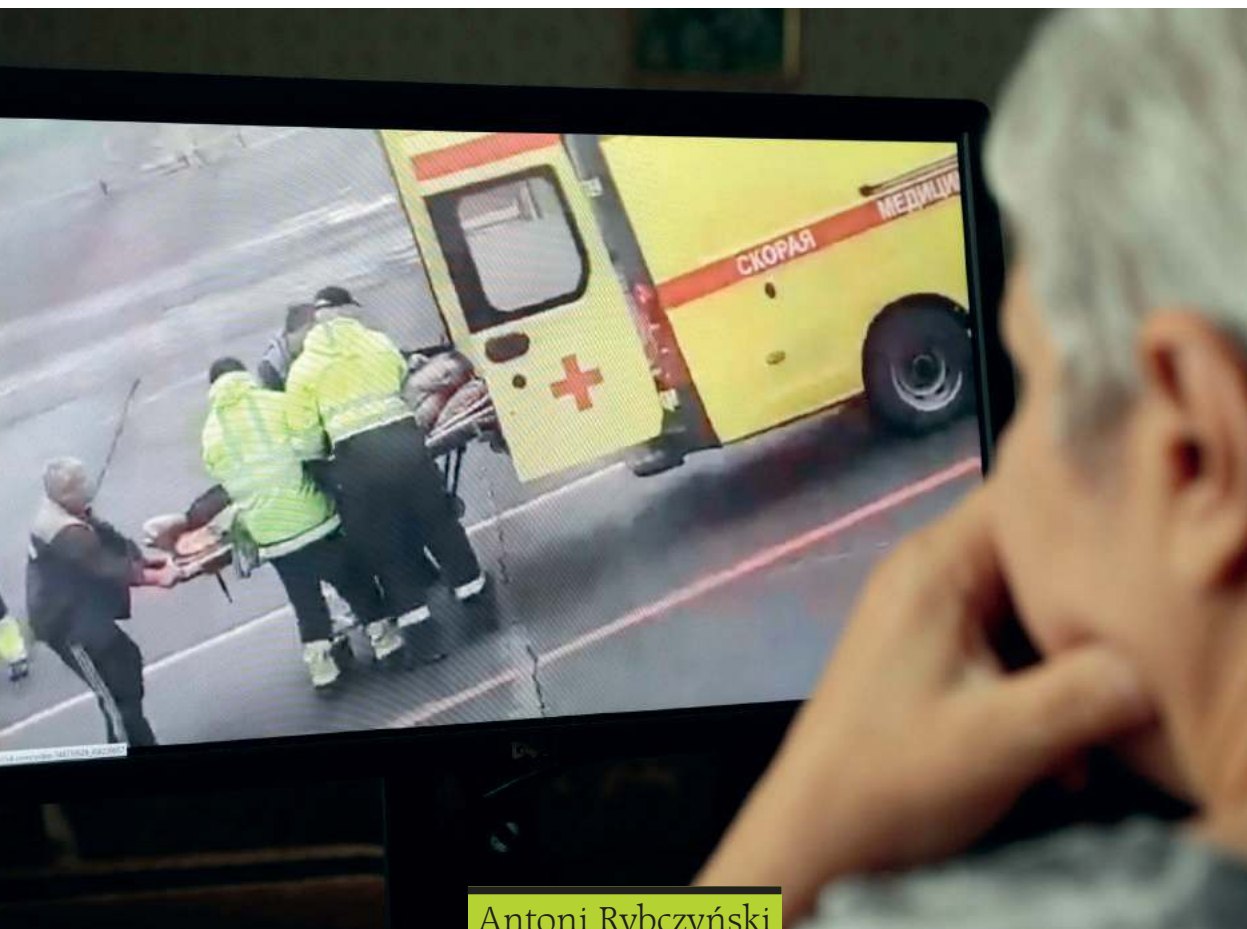
dokonanych przez wyższe władze”. Wśród darczyńców Bidena są też pracownicy takich firm jak: China Oilfield Services Limited (COSL) należąca do państwowego przedsiębiorstwa China National Offshore Oil Corporation (CNOOC); Tencent², posiadacz komunikatora WeChat, decyzją administracji Trumpa zakazany do pobierania w USA; ByteDance³, właściciel TikToka.

Ale nie są to jedyne pieniądze, jakie w ostatnim czasie Chińczycy zainwestowali bezpośrednio w Joe Bidena. Otwarte w 2018 roku na Uniwersytecie Pensylwanii Centrum Bidena otrzymało 70 mln dolarów od chińskich darczyńców, z tego 22 mln to anonimowe darowizny. Sprawa zrobiła się głośna, bo prawo federalne wymaga ujawnienia źródeł darowizn, jeśli przekraczają one 250 tys. dolarów. W maju bieżącego roku Krajowe Centrum Prawa i Polityki (NLPC), organizacja non-profit działająca w interesie publicznym, złożyło skargę do Departamentu Edukacji, prosząc o przeprowadzenie pełnego dochodzenia w sprawie nieujawnienia przez Uniwersytet Pensylwanii źródła milionów dolarów darowizn z Chin. W skardze zauważono, że Centrum Bidena współfinansowało sympozjum badawcze Penn China 2020, które odbyło się 31 stycznia 2020 roku. Wystąpił na nim Huang Ping, konsul generalny Chińskiej Republiki Ludowej w Nowym Jorku. NLPC podkreśla, że sympozjum odbywało się, gdy Chiny nadal ukrywały prawdę o koronawirusie.

W wywiadzie dla „Gazety Polskiej Codziennie” („Trump mocno popiera Duda”, nr 2687, 18.07.2020) Cao Changqing, chiński dysydent od lat mieszkający w USA, wskazując na bliskie relacje Bidena z KPCh i fakt, że jest on zwolennikiem polityki ustępstw wobec Chin i Rosji, mówi, że gdyby 3 listopada zwyciężąc wyborów prezydenckich w USA okazał się kandydat Demokratów, to „zaszkodzi to nie tylko Stanom Zjednoczonym, lecz wszystkim, ponieważ Stany Zjednoczone stoją na czele wolnego świata”.

²Szef Tencenta – Ma Huateng – ma ściśle powiązania z Komunistyczną Partią Chin (KPCh) i jest członkiem Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych (OZPL), czyli chińskiego parlamentu. Przed jednym ze zjazdów KPCh firma Tencent wypuściła na rynek grę o nazwie „Oklaski dla Xi Jinpinga” (prezydenta Chin), a Ma chwalił się w lokalnych mediach, że jego firma od 2003 roku promuje tworzenie komitetów partyjnych w Tencent i zachęca pracowników do wstępowania do KPCh.

³ByteDance współpracuje z chińską bezpieką i bierze udział w programie tzw. pomocy prowincji Xinjiang. W rzeczywistości pomoc ta oznacza budowę obozów koncentracyjnych i systemu inwigilacji Ujgurów w Xinjiangu.



Antoni Rybczyński

Truciciele z Rosji

Współczesna Rosja pod pewnymi względami niewiele różni się od swej bolszewickiej czy też carskiej wersji. Jednym ze wspólnych mianowników moskiewskiej państwowości różnych epok jest skrytobójstwo jako narzędzie uprawiania polityki, pozbywania się jednych wrogów Kremla i zastraszania innych.

Zgodnie z mongolską tradycją (pamiętajmy o ogromnym wpływie cywilizacyjnym, jaki Orda wywarła przez kilkadziesiąt lat na swych moskiewskich wasalów), jednym z narzędzi, po które najchętniej sięgano, by uciszyć niewygodnego przeciwnika, była trucizna. Dlaczego? Nie chodziło nawet o większe szanse na zapewnienie bezkarności zamachowcom. Kluczowe były (i są) podstęp i okrucieństwo.

► Fabryka trucizn

Trucizna była od początku rządów bolszewików ważnym instrumentem w polityce eksterminacji „wrogów ludu”. Szczególnie wtedy, gdy trzeba było kogoś usunąć po cichu lub bez zostawiania śladów. Pierwszym szefem powołanego w 1921 roku na polecenie Lenina Biura Specjalnego został profesor medycyny Ignatij Kazakow. Pracowano tam nad truciznami i bronią bakteriologiczną. Początkowo laboratorium działało niedaleko moskiewskiego więzienia Butyrki i w podstołecznej miejscowości Kuczino. W produkcję trucizn zaangażowali się najlepsi naukowcy z Instytutu Biochemii moskiewskiego Uniwersytetu Medycznego. Produktów „fabryki trucizn” agenci sowieccy używali chętnie poza granicami kraju. Podległa bezpośrednio szefowi NKWD „grupa Jasz” była elitarnym oddziałem zabójców kierowanym przez Jakowa Sieriebrianskiego. Wśród ich ofiar byli m.in. Ignacy Reiss i Lew Siedow. Reiss był agentem „nielegalnym” sowieckiego wywiadu w Europie, ale przeszedł na stronę Lwa Trockiego. Wydano więc rozkaz zamordowania nie tylko Reissa, lecz także jego najbliższych ukrywających się w Szwajcarii. Agentka Gertrude Schildbach we wrześniu 1937 roku miała poczęstować żonę i dziecko Reissa czekoladkami zatrutymi strychniną. W ostatniej chwili zrezygnowała. Zrehabilitowała się, wywabiając potem Reissa do restauracji, skąd porwali go i zamordowali agenci sowieccy. Lew Siedow był synem Trockiego i z Paryża angażował się w działalność ruchu trockistowskiego w Europie. W lutym 1938 roku doznał ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego. Jego przyjaciel, Marc Zborowski (agent sowiecki), przekonał syna Trockiego, żeby nie szedł do państwowego szpitala, gdzie mogło go namierzyć NKWD, lecz do prywatnej kliniki prowadzonej przez rosyjskich emigrantów. Siedow przeszedł tam rutynowy zabieg chirurgiczny i przez następne kilka dni szybko wracał do zdrowia. Wtedy jego stan gwałtownie się pogorszył. Lekarze próbowali ratować pacjenta serią transfuzji krwi. Nie pomogło – 32-latek zmarł w strasznych bólach. Nigdy nie ustalono, co było powodem śmierci.

Drugim, obok skuteczności oddziaływania na organizm ofiary, najważniejszym kryterium przy pracach nad pozyskaniem trucizn miało być jak najmniejsze prawdopodobieństwo ich wykrycia. Idealnie, do którego dążono, był środek bez zapachu i smaku, znikający z ciała ofiary bez śladu niemal natychmiast po tym, jak położy ją trupem. Specjalnością laboratorium było łączenie różnych znanych toksyn w nowe i trudne do wykrycia formy. Używano toksycznych gazów, trucizn wchłanianych przez skórę oraz oddziałujących na układ nerwowy. Śmierć miała wyglądać na naturalną, a gdyby udało się określić, że to otrucie – celem było uniemożliwienie badającym określenia, czego dokładnie użyli zamachowcy. Jednym z największych osiągnięć „laboratorium śmierci” było opracowanie trucizny K-2, czyli karbinoalaminy chlorku cholinylu. K-2 zabijała w ciągu kwadransa – co potwierdziły testy prowadzone na więźniach. Na więźniach z Łubianki testowano co najmniej 15 różnych substancji trujących, m.in. zarówno mieszanek arsenu z talem oraz cyjanku potasu z sodem, jak i kolchicynę, digitoksynę, akonitynę, strychninę i kurarę (podobno najpotworniejsze męczarnie przed śmiercią wywoływała akonityna). Ważnym elementem testów było nie tylko sprawdzenie działania trucizny, lecz także znalezienie najlepszego sposobu jej aplikacji. „Serwowano” ją więc najczęściej więźniom z jedzeniem, dozując dawki i zmieniając skład posiłków. Innym sposobem podania trucizny było po prostu jej wstrzyknięcie ofierze – można się tylko domyślać, że chodziło o przetestowanie opcji podania komuś zabójczej substancji pod pozorem aplikacji lekarstwa. Eksperymentowano też z innymi, bardziej wymyślnymi sposobami. Choćby preparując specjalne, zatrute akonityną kule. Były tak skonstruowane, żeby rozerwać się wewnątrz ciała, uwalniając truciznę. Zgon następował w czasie od kwadransa do godziny, zależnie od miejsca trafienia.

Śmierć Stalina, późniejsze czystki – także w aparacie bezpieczeństwa – przyniosły likwidację „fabryki śmierci”. Nie oznaczało to jednak, że nowi władcy Związku Sowieckiego zrezygnowali z poszukiwania i produkcji wymyślnych trucizn. Już w marcu 1953 roku powołano do życia Laboratorium nr 12, w wewnętrznej korespondencji KGB określane jako Laboratorium X.

► Trawa złamanego serca

Śmierć Bandery i Markowa czy nieudany zamach na Chochłowa pokazują, że sowiecki wywiad sięgał po truciznę długo po śmierci Stalina. Gdy jednak zimna wojna się skończyła, mogło się wydawać, że to koniec zbrodniczych poczyną. Tak było, aż na Krem-

lu nie zasiadł wychowanek KGB, czekista z krwi i kości. W efekcie przez ostatnie blisko dwie dekady ofiarą trucieli padł niejeden krytyk Kremla, na celowniku były także osoby przez Putina uznane z jakichś powodów za niebezpieczne.

Sarin to bezbarwny i bezwonny płynny środek oddziałujący na układ nerwowy, który powoduje śmierć w wyniku uduszenia, ponieważ ofiary nie są w stanie kontrolować mięśni odpowiedzialnych za oddychanie. Trucizna jest najgroźniejsza, gdy wnika do organizmu przez drogi oddechowe. Ale też ciecz łatwo zamienia się w gaz, a stężenia oparów mogą również przenikać przez skórę. Sarin został sklasyfikowany przez ONZ jako broń masowego rażenia. W 2002 roku FSB ogłosiła, że jej agentom udało się zlikwidować Ibn al-Chattaba, Saudyjczyka walczącego po stronie czeczeńskich

stowe wywiezienie do kliniki w Wiedniu, a nie leczenie w ukraińskim szpitalu. Badania wykazały szokująco duże (drugie w historii zdiagnozowanych przypadków w światowej medycynie) stężenie TCDD w organizmie Juszczenki. Wyszedł z tego z życiem, choć z poważnym uszczerbkiem na zdrowiu – ten widoczny to głębokie zmiany na twarzy. Ale wybory ostatecznie wygrał i został prezydentem. Oficerowie SBU związani z otruciem zbiegli do Rosji.

Polon-210 to rzadka i wysoce radioaktywna substancja, którą można znaleźć w rudzie uranu. Jest 250 tys. razy bardziej toksyczna niż cyjanek potasu (!). Świat usłyszał o polonie-210, gdy w listopadzie 2006 roku w Londynie w męczarniach zmarł Aleksandr Litwinienko, były oficer KGB i FSB, zbiegły na Zachód. Litwinienko oskarżał ro-

IDEAŁEM, DO KTÓREGO DAŻONO W PRACACH NAD TRUCIZNAMI, BYŁ ŚRODEK BEZ ZAPACHU I SMAKU, ZNIKAJĄCY Z CIAŁA OFIARY BEZ ŚŁADU NIEMAL NATYCHMIAST PO TYM, JAK POŁOŻY JĄ TRUPEM.

rebeliantów. Towarzysz broni Szamila Basajewa został otruty – otworzył list pokryty trucizną, najprawdopodobniej sarinem. Pismo dostarczył do rąk własnych al-Chattaba Dagestańczyk, podwójny agent opłacany przez FSB.

Jurij Szczekoczichin był dziennikarzem śledczym i deputowanym walczącym z korupcją i wpływami zorganizowanej przestępczości w Rosji. Zmarł w lipcu 2003 roku, kilka dni przed spotkaniem ze śledczymi z FBI. Władze twierdziły, że Szczekoczichin zmarł na alergiczny синдром Lyella. Ale dokumentacji medycznej i wyników sekcji zwłok nigdy nie ujawniono. Objawy widoczne u mężczyzny przed śmiercią były podobne do symptomów otrucia środkiem radioaktywnym u Litwinienki i – kilka dekad wcześniej – Nikołaja Chochłowa, uciekiniera z KGB, który uszedł z życiem z otrucia talem.

TCDD, czyli tetrachlorodibenzodioksyna – określana krócej (nieprawidłowo) dioksyną – to bezbarwna, bezwonna substancja, stała w temperaturze pokojowej. Silnie rakotwórcza. Na jesieni 2004 roku startujący w wyborach prezydenckich na Ukrainie Wiktor Juszczenko został otruty podczas kolacji w dacy jednego z generałów SBU. Życie uratowało mu prawdopodobnie tylko natychmia-

syjskie służby o zamachy, które Putinowi pozwoliły umocnić się na Kremlu.

Rosnąca w Azji roślina *Gelsemium elegans* nieprzypadkiem nazywana jest „trawą złamanego serca”. Wyciąg z jej nasion dodany do jedzenia to trucizna używana przez rosyjskich i chińskich kilerów. Jedną z ich ofiar był Aleksandr Pieriepielicznyj, rosyjski bankowiec, który zbiegł do Wielkiej Brytanii w 2009 roku i pomagał w szwajcarskim śledztwie dotyczącym prania pieniędzy przez wysoko postawionych urzędników i funkcjonariuszy z Rosji. Dostarczył też dowodów przeciwko rosyjskim urzędnikom zamieszany w sprawę śmierci Siergieja Magnitskiego w moskiewskim więzieniu w 2009 roku. Na krótko przed tym, jak upadł i zmarł podczas joggingu koło domu w Surrey, 44-letni Pieriepielicznyj mówił znajomym, że dostaje groźby śmierci. To była czwarta osoba związana ze sprawą Magnitskiego, która zmarła w dziwnych okolicznościach. Mimo to początkowo brytyjska policja uznała, że w zgonie Rosjanina nie ma nic podejrzanego – ot, po prostu serce nie wytrzymało fizycznego wysiłku. Ale wznowiono śledztwo po tym, jak nowe testy wykryły w żołądku mężczyzny ślady mogące pochodzić tylko od wysoce toksycznej rośliny *Gelsemium*.

► Rodzina nowiczoka

20 sierpnia Aleksiej Nawalny poczuł się źle na pokładzie samolotu lecącego z Tomsku. Doszło do awaryjnego lądowania, a mężczyzna trafił do szpitala w Omsku w stanie śpiączki. Po dwóch dobach w syberyjskim szpitalu został przewieziony do renomowanej kliniki Charite w Berlinie. Niemieccy lekarze szybko ustalili i poinformowali, że to otrucie. 2 września rząd ogłosił, że to nowiczok. Później potwierdziły to laboratoria z dwóch innych krajów. Kiedy potwierdziło się, że Nawalnego otruto nowiczokiem, natychmiast zaczęto przypominać sprawę zamachu na Siergieja Skripała wiosną 2018 roku. Tymczasem wiele wskazuje na to, że nowiczoka użyto już wcześniej – celem był bułgarski producent i handlarz bronią Emilian Gebrew. W kwietniu 2015 roku Gebrew po kolacji biznesowej źle się poczuł i stracił przytomność. Podobne objawy zaobserwowano u jego syna. Udało się póź-

najsilniejsza na świecie broń chemiczna. Przy letniej aurze wystarczą dwa gramy tej substancji, żeby zabić pół tysiąca ludzi. To środek binarny – w stan gotowości bojowej jest wprowadzany bezpośrednio przed użyciem w wyniku wymieszania składników. Na pewno nie jest to broń łatwa ani bezpieczna w użyciu. Skutecznie mogą się nią posługiwać wyłącznie przeszkoleni fachowcy ze służb. Pierwszy raz nowiczok został przetestowany w Rosji. Celem ataku był szef zrzeszenia bankowców Iwan Kiwilidi. Zmarł bankier, zmarła jego sekretarka dzwoniąca na pogotowie z telefonu, którego słuchawkę zatruto, zmarł patolog, który podczas sekcji odkrył truciznę. To wydarzyło się w 1995 roku, a truciznę miał sprzedać pracownik laboratorium. Nowiczok w środowisku naturalnym ulega degradacji na dwa główne sposoby: hydrolizę i parowanie. Do otrucia Skripałów użyto A-234 mającego formę żelu. Nowiczok natychmiast wchodzi w reakcję z wodą i zależnie od

NOWICZOKI TO NAJSILNIEJSZA NA ŚWIECIE BROŃ CHEMICZNA. PRZY LETNIEJ AURZE WYSTARCZĄ DWA GRAMY TEJ SUBSTANCJI, ŻEBY ZABIĆ PÓŁ TYSIĄCA LUDZI. SKUTECZNIE MOGĄ SIĘ NIĄ POSŁUGIWAĆ WYŁĄCZNIE PRZESZKOŁENI FACHOWCY ZE SŁUŻB.

niej ustalić, że jeden z agentów GRU, podejrzany o zamach na życie Skripała, przyjechał do Bułgarii tuż przed otruciem Gebrewa. Na początku 2020 roku bułgarska prokuratura oskarżyła trzech agentów rosyjskich o próbę zabójstwa biznesmena. Eksperci znaleźli w organizmie Gebrewa ślady dwóch związków fosforoorganicznych, należących do bojowych środków trujących podlegających zniszczeniu zgodnie z Konwencją o zakazie broni chemicznej. Śledztwo jednak zawieszono – próbki, w których wykryto toksyczny środek bojowy, zniknęły z fińskiego laboratorium Verifin, gdzie je badano. Z tego powodu prokuratura była zmuszona po raz drugi zawiesić pod koniec sierpnia dochodzenie w sprawie próby otrucia Gebrewa, aby uniknąć jej przedawnienia.

Nowiczoki to nowa klasa binarnych fosforowo-fluoroorganicznych środków trujących o działaniu nerwowo-paralitycznym. Pierwszy doprowadził do ich syntezy w połowie lat 80. XX wieku Paweł Kirpiczew, a w całym programie („Foliant”) brało udział ponad 200 naukowców. Nowiczoki to

stopnia wilgotności powietrza ulega degradacji krócej lub dłużej. Co zresztą najprawdopodobniej uratowało życie Skripalom – gdy zamachowcy posmarowali klamkę drzwi wejściowych domu, w Salisbury była gęsta mgła.

Po otruciu Nawalnego Rosja powtarza, jak wcześniej po zamachu na Skripała, że nie posiada nowiczoka, że zniszczyła całe posiadane zapasy. Jesienią 2017 roku Rosja oficjalnie ogłosiła, że zakończyła proces niszczenia odziedziczonego po ZSRS arsenału broni chemicznej. Zweryfikować tego się nie da. Zresztą nigdy nawet nie było wiadomo, ile tak naprawdę tej sowieckiej broni Rosja odziedziczyła. Mówiło się o około 60 tysiącach ton. Najgroźniejsze były substancje z rodziny nowiczoków. Wiadomo, że istniały co najmniej cztery, a pierwsza została opracowana w 1972 roku. Później je tylko modyfikowano i krzyżowano. W 1988 roku nowiczok został oficjalnie przyjęty na uzbrojenie armii sowieckiej. W czerwcu 1990 roku Michaił Gorbaczow i George Bush podpisali umowę, zgodnie z którą ZSRS i USA kończyły produkcję nowej

broni chemicznej i przystąpić miały do zniszczenia jej zapasów. Tyle że Moskwa wcale nie zaprzestała prac. Jeszcze w 1991 roku – w ramach serii nowiczok – produkowano nowe wersje tej szczególnie groźnej substancji oddziałującej na układ nerwowy, 10 razy bardziej toksycznej niż gaz VX. W kwietniu 1991 roku szefowie projektu – dyrektor instytutu i dwaj jego kuratorzy z ramienia wojska – dostali od Gorbaczowa order Lenina za owocne prace nad pozyskaniem broni chemicznej. Zresztą Rosja ma wiele do ukrycia, także jeśli mowa o programie prac nad bronią biologiczną.

► Tajne laboratoria

Niedługo po aferze z otruciem Skripała Ukraina przekazała przedstawicielom NATO raport, z którego wynika, że Rosja prowadzi prace nad wirusami ebola i wirusami choroby marburskiej pod pozorem badań nad nowymi szczepionkami. Wiele wskazuje na to, że na terenie Rosji prowadzone są prace nad groźnymi dla zdrowia i życia ludzkiego środkami biologicznymi, patogenami, które mogą być wykorzystane jako broń biologiczna. Rosja od dawna nie wpuszcza międzynarodowych ekspertów do obiektów, w których jest podejrzenie, że takie prace prowadzono w czasach sowieckich. Obecny tajny program broni biologicznej w Rosji jest w dużej mierze kontynuacją programu sowieckiego. Już w latach 20. XX wieku Sowietnicy pracowali nad takimi patogenami jak na przykład tularemia czy tyfus. W latach 70. XX wieku Związek Sowiecki przystąpił do konwencji o broni biologicznej i zgodnie z nią powinien zlikwidować wszelkie posiadane zapasy broni biologicznej oraz zaprzestać prowadzenia prac nad taką bronią. Ale krótko potem, w 1973 roku, Sowietnicy powołali do życia oficjalnie cywilną instytucję: Główną Agencję Przemysłu Mikrobiologicznego, znaną bardziej pod nazwą Biopreparat. Oficjalnie zajmowała się badaniami nad szczepionkami, w rzeczywistości kontynuowała prace wcześniej prowadzone nad bronią biologiczną. Zachód dowiedział się o tym na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, gdy na Zachód zbiegło dwóch ważnych pracowników Biopreparatu. Najpierw w 1989 roku do Wielkiej Brytanii uciekł Władimir Pasiecznik. Trzy lata później do USA udało się wyjechać na stałe Kenowi Alibekowi. Z ich relacji wynikało, że realizowany w latach 70. i 80. XX wieku przez sowieckie służby program prac nad bronią biologiczną był wielokrotnie większy, niż zakładały zachodnie wywiady. Szacuje się, że mogło być w ten program zaangażowanych nawet 60 tys. osób, z czego około 10 tys. naukowców,

w tym od 1 tys. do 2 tys. ekspertów zajmujących się wyłącznie śmiertelnościami truciznami. Prace były prowadzone na terenie całego Związku Sowieckiego, w co najmniej 40 różnych ośrodkach i tak naprawdę nie wiemy dokładnie, ile z nich działa do dziś. W czasach sowieckich broń biologiczna była opracowywana pod dwojakim kątem. Raz użycia jej w celach szpiegowskich, czyli dokonania skrytobójstwa. Drugi cel to wykorzystanie broni biologicznej na masową skalę w wypadku regularnej wojny. W Związku Sowieckim były gigantyczne magazyny, gdzie składowano tony wąglika, ospy i innych patogenów, patogenów krzyżowanych, nad którymi specjalnie pracowano w tych laboratoriach, by były one odporne na wszelkie znane antybiotyki.

Moskwa wciąż twierdzi oficjalnie, że prac nad bronią biologiczną nie prowadzi, a Rosja jest sygnatariuszem konwencji jako prawny spadkobierca Związku Sowieckiego. Jednak amerykański Departament Stanu wydał raport, w którym ostrzega, że tak naprawdę od 1992 roku te raporty, które zgodnie z konwencją Rosja musi corocznie przedstawiać, są bardzo wybrakowane. Jest w nich mnóstwo białych plam, nie ma wielu informacji, w każdym razie na podstawie tych raportów nie można stwierdzić kategorycznie, że takich prac Rosja nad bronią biologiczną nie prowadzi. Jedynym okresem, kiedy Rosjanie byli w tej sprawie transparentni, był początek rządów Borysa Jelcyna. Jelcyn, tak jak w wielu innych sprawach, przyznał się do tego, że Sowietnicy prowadzili prace nad bronią biologiczną, mimo że byli sygnatariuszem konwencji o broni biologicznej. Ale już od połowy lat 90. coraz częściej zdarzało się, że eksperci międzynarodowi nie byli wpuszczani do rosyjskich laboratoriów. A do laboratoriów w trzech miastach (Kirov, Siergijew Posad i Jakaterynburg) już od końca zimnej wojny nie wpuszczono żadnego zachodniego eksperta, który mógłby stwierdzić, że prac nad bronią biologiczną tam się nie prowadzi. Natomiast Pasiecznik, który jako pierwszy ujawnił skalę działania Biopreparatu w czasach sowieckich, w 2001 roku zmarł w podejrzanych okolicznościach w Wielkiej Brytanii. Po zamachu na Skripała syn Pasiecznika zwrócił się do władz brytyjskich, żeby zająć się tą sprawą jeszcze raz, sprawdzić, czy to nie był zamach przeprowadzony przez rosyjskie służby. Pasiecznik był pracownikiem rządowego brytyjskiego laboratorium w Porton Down na przedmieściach Salisbury. Ten ośrodek uważa się dziś za najlepszą placówkę naukowo-badawczą, jeśli chodzi o identyfikację rosyjskich środków broni biologicznej i chemicznej. ■

Gniewna tęcza nad Friedrichem

Olga Doleśniak-Harczuk



W nowoczesnej partii ludowej orientacja seksualna nie gra żadnej roli. W 2020 roku naprawdę nie ma znaczenia, kto kogo kocha – to słowa Armina Lascherta, jednego z kandydatów do objęcia władzy w CDU. I faktycznie. W Niemczech, a może bardziej precyzyjnie – w niemieckiej polityce – orientacja seksualna nie budzi większych emocji. A raczej nie budziła. We wrześniu 2020 roku temat okazał się jednak na tyle nośny, by prawie, a może na dobre pogрузić szanse Friedricha Merza na objęcie przywództwa w CDU.

Republika Federalna Niemiec bez wątpienia wydozrosła. A może tylko zubożała. W bigoteryjnych latach 50. XX wieku Konrad Adenauer, biorąc w obronę podejrzanego o homoseksualizm szefa dyplomacji Heinricha von Brentano, skomentował: „Wie pan, dopóki [on] mnie nie dotyka, jest mi to obojętne!”. Dziś Hamburg i Berlin są rządzone przez homoseksualistów. Czy kogokolwiek to wkurza? Nikogo. Wręcz przeciwnie. Dla większości jest to oznaka postępu społecznego – pisał w 2007 roku dziennik „Hamburger Abendblatt”. A jak jest dziś? Niezależnie od tego, czy spojrzymy na socjaldemokratów, chadeków czy rzekome antypody partyjne, czyli Alternatywę dla Niemiec, w każdym z tych środowisk są i były osoby o skłonnościach homoseksualnych. Często na eksponowanych stanowiskach. Niemcy zdążyli się już jako społeczeństwo z tą sytuacją oswoić. I nagle wielkie BUM. Homofobia. Skandal. Oburzenie. A pod pręgierzem nie kto inny jak nadzieja chadeckich konserwatystów, Friedrich Merz. Ale zanim o Merzu, nieco tła.

► Bez alibi dla tęczowego akcjonizmu

Tak, Niemcy są oswojeni z homoseksualizmem w polityce. Od połowy lat 90. do mediów regularnie przedostawały się wiadomości o kolejnych politykach, którzy przerywali milczenie o swoim życiu prywatnym. Owszem, tego typu comingoutom zawsze w początkowej fazie towarzyszył posmak skandalu, ale z biegiem lat wyborcy przyzwyczaili się do tego, że ich reprezentanci nie zawsze wpisywali się w tradycyjny model życia i bycia. Być może Niemcy z taką łatwością przechodzili do porządku dziennego nad tego typu sytuacjami, ponieważ ludzie, którzy decydowali się ujawnić, nie opierali swojego „ja” na byciu homoseksualistą. Orientacja seksualna nie dominowała ich agendy, nie stanowiła alibi dla tęczowego akcjonizmu, nie definiowała ich ambicji politycznych ani dokonań. Niezależnie od tego, czy spojrzymy na biografię Guido Westerwelle, Alice Weidel czy Klausa Wowereita, abstrahując od ich barw partyjnych i poglądów, trudno tym ludziom odmówić politycznej ikry. Żadne z nich nie definiowało swojego miejsca w polityce homoseksualizmem. To się zmienia. W Niemczech do polityki wchodzi nowe pokolenie, dla których orientacja seksualna stanowi punkt odniesienia. Szacunek dla polityka przestał zależeć od jego dokonań, dbałości o dobro wspólne, wykształcenia, zdolności, lecz od kwestii pobocznych, wśród których orientacja seksualna zajmuje jedno z kluczowych miejsc. W takich okolicz-

nościach łatwo popaść w konflikt z tęczowym środowiskiem, które w przeciwieństwie do starszego pokolenia definiuje się głównie przez swoją seksualność i wymusza na społeczeństwie jej afirmację, tolerancja to już relikty minionych dekad. Zresztą afirmacja to pojęcie bardzo na czasie, czytelnicy kolorowej prasy kobiecej doskonale znają jeszcze inne słowo oddające stosunek do pewnych zjawisk społecznych – to „celebrowanie”. „Celebrować” można dziś wszystko i każdego, a im bardziej obiekt „celebrowania” odbiega od utartych kanonów piękna czy pewnego porządku naturalnego, tym więcej celebry mu/jej się należy. Ten na pozór błahy fenomen prasy kolorowej ma przełożenie na zachowania społeczne i na kształtowania gustów masowych. Wątek tzw. nieheteronormatywności doskonale się odnalazł w nurcie „celebrowania”, gdzieś między afirmacją ciałożytywności a trampkami z tęczą podeszwą. Ale o tym przy innej okazji.

► Bankiet Elżbiety II, urodziny Merkel i cień Doktora Śmierci

Wróćmy do homoseksualizmu w polityce. Berlin przez 14 lat miał homoseksualnego burmistrza Klausa Wowereita (SPD), pierwszego polityka Niemiec, który otwarcie przyznał się do swoich skłonności, autora słów: „Jestem gejem i tak jest dobrze”, które jako tożsame z postawą „jestem, jaki jestem, i lepiej się z tym pogodzić” – weszły na stałe do repertuaru niemieckich powiedzonek. Wowereit od 1993 roku żył w związku z neurochirurgiem Jörnem Kubickim, kuzynem prominentnego polityka PDF, Wolfganga Kubickiego. Panowie jako para pojawiali się na oficjalnych premierach teatralnych i kinowych, w listopadzie 2004 roku uczestniczyli nawet w bankiecie powitalnym na cześć królowej Elżbiety II podczas jej oficjalnej wizyty w Niemczech. Jörn Kubicki zmarł w marcu 2020 roku na skutek powikłań związanych z infekcją koronawirusa.

W latach 2009–2013 szefem niemieckiej dyplomacji w drugim rządzie Angeli Merkel był Guido Westerwelle (FDP). Już w latach 90. krążyły pogłoski o homoseksualizmie polityka, ale oficjalnego comingoutu dokonał dopiero w lipcu 2004 roku na 50. urodzinach Angeli Merkel, ówczesnej szefowej frakcji CDU/CSU w Bundestagu. Na imprezie przyszedł kanclerz Niemiec, Westerwelle pojawił się w towarzystwie managera Michaela Mronza, z którym był w związku partnerskim. Westerwelle zmarł w 2016 roku, cierpiąc na białaczkę. W czasie pełnienia funkcji publicznych Westerwelle udowodnił, że zawsze ma coś do powiedzenia, nie bał

się śmiałych pomysłów, nie zawsze trafionych, lecz z pewnością godnych zapamiętania. To na skutek jego lobbingu Niemcy przedłużyły termin ostatecznej rezygnacji z energii jądrowej do 2022 roku, w 2005 roku po francuskim fiasku referendum w sprawie konstytucji dla Europy Westerwelle postulował zorganizowanie referendum w Niemczech, by ludzie mogli się wypowiedzieć w tak ważnej kwestii. Z drugiej strony potrafił poruszyć tematy teoretycznie zarezerwowane dla socjaldemokracji i Linke, chociażby jak w 2009 roku, gdy postulował wycofanie z Niemiec amerykańskiej broni atomowej. Westerwelle roztaczał wtedy wizję „Niemiec wolnych od atomu”. To Angela Merkel ostudziła te zapędy, argumentując, że Niemcy nie mogą samodzielnie decydować i muszą naradzić się ze swoimi partnerami w NATO. Westerwelle, kiedy uważał,

cia na kocią łapę wystarczą”. Z comingoutem hamburskiego burmistrza wiązał się niemalże skandal. O jego homoseksualizmie poinformował w 2003 roku opinię publiczną senator Ronald Schill, który twierdził, że von Beusta łączy z senatorem do spraw sprawiedliwości Rogerem Kuschem (CDU) coś więcej niż zwykłe relacje służbowe. Schill był przekonany, że bez znajomości z von Beustem, Kusch nie dostałby posady w senacie. Historia trafiła na czółowki tabloidów, pod mieszkaniem, które Kusch wynajmował od burmistrza Hamburga (co dodatkowo podgrzało atmosferę), wystawiali codziennie reporterzy żądni sensacji. Finał tej opery mydlanej był taki, że Schill został wyrzucony z ratusza, a von Beust w 2011 roku odszedł z polityki. Co do trzeciego bohatera afery, czyli Rogera Kuscha, przeszedł on do historii Niemiec jako „Doktor Śmierć”. Ten

TAK, NIEMCY SĄ OSWOJENI Z HOMOSEKSUALIZMEM W POLITYCE. OD POŁOWY LAT 90. DO MEDIÓW REGULARNIE PRZEDOSTAWAŁY SIĘ WIADOMOŚCI O KOLEJNYCH POLITYKACH, KTÓRZY PRZERYWALI MILCZENIE O SWOIM ŻYCIU PRYWATNYM.

że ma absolutną rację, potrafił zrugać innych polityków. W 2012 roku nazwał Aleksandra Łukaszenkę ostatnim dyktatorem Europy. Łukaszenka nie pozostał dłużny i przy jednej z oficjalnych okazji rzucił: „lepiej być dyktatorem niż gejem”, a rok wcześniej miał wziąć Westerwellego na stronę i życzyć mu, by „w końcu zaczął normalnie żyć”. Od śmierci Westerwellego minęły cztery lata, została po nim garść cytatów i fundacja, którą założył pod koniec życia. „Istnienie ludzkiego komunizmu i demokratycznego socjalizmu jest tak samo możliwe jak prowadzenie wegetariańskiej rzeźni” – stwierdził w 2011 roku na łamach „Tagesspiegla”. Rok wcześniej jako jeden z nielicznych polityków europejskich przybył do Krakowa na uroczystości pogrzebowe Lecha i Marii Kaczyńskich. Chmura wulkaniczna mu nie przeszkodziła. Warto o tym pamiętać.

Kolejny prominentny polityk niemiecki, który nie ukrywał swoich preferencji, to Ole von Beust, były członek CDU, a w latach 2001–2011 pierwszy burmistrz Hamburga. W 2013 roku von Beust wziął „ślub” ze swoim o 36 lat młodszym partnerem, Lukaszem. Panowie poznali się w 2009 roku w hamburskim ratuszu, gdzie Lukas odbywał praktykę. Jak pisały w tamtym czasie media, „cztery lata ży-

wały polityk CDU skonstruował maszynę do wspomagania samobójstwa, a następnie założył organizację komercyjnie oferującą usługi quasi-eutanzyjne. Jak widać, historie homoseksualnych polityków niekoniecznie muszą się zaczynać i kończyć na paradach równości, życie bywa bardziej skomplikowane niż spór o to, z której toalety może skorzystać interseksualista.

► Po co to panu było, panie Merz?

Z czasem miniskandale wywołane comingoutami ustąpiły pola skandalom wywołanym faktyczną lub rzekomą dyskryminacją homoseksualistów. W ubiegłym roku Annegret Kramp-Karrenbauer gęsto tłumaczyła się z żartu o osobach interseksualnych wypowiedzianego podczas karnawałowej zabawy, a w połowie września ta sama rubaszna AKK z poważną miną przedstawiała opinii publicznej blisko 400-stronicowy raport poświęcony dyskryminacji homoseksualistów w Bundeswerze. Od 1955 roku do dziś. Na stronach tęczyowych mediów nie brakowało komentarzy wyśmiewających nagłą przemianę AKK, aktywiści z drwiną obserwowali, jak szefowa resortu obrony z poważną miną biła się w piersi niemieckich armii (od czasów pruskich

począwszy) za krzywdy wyrządzane homoseksualnym oficerom i zwykłym żołnierzom.

W przypadku Friedricha Merza zaczęło się bardziej niewinnie, od zwykłego wywiadu. Ten dawny szef frakcji CDU/CSU w Bundestagu i legendarny konkurent Angeli Merkel, który tak jak premier Nadrenii Północnej Westfalii Armin Laschert i szef komisji spraw zagranicznych Bundestagu Norbert Röttgen zawalczą na grudniowym zjeździe CDU w Stuttgarcie o fotel przewodniczącego CDU, powiedział o jedno zdanie za dużo. Zapytany przez tabloid „Bild”, czy wyobraża sobie, by kanclerzem Niemiec został homoseksualista, stwierdził, że owszem, ale orientacja seksualna jako taka powinna być prywatną sprawą każdego człowieka. Następnie dodał, że wszystko jest w porządku „o ile porusza się w ramach obowiązującego prawa i nie dotyczy dzieci”. I stało się. Zdanie samo w sobie było neutralne, ale Merzowi zarzucono, że zrównuje homoseksualizm z pedofilią. Z dnia na dzień z jednego z najbardziej obiecujących kandydatów na szefa CDU stał się Merz politycznym dinozaurem, który powinien już zejść ze sceny i ustąpić miejsca tym bardziej zorientowanym w nowoczesnych trendach. Nagle się okazało, że ten, którego jako rewolucjonisty i wizjonera bała się chadecka konkurencja, przejawia mało elastyczne podejście do przemian społecznych, co dyskwalifikuje go jako poważnego uczestnika debaty. Tygodnik „Die Zeit” nie miał złudzeń. Merz mógł może kilkanaście lat temu zadawać szyku nowatorskimi pomysłami na usprawnienie systemu podatkowego albo wskazywać Niemcom właściwą drogę ku polepszeniu stosunków transatlantycznych, ale to już pieśń przeszłości. W czasach Donalda Trumpa, AfD, kryzysu uchodźczego i nowej normalności obyczajowej wyznaczanej przez mniejszości seksualne i etniczne, wizja Merza zwietrzała. Wystarczył jeden wywiad. I nie ma kandydata. To znaczy jest, ale już teraz jakby było go mniej, ponieważ wewnątrz CDU trwa debata. I nie dotyczy ona już bynajmniej dylematów, czy aby Merz jako były manager funduszu inwestycyjnego nie jest zbyt ściśle związany ze światem wielkiej gospodarki ani tego, czy jego pojęcie „kultury wodzącej” sprzed blisko dwóch dekad jest do przełożenia na Niemcy wielokulturowe, ale tego, czy nowocześni chadecy mogą sobie pozwolić na kanclerza, który „umyślowo pozostał w epoce kamienia łupanego”. Zwłaszcza teraz, gdy chadecy oficjalnie zamierzają uznać LSU – Związek Lesbijek i Gejów w CDU za jedną z tzw. organizacji specjalnych stojących na równi z Unią Kobiet w CDU i Związkiem Średnich Przedsiębiorców. Decyzja o przyznaniu tego statusu LSU zapadła latem tego

roku, ale procedurze stanie się zadość 4 grudnia podczas zjazdu partii. Tego samego, podczas którego w końcu rozwiąże się kwestia przywództwa w CDU. Laschert, Merz i Röttgen zawalczą o przywództwo w CDU, ale i o namaszczenie na kandydata do Kanzleramtu. Niewykluczone, że 4 grudnia delegaci na zjazd będą musieli odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Niemcy mogą sobie pozwolić na „kanclerza homofoba” – w takim bowiem świetle postawiono Merza i ta aura będzie mu towarzyszyć jeszcze długo. Zwłaszcza że jego najpoważniejszy konkurent, Armin Laschert, cieszy się oficjalnym poparciem Jensa Spahna, ministra zdrowia, który na imprezy przychodzi w towarzystwie swojego męża. Zresztą obaj politycy jako pierwsi odnieśli się do wywiadu Merza dla „Bildu”, dając do zrozumienia, że ich on zbulwersował. Bulwersowanie się służy nakręcaniu kampanii.

► Tęczowe kuleczki hałasują przy pisaniu

Zrównanie LSU z innymi organizacjami w łonie CDU będzie oznaczało przyznanie tej grupie prawa głosu i współdecydowania o działaniach partii. Do tej pory LSU co prawda uczestniczyła w zjazdach (do dziś mam długopis z tęczowymi kulkami, pamiątkę po zjeździe hamburskim 2018 roku, podczas którego Friedrich Merz i Jens Spahn przegrali wybory na szefa partii z Annegret Kramp-Karrenbauer), ale bardziej w charakterze egzotycznej przystawki, za trzy miesiące jej głos będzie zaś ważył tyle samo co chadeckich kobiet i przedsiębiorców. Członkowie LSU również zareagowali na wywiad udzielony przez Merza. Ich uwaga skupiła się jednak na tym, że „orientacja seksualna jest prywatną sprawą każdego człowieka”. Okazuje się, że i ta wypowiedź podpada pod reakcje homofobiczne. Bo niby dlaczego zamykać seksualność w czterech ścianach? Merz nie ma szans. Adenauer nie miałby szans. Kevin Kühnert, jeden z wiceszefów SPD i wieloletni przewodniczący socjaldemokratycznej młodzieżówki, a przy okazji zdeklarowany homoseksualista, komentując nieszczęsną wypowiedź Merza, przywołał kultowy już cytat z Adenauera. Stary chadek mówiący, że jest mu obojętny homoseksualizm podwładnego, dopóki go nie dotyka, byłby dzisiaj twarzą homofobicznej rebelii. Bez szans na Kanzleramt. Ale to były inne czasy. Niemcy chcieli pralek, przyczep campingowych i telewizorów, a kobiety pisały na widok pastelowego odkurzacza i miksera. Ich wnuki przejadają cud gospodarczy i wieszają tęczowe flagi na balkonach. By Friedrich Merz i jemu podobni mieli się na baczności. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Lewek z mokrą grzywą i atlas życia

Jesienny Berlin spływa deszczem. Zalane schody stacji metra Potsdamer Platz, krople spadające z grzywy wykutego z brązu lwa przed Starym Muzeum, błotniste ścieżki parku Tiergarten, parasole smagane wiatrem. Jest chłodno, mokro, ciemno. Można uciec do kawiarni, ale przyjemniej do muzeum. W świat etruskiej biżuterii, portretów Holbeina i Rembrandta, w czarne tablice „Atlasu Mnemosyne” Aby’ego Warburga. Cisza, studenci szkicujący posągi Diany, skupienie, ucieczka. I brodzący w kałużach świat za oknem.

Zanim człowiek pójdzie na spacer aleją Unter den Linden, jakoś do Berlina musi dotrzeć. A więc pociąg. Mikrokosmos stosunków społecznych. Zamszczkowana przestrzeń wspólna. A na granicy dreszczyk emocji jak za dawnych lat.

► Żarty z niemieckiego państwa opiekuńczego

„Poproszę dowód osobisty lub paszport!”. Funkcjonariusz policji federalnej nie ma poczucia humoru. Patrzy z niedowierzaniem w twarze dwójki pasażerów pociągu relacja Warszawa–Berlin, a jego oczy z każdą sekundą robią się większe. To jedyni pasażerowie, od których zażądano dowodu tożsamości. Scenka widziana zza fotela, więc bardziej słuchowisko niż teatr. Dłoń cienka jak gałązka podaje policjantowi zwinięty kawałek papieru. „Przecież to jest świadectwo urodzenia! Bez zdjęcia. Co ja mam z tym zrobić? Poproszę dowód! Bilet miesięczny, legitymację szkolną, cokolwiek!”. Towarzysz podróży właścicielki gałązkowej dłoni – ciemna karnacja, łamany niemiecki – zapewnia, że jest obywatelem Szwecji, a ona Niemką mieszkającą w Berlinie. Tylko ona... nie mówi prawie po niemiecku, z gardła wydobywa się dziecinny głosik, mieszanina kilku języków. Rozumiem tylko „Ja mam dopiero 14 lat”. Policjant jest wściekły, każe podać nazwiska i imiona członków rodziny w Berlinie, dzwoni do jakiejś ciotki, każe za 20

minut przyjechać na berliński Ostbahnhof. „I to tak raz dwa! Z dokumentami tożsamości!”.

Scena, która z perspektywy tylnego fotela wygląda na popis buty niemieckich władz zahaczający o modny ostatnio temat „racial profiling” (zakładanie z góry, że osoba o ciemniejszym kolorze skóry z pewnością ma coś na sumieniu), staje się jasna dopiero, gdy opuszczam fotel i staję twarzą w twarz z dyskryminowanymi pasażerami. „Czternastoletnie dziecko” ma na oko 25–30 lat. Drobna postura, mocny makijaż, włosy spięte w kok, ciężka biżuteria, lakierowana torba i strój, jakiego żadna nastolatka nie włożyłaby na siebie choćby pod groźbą pozbawienia smartfona. Tak, owszem, w pewnych kręgach kulturowych dziewczynki ubiera się jak dorosłe kobiety, ale to nie tego typu przypadek. Przed oczami staję mi niedawna interwencja Alternatywy dla Niemiec w związku z medycznymi sposobami ustalania wieku uchodźców przybywających do Niemiec. Od 2015 roku do kraju przyjechało 60 tys. osób zarejestrowanych oficjalnie jako samotni nieletni. Wielu z nich nie miało dokumentów, urzędnicy zaś nie mieli możliwości sprawdzić, czy mówią prawdę. Potem co jakiś czas okazywało się, że rzekomy 13-latek liczy w rzeczywistości lat dwadzieścia kilka. Sposób na nieletniego pozwalal przybyszom cieszyć się większym socjałem, trafiali do niemieckich rodzin zastępczych, każdy współczuł biednym sierotom. A sieroty robiły sobie nieprzyzwoite żarty

z niemieckiego państwa opiekuńczego. W domu grały niewinne ofiary wojny, po szkole dealowały narkotykami lub dopuszczały się czynów o wiele bardziej drastycznych. I dopiero w krańcowych sytuacjach prawda wychodziła na jaw. Albo nie do końca. Ponieważ Niemcom brakowało instrumentów pozwalających na ustalenie faktycznego wieku uchodźcy, która to informacja miała kluczowe znaczenie w momencie, gdy dopuścił się on morderstwa lub gwałtu. Sądzić takiego kryminalistę jako nieletniego czy dorosłego? Podstawowe pytanie. Tylko nikt nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć. Niebawem odpowiedzą na nie prześwietlenia kośćca. Metoda jest dopracowywana. Być może uroczą 14-latką z pociągu faktycznie chwilowo zapomniała mowy ojczystej i jest ofiarą rasistowskich policjantów, a być może ta interwencja uchroniła ją od paskudnego losu tysięcy kobiet nielegalnie sprowadzanych do Berlina w wiadomym celu.

► Marks celebryta i pałac z popiołów

„Heidi, stań przy Marksie! Nie tutaj, tam, bliżej nogi Marksa!” – dzielnicy rodzice robią kilkuletniej Heidi zdjęcie na tle brązowego pomnika Marksa i Engelsa. Tak naprawdę nie wiem, czy Heidi to Heidi. Rodzice mówią do niej bezosobowo, ale dziecko przypomina postać z poczytnej powieści. Różowy płaszcz z kapturkiem, fryzura z grzywką, żywe srebro w deszczowym Berlinie. Powinna teraz lepić zwierzątko z plasteliny lub oglądać bajkę, a stoi z Marksem w tle. „Zobacz, a już z Engelsem nie chciała” – dziwi się matka. Ojciec statystuje. Wygląda na fana świętego spokoju. Coś w środku korci, by zapytać pomyslową mamusię, czy z Hitlerem też by cyknęła zdjęcie. Nie ma co, niech sobie wypielną całe albumy takimi obrazkami. Inne obrazy tego dnia zostają w głowie, ale o tym za chwilę.

150 metrów dalej trwa budowa Pałacu Pruskiego odradzającego się jako Forum Humboldtów. W deszczowy dzień krzyż na kopule jest słabo widoczny, ale bryła wygląda naprawdę okazale, rozmach inwestycji daje do myślenia. Warszawa czeka na swój Pałac Saski. Berlin już w grudniu będzie miał swój Pałac Pruski, a w nim zbiory sztuki współczesnej i dawnej, sale koncertowe i wykładowe, przestrzeń dla kreatywności i pielęgnowania pamięci, wszystko w jednym miejscu. Jeszcze można dolożyć swoje kilka euro do budowy. Płócienné torby, katalogi, prawdziwe cegielki wyglądające jak kostki mydła – każde po 14,99 euro. A dla najważniejszych sponsorów oferujących od 100 do 999 tys. euro honorowe miejsce na filarach gmachu, nazwisko donatora wykute w kamieniu. Na wieki wieków. Albo przynajmniej do następnej wojny.

Po drugiej stronie ulicy Katedra Berlińska. Zdaniem krytyków ciężka, bez finezji, przeładowana, brzydka siostra Notre Dame i Saint Denis. Mówi się, że cesarz Wilhelm II polecił wybudować katedrę jako znak niemieckiego protestantyzmu w centrum Berlina, odpowiedź na Bazylikę św. Piotra

w Rzymie. Niemiecki mariaż neobaroku i neorenesansu z kryptą Hohenzollernów, gdzie spoczywa 90 członków dynastii. Krypty nie można zwiedzać. Do 2023 roku potrwać prace renowacyjne. Miejsce spoczynku Hohenzollernów zostało wyposażone w klimatyzację i nowe oświetlenie. Nie tylko wnętrze jest w remoncie. Fasadę katedry od strony ulicy pokrywają rusztowania. Szczególnie dobrze wszystko widać z okien sąsiedniego budynku Starego Muzeum.

► Lwy w Berlinie

Przed gmachem muzeum grupka ludzi rozdaje ulotki. To działacze ruchu antykoronowego. Zazwyczaj zbierają się przed Reichstagiem. Aura nie sprzyja większym protestom, aktywiści pojawili się punktowo w najbardziej uczęszczanych zakątkach Berlina. Na współczesne problemy berlińczyków patrzy z góry Lew. Wykuty w brązie król zwierząt wije się pod końskimi kopytami. Na koniu jeździec z wymierzoną w lwie serce lancą. Walka trwa nieustannie od 1861 roku. W samym muzeum lwy są częstym motywem zdobieni i elementów architektury nagrobnej. Jest tu pulchny i zarysowany z dziecięcym wdziękiem marmurowy Lew z Miletu liczący ponad 2,5 tys. lat, młodszy o około 200 lat Lew Attycki o masywnych łapach i otwartym do ryku pysku. To ryk rozpaczy, podobny do tego, który wyróżnia średniowiecznego Lwa Brunswickiego. Wielbicielom lwich motywów w sztuce można jeszcze polecić Pergamon z rekonstrukcją bramy Ishtar i Galerię Obrazów (Gemäldegalerie) przy Potsdamer Platz z licznymi wyobrażeniami świętego Hieronima z oswojonym lwem autorstwa Lucasa Cranacha, Hansa Schäufeleina, Lucasa von Leydena, Mistrza Saint Gilles i wielu innych. Lew był też jednym z motywów analizowanych przez Aby'ego Warburga w „Atlasie Mnemosyne”, w którym Warburg na 69 tablicach zestawiał w latach 20. XX wieku reprodukcje dzieł sztuki, od antyku przez renesans po współczesność. Wystawa tablic Warburga jest dostępna dla zwiedzających do 30 listopada w berlińskim Haus der Kulturen der Welt nieopodal Reichstagu. Prezentowane reprodukcje to te oryginalnie zestawiane przez Warburga i jego współpracowników. Wystawie zaś towarzyszy kolejna, w Gemäldegalerie, w dwóch pomieszczeniach można obejrzeć część obrazów, rzeźb, rysunków, które posłużyły do pracy nad stworzeniem ponadpokokowego miksu motywów malarskich. Znajdziemy u Warburga antropologię, filozofię, historię sztuki, reklamę lat 20. I wrażliwość, która otarła się o szaleństwo. Czasem z szaleństwa rodzi się coś pięknego. Bywa, że lwi motyw uskrzydla wyobraźnię, nie dając spokoju, wywołując wręcz obsesję pchającą do działania i poszukiwań pokrewnych symboli, a czarne tablice z reprodukcjami stają się Świętym Graalem świata sztuki. Atlasem na śmierć i życie. Ciekawe, z którym antycznym motywem Warburg zestawilby słodką Heidi w cieniu deszczowego Marksa. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Japonia

14 września konserwatywna i rządząca Japonią Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP) wybrała nowego przewodniczącego, 71-letniego Yoshihide'a Suga. Zastąpił na tym stanowisku Shinzo Abe, który ze względów zdrowotnych zrezygnował z pełnienia funkcji szefa rządu. Tym samym to Suga będzie nowym premierem Kraju Kwitnącej Wiśni.

Pochodzenie Sugi mocno kontrastuje z rodowodem wielu japońskich polityków, którzy urodzili się w zamożnych rodzinach, często już mocno zakorzenionych w polityce, i którzy zanim zostali członkami Zgromadzenia Narodowego czy rządu, studiowali za granicą. Tymczasem nowy szef japońskiego rządu jest synem rolnika. Yoshihide Suga, mając 18 lat, opuścił rodzinną wioskę i udał się do Tokio, gdzie pracował w fabryce tektury. Dzięki zarobionym pieniądзом mógł opłacić studia wieczorowe. Ukończył prawo, a po studiach pracował dla konserwatywnego polityka Hikosaburo Okonogi.

Własną karierę polityczną rozpoczął w 1987 roku, kiedy to został wybrany do Rady Miejskiej Jokohamy. Prowadząc wówczas kampanię „od drzew do drzwi”, odwiedził aż 30 tys. domów i zużył sześć par butów. Był pierwszym politykiem, który w kampanii wygłaszał przemówienia przed ruchliwymi dworcami kolejowymi, co jest obecnie powszechne wśród japońskich kandydatów startujących w wyborach. Suga do Zgromadzenia Narodowego został wybrany po raz pierwszy w 1996 roku.

W rządzie pełnił m.in. funkcje wiceministra spraw wewnętrznych i komunikacji, ministra ds. prywatyzacji i usług pocztowych i ministra ds. reformy decentralizacyjnej. W 2012 roku ówczesny premier Shinzo Abe mianował go szefem swojego gabinetu.

Suga sam mówi o sobie, że jest reformatorem, i przypomina, że pracował nad realizacją polityki rządu konserwatystów, przełamując bariery biurokracji w terenie. Podkre-

śla się wysiłki Sugi na rzecz rozwoju przemysłu turystycznego w Japonii, obniżenia rachunków za telefony komórkowe i zwiększenia eksportu produktów rolnych.

Suga zapowiedział, że będzie kontynuował politykę zagraniczną swojego poprzednika, tj. bliskich relacji ze Stanami Zjednoczonymi i przeciwstawiania się zagrożeniom ze strony komunistycznych Chin. Oczekuje się, że tak jak jego poprzednik będzie stawiał na mocne relacje z Tajwanem.

Pierwszym poważnym sprawdzianem dla nowego premiera na polu relacji z Chinami będzie to, co się stanie z planowaną już od prawie roku wizytą chińskiego prezydenta Xi Jinpinga w Japonii. Ma ona się odbyć w listopadzie. W Kraju Kwitnącej Wiśni nastawienie do tej podróży jest nieprzychylnie. W związku z chińską odpowiedzialnością za rozprzestrzenienie się pandemii na cały świat, w tym na Japonię, mocne są głosy, że wizytę należy odwołać. Według sondażu przeprowadzonego na zlecenie dziennika „Nihon Keizai Shimbun” (Nikkei) ponad 62 proc. ankietowanych Japończyków nie chce tej wizyty. Uważa się, że Tokio może wykorzystać fakt powołania nowego premiera jako wymówkę, by do wizyty nie doszło.

Oczekuje się też, że Japonia pod rządami Yoshihide Sugi będzie kontynuować wysiłki na rzecz odsunięcia krajów w regionie Azji od chińskiej inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku. Na przełomie sierpnia i września japoński minister spraw zagranicznych Toshimitsu Motegi odwiedził Kambodżę, Laos, Mjanmę (Birma) i Papuę-Nową Gwineę. Kraje te do tej pory były pod silnym wpływem Pekinu. Japonia oferuje tym państwom inwestycje w ramach wypchnięcia ich spod chińskiej kontroli.

Yoshihide Suga będzie także pogłębiał współpracę z Indiami. Na kilka dni przed swoim odejściem ze stanowiska premiera Japonii Shinzo Abe doprowadził do zawarcia paktu wojskowego z Indiami, który umożliwił Tokio i Delhi wymianę dostaw i wsparcie logistyczne w obliczu narastających napięć z Chinami. Podpisana 9 września

Umowa Nabycia i Usług Wzajemnych (ACSA) umożliwił siłom zbrojnym obu państw dostęp do swoich baz w celu zaopatrzenia i świadczenia usług podczas dwustronnych szkoleń, operacji pokojowych, operacji humanitarnych i innych wspólnie uzgodnionych działań. Umowa będzie obowiązywać przez 10 lat i ulegnie automatycznemu przedłużeniu na okresy 10 lat, chyba że jedna ze stron zdecyduje się ją wypowiedzieć.

W sprawach krajowych wyzwania, jakie stoją przed Yoshihide Sugą, to pandemia koronawirusa i jej skutki gospodarcze. Suga będzie musiał również zdecydować, co zrobić z igrzyskami olimpijskimi w Tokio, które z powodu COVID-19 zostały przesunięte na przyszłe lato.

► Chiny

W połowie września Komunistyczna Partia Chin (KPCh) wydała dyrektywę wzywającą prywatne firmy do zaakceptowania jej przywództwa. Nowa wytyczna mówi, że muszą one akceptować wskazówki KPCh w kwestii prowadzenia interesów i zatrudniania pracowników. Jej wprowadzenie interpretowane jest jako przejęcie przez KPCh prywatnego biznesu. Odpowiedzialny za przejęcie kontroli nad sektorem prywatnym będzie Zjednoczony Front KPCh, główne narzędzie partii do kontroli życia społeczno-politycznego w ChRL, a także chińskiej diaspory.

Li Xiangyang, uczony z Shanxi, w wypowiedzi dla Radia Wolna Azja stwierdził, że dyrektywa ma na celu nie tylko zwiększenie kontroli Zjednoczonego Frontu nad sektorem prywatnym, lecz także wzmocnienie „patriotycznej i socjalistycznej edukacji” pracowników. Dyrektywa jest skierowana do chińskich firm prywatnych, w tym tych należących do mieszkańców Hongkongu i Makau.

Tymczasem w firmach państwowych jakkolwiek krytyka komunistycznych władz nie jest dopuszczalna. Przekonał się o tym Ren Zhiqiang, który kierował dużą państwową firmą budowlaną Huayuan Real Estate Group i był członkiem KPCh. Ren na swoim blogu ostro skrytykował prezydenta Xi Jinpinga za jego podejście do pandemii i konflikty z USA i Tajwanem. W odpowiedzi na krytykę Centralna Komisja ds. Kontroli Dyscypliny ogłosiła, że Ren jest oskarżony o „poważne naruszenia prawa i dyscypliny”.

Najnowsza dyrektywa KPCh to kolejny przykład zwiększającej się kontroli partii nad chińskim społeczeństwem za pośrednictwem Zjednoczonego Frontu.

► Kambodża

2 września zmarł jeden z przywódców Czerwonych Khmerów, 77-letni Kaing Guek Eav alias „Duch”. W 2010 roku w procesie przywódców Czerwonych Khmerów, jaki toczył się przed Trybunałem ONZ ds.

osądzenia zbrodni popełnionych przez Czerwonych Khmerów (ECCC), „Duch” został skazany na 35 lat więzienia. W wyniku apelacji ofiar reżimu Czerwonych Khmerów i ich rodzin dwa lata później wyrok zmieniono na dożywocie.

Kaing Guek Eav w latach 1975–1979 kierował niesławnym więzieniem Tuol Sleng (S-21). Wprowadzony przez niego system tortur miał zapewnić przyznanie się więźniów do wszystkich postawionych im zarzutów. Podczas przesłuchań „Duch” i jego współpracownicy razili więźniów prądem, a nawet stosowali wypatroszenie. Często oskarżonych pozostawiano na łańcuchach w tropikalnym upale bez jedzenia i picia, aż ich ciała zaczynały gnić. Zwłoki więźniów S-21 trafiały na Pola Śmierci w Choeung Ek. Tam do dziś w dołach i stawie można odnaleźć szczątki ofiar i ich ubrań. Z 17 tys. przetrzymywanych w Tuol Sleng przeżyło tylko 12 osób (dziś żyją już tylko cztery osoby).

Efekt rządów Czerwonych Khmerów w Kambodży w latach 1975–1978 to prawie 2 mln ofiar, głównie inteligentów, księży, mnichów. Ci „wrogowie rewolucji” oskarżani byli na podstawie fałszywych lub wymuszonych zeznań. Często już sam fakt noszenia okularów czy posiadania zbyt gładkich dłoni utożsamiany był z przynależnością do „zgniłej, burżuazyjnej inteligencji”, co oznaczało wyrok śmierci.

Główny sprawca tej tragedii Pol Pot, uczeń Jean Paul Sartre’a, umarł niespodzianie.

Francuski historyk Jean-François Revel zauważył, że gdy przyjrzeć się gazetom w USA, Anglii czy Francji z lat 1975–1979, czyli okresu dyktatury Pol Pota, nikt nie mógłby się domysleć, że w tym czasie w Kambodży odbywało się metodyczne ludobójstwo. Świat początkowo rzeczywiście nie wiedział, co działo się w Kambodży. Jednak gdy tylko pojawiły się pierwsze doniesienia o rozgrywającej się tam tragedii, przyjmowano je z niedowierzaniem. Wiele informacjom zaprzeczali m.in. członkowie francuskiej partii komunistycznej. Jednym z pierwszych, który przekazał informacje o zbrodniach Pol Pota w Kambodży, był ks. François Ponchaud. W wywiadzie dla Radia Watykańskiego stwierdził, że przed trybunałem powinni stanąć dziś także ci, którzy na Zachodzie wspierali reżim Czerwonych Khmerów. Ksiądz Ponchaud wspomina na przykład o szczegółowej dokumentacji, którą przesłał w 1978 roku do Amnesty International. Nie było jednak żadnej reakcji ze strony tej organizacji. Duchowny opisał zbrodnię Czerwonych Khmerów w książce pt. „Kambodża – Rok Zero”; publikacja spotkała się z ogromną krytyką zachodniej lewicy; Noam Chomsky, guru lewicowych intelektualistów, stwierdził, że przytoczone przez Ponchauda przykłady bestialstwa Pol Pota i jego współpracowników „są albo wyolbrzymione, albo są po prostu zmyślane”, a cała książka to tylko jeden z „elementów propagandy skierowanej przeciwko rządowi Czerwonych Khmerów”. ■



Marcin Wolski

GRANICA ŚWIATÓW

Historia tkwi w nas głębiej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Kto wie, jak potoczyłby się dzieje, gdyby legiony Marka Aureliusza przekroczyły Karpaty, wchodząc na tereny dzisiejszej Polski? Podobnie klęska Warrusa w Lesie Teutoburskim sprawiła, że jądro Germanii nigdy nie wpadło w ręce Rzymian. Podziałowi Imperium Rzymskiego przez Dioklecjana, a ostatecznie Teodozjusza, zawdzięczamy długotrwałe różnice Europy Wschodniej i Zachodniej, tej spod znaku języka greckiego i łaciny, czynszu i pańszczyzny, katolicyzmu i prawosławia, choć dzięki Polsce i Węgrom katolicyzm przesunął swe posiadanie mocno na wschód. Nieprzypadkowo podział ten odżył wraz z zapadnięciem żelaznej kurtyny. Na szczęście na krótko.

Siła tradycji sprawia, że narody skazane na wyginiecie nieoczekiwanie odżywają – Szkoci, Irlandczycy, Baskowie, Bretończycy... W czasach imperium sowieckiego mogło się wydawać, że los wielu nacji, wchłoniętych przez carską Rosję i zmiążdżonych nieludzkim reżimem, został na zawsze przesądzony, a Ukraina czy Białoruś to już pojęcia geograficzne. Okazuje się że niekoniecznie, w społeczeństwach głównie chłopskich, odartych z własnego języka, z wytrzebioną inteligencją i zniszczonym Kościołem, coś pozostało. Wspomnienie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, własnej podmiotowości, sejmików, procedur prawnych i poczucie przynależności do świata zachodniego, a nie ukształtowanej przez niewolę mongolską Azji. Nie jest przypadkiem, że nad ziemiami dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego powiewa sztandar z Pogonią, nawiązujący barwami do tradycji dawnej Rzeczypospolitej. Młode społeczeństwa odkrywają swoją przeszłość, rodziły szukać korzeni. Odnajdują wspólnych bohaterów skazanych kiedyś na zapomnienie. Granica Rzeczypospolitej trwa w ludzkiej mentalności!

Zupełnie zrozumiały w związku z tym jest gniew Władimira Putina, ostatniego imperialisty współczesnego świata. Nie pogodził się nigdy z rozpadem imperium zła. Walczy z wszelkimi ruchami odśrodkowymi. Tyle że wiele poradzić nie może. Proces destrukcji się już rozpoczął. Narody uzyskały własną podmiotowość, historia dostarcza paliwa, a polityka represji czy gróźb tylko to wzmacnia. Oczywiście można jeszcze zagrać jakimś oligarchami (jak w Gruzji), ludźmi znikąd (na Ukrainie). Można też postarać się o Łukaszenkę-bis. Ale na dłuższą metę wiele to nie da. Bagnet rozwiązuje

wiele problemów, lecz nie sposób na nim siedzieć. Zwyciężają cywilizacje, które dla podbitych narodów są godnie podziwu, budzą szacunek i chęć przynależności. Dlatego bojarstwo Wielkiego Księstwa Litewskiego wybrało na trzy wieki Polskę, dlatego miejscowa Cerkiew wołała uznać zwierzchność papieża i gorliwie o nią zabiegała... Być może Rosja carów, kraj Stołypina i Tolstoja, Czajkowskiego i Niżyńskiego, Pawłowa i Ciołkowskiego, miała szansę stać się światowym mocarstwem. Dzięki Leninowi i Stalinowi szanse te zosta-

PUTIN, OSTATNI IMPERIALISTA
WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA, NIE POGODZIŁ SIĘ
NIGDY Z ROZPADEM IMPERIUM ZŁA. WALCZY
Z WSZELKIMI RUCHAMI ODŚRODKOWYMI.

TYLE ŻE PROCES DESTRUKCJI SIĘ JUŻ
ROZPOCZĄŁ. NARODY UZYSKAŁY WŁASNĄ
PODMIOTOWOŚĆ, HISTORIA DOSTARCZA
PALIWA, A POLITYKA REPRESJI CZY GRÓŻB
TYLKO TO WZMACNIA.

ły zaprzepaszczone. Demograficzne rezerwy leżą dziś w milionach grobów wojen i rewolucji, w bezimiennych mogiłach łagrów i więzień. Bez „wielkiego eksperymentu” rosyjskie imperium rządzone przez szanujących konstytucję Romanowów liczyłoby dziś pewnie pół miliarda dusz... Sto pięćdziesiąt milionów pozwoli zachować miejsce w drugiej dziesiątce państw.

Oczywiście będą kolejne próby odbudowy i kolejne smuty. Z czasem wyzwoli się Tatarstan, a Kazań stanie się prawdziwą tatarską stolicą. Ogłosi swą niepodległość Syberia... W świecie potężnych Chin, Indii i Stanów – źle rządzona i wyludniająca się „wielka stacja benzynowa”, choć wyposażona w broń nuklearną, ma kiepskie szanse stać się trzecim Rzymem. A i zostać nową Australią będzie trudno. ■



Tomasz Sakiewicz

Ekologia nie jest lewicowa

Ekolog to naukowiec, który rozumie zjawiska przyrody. Ekologia to nauka o relacjach pomiędzy organizmami. To po prostu wiedza, a jako taka nie powinna podlegać ideologicznej ocenie. Z tej wiedzy płynie nauka, jak żyć z przyrodą, jak jej pomagać, jak ją rozumnie wykorzystywać. Nie możemy nie korzystać z przyrody, bo jesteśmy jej częścią. Oddychając, zużywamy tlen, pijemy wodę, czerpiemy różne dobra naturalne. Broniąc się przed chorobami, zabijamy drobnoustroje, insekty, a czasem nawet gryzonie. To jest nie do uniknięcia. Możemy nie jeść mięsa, ale rośliny już spożywać musimy. Tak czy inaczej mocno korzystamy z przyrody

stać z przyrody tak, by w przypadku zwierząt to cierpienie ograniczać.

Lewicowi ekologdzy, czy może paraekolodzy, odbierają człowiekowi prawo do decydowania o przyrodzie, często wręcz czyniąc go niewolnikiem przyrody. Ani w ludzkim przeczuciu, ani w chrześcijańskiej religii zwierzę człowiekowi równe nie jest. Nawet tam, gdzie w ramach wiary w reinkarnację ktoś może urodzić się zwierzęciem, stoi niżej niż człowiek i raczej jego ponowne przyjście na świat pod postacią kotka, myszki lub muszki jest pewnego typu karą.

Mamy więc ekologię, która pozwala nam czerpać z przyrody rozumnie i bez zbytejnej krzywdy dla

MAMY TAK KORZYSTAĆ Z PRZYRODY, ŻEBY „NIE UKRAŚĆ” JEJ INNYM LUDZIOM. POZA TYM BEZROZUMNA DEWASTACJA ALBO NIEUZASADNIONE CIERPIENIE ZADAWANE ZWIERZĘTOM SĄ SPRZECZNE Z NASZYM CZŁOWIECZEŃSTWEM.

i nawet weganie wpływają swoim zachowaniem na zwierzęta, choćby jedząc ich pokarm. Nauka musi nam podpowiedzieć, jak to robić, nie krzywdząc przesadnie Bożego stworzenia.

Ale ekologia ma też drugie znaczenie. To dzisiaj ruch obrony przyrody przed... człowiekiem. Człowiek, który nierozumnie korzysta z przyrody, może ją całkowicie zdewastować. Okrada innych ludzi z tego, co Bóg dał wszystkim. Więc ten ruch może mieć swoje bardzo chrześcijańskie umocowanie. Dzisiaj kojarzy się zupełnie inaczej, wszystko za sprawą lewicowych ideologów. Po pierwsze, człowieka postawili na równi ze zwierzętami. Dlaczego z nimi, a nie na przykład z roślinami czy grzybami? To prawda, że wywodzimy się ze świata zwierząt, ale zasadniczo się od nich różnimy. Z całą pewnością rozumem, świadomością i sumieniem. Wierzący powinni dodać jeszcze: nieśmiertelną duszą. Czy więc skoro jesteśmy tak odmienni, wolno nam wszystko? Oczywiście że nie. Jak wspomniałem, mamy tak korzystać z przyrody, żeby „nie ukraść” jej innym ludziom. Poza tym bezrozumna dewastacja albo nieuzasadnione cierpienie zadawane zwierzętom są sprzeczne z naszym człowieczeństwem. Powinniśmy korzy-

niej i dla innych bliźnich, oraz mamy ekologię, która nakazuje z niej nie korzystać. Jak dalece tego nie robić? A tu już konsekwencji nie ma. Czy wegetarianin może nakarmić psa mięsem? Wiele zwierząt bez mięsa nie przeżyje. Jeżeli podajemy im taki pokarm, to bierzemy udział w zabijaniu. Oczywiście możemy pozwolić pupilom umrzeć, nie karmiąc ich. Sprawa wymaga jednak rozumu. Z pewnością w duchu nowej ekologii działali wszyscy ci, którzy chronili kornika w Puszczy Białowieskiej. Rozumny ekolog, dzisiaj nie wiedzieć czemu nazwany prawicowym, wytnie chore drzewa, żeby ratować zdrowe. Kto więc ratuje przyrodę? Czy lewicowi ekologdzy to rzeczywiście ekologdzy?

Na to miano nie zasługują, choćby ze względu na pogardę dla najwyższej zdobyczy ewolucji przyrody: rozumu. Ale nie jest godzien szacunku człowiek, który pastwi się nad zwierzęciem, a choćby tam, gdzie może, nie ogranicza jego cierpienia. Nie jest godzien, bo nasze człowieczeństwo nakazuje nam życie możliwe w przyjaźni z braćmi mniejszymi. W imię tej przyjaźni czasem trzeba się wyrzec jakiejś korzyści czy przyjemności. Niech radość nam sprawia bycie dobrym również dla zwierząt. ■

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z NOWOCZESNOŚCIĄ

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



niezalezna.pl

eprasa.pl c551f1920b